

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend

WOLNA
SOBOTA



FOT. ARNE DEDERT/AP

Salman Rushdie
o fanatykach, religii,
poczuciu humoru,
multi-kulti, zemście
i zadaniach dla pisarzy



**WYSOKIE
OBCASY**
Menopauza
znaczy
wolność



GAZETA
wyborcza
nie ma wolności bez solidarności

wyborcza.pl



Nie schrzanimy
tego, prawda?

RYS. NATALIA MICHALSKA

wydaje Agora SA,
nr indeksu 348198



**Wanda
Wasilewska**
Czy na pewno
zdrajczyń?



**Łapanki
w Warszawie**
Dziś zgładzono
zaledwie dwudziestu

**Dlaczego nie
podajecie papryki?**
Węgrzy udają,
że mają własny kraj

Agnieszka
Kublik

Krótką pamięć prezydenta

Gdy pod koniec maja 2015 r. Andrzej Duda odbierał w Pałacu w Wilanowie uchwałę o wyborze na prezydenta, wystąpił z bezprecedensowym apelem o niedokonywanie zmian ustrojowych.

To było parę dni po jego zwycięstwie. Wciąż rządziła ekipa PO-PSL, wybory parlamentarne miały się odbyć dopiero 25 października. Co prawda po wygranej Dudy ówczesna opozycja poszybowwała w sondażach, ale gabinet Ewy Kopacz nadal miał legitymację do rządzenia, a koalicja liberalów i ludowców – większość w Sejmie.

Ale Duda widział to inaczej: – Proszę, żeby w tym okresie, kiedy wola wyborców już została uzewnętrzniona, nie dokonywano poważnych zmian, przede wszystkim ustrojowych, ani takich, które mogą budzić jakies niepotrzebne w społeczeństwie emocje, niestety także kreować konflikty. [Bo] konfliktów powinniśmy bardzo unikać generalnie, nie tylko w tym okresie najbliższych dwóch miesięcy, żeby budować wspólnotę, opierać ją na kapitale społecznym, który musi wynikać z jedności.

Dziś te słowa brzmią wyjątkowo cynicznie. To Duda z Kaczyńskim rozmontowywali przez 8 lat naszą wspólnotę. Choć

elekt zaczął od deklaracji:

– Człowiek, który zostanie wybrany na urząd prezydenta RP, musi wczytać się w konstytucję, gdzie jest napisane, że prezydent jest wybierany przez naród i w związku z tym przede wszystkim naro-

dowi, społeczeństwu ma służyć i Rzeczypospolitej.

A więc teraz to odchodzący rząd powinien się powstrzymać od decyzji, bo kończy misję. I Duda powinien apelować do Morawieckiego i Kaczyńskiego o „niedokonywanie poważnych zmian, przede wszystkim zmian ustrojowych”.

Ale prezydent nie jest tak zapatrzoną w siebie, jak się wydawało. Sam siebie nie słucha i szybkoitko, dwa dni po wyborach, wręczył nominacje 72 neosędziom.

Budująca lotnisko w Baranowie spółka CPK właśnie przyznała, że dwa dni przed wyborami podjęła decyzję, za którą idą miliardy – inwestorami CPK zostali francuska grupa Vinci Airports z kapitałem amerykańskim i australijski fundusz IFM Global Infrastructure Fund.

Minister Czarnek chce szybko wydać aż 400 mln zł w ramach programu wsparcia młodzieżowych drużyn pożarniczych. I tylko złe języki mogłyby podnosić, że chodzi o kupowanie głosów w wyborach samorządowych.

A o ilu powyborczych przewalach jeszcze nie wiemy?

Duda więc przedłuża pożegnanie PiS z władzą. Ale ten klawrowny obraz burzy to, że właśnie mianował szefem gabinetu ulubionego doradcę, Marcina Mastalerka, który głośno powiedział to, o czym inni milczą – Kaczyński musi odejść.

Czyżby Duda apelował do Kaczyńskiego, by „dokonał jakiegokolwiek zmiany”? I długo podtrzymywał wrażenie, że desygnuje na premiera przedstawiciela obozu, który nie ma większości nie po to, by uratować PiS, ale by pożegnanie Kaczyńskiego z władzą było tak samo bolesne, jak długie? ●

Brazylia

Największa rzeka świata, a wody nie ma



Mieszkańcy Careiro da Várzea dźwigają żywność i wodę pitną z punktu dostaw do swojej miejscowości. Nurt Solimões – odcinka Amazonki, nad którym leży miasteczko – zmienił się w mozaikę kałuż i strumyków. Nękażąca Amazonię susza dotknęła 650 tys. ludzi. Pomoc utrudnia to, że mnóstwo wiosek, osad i miasteczek jest odciętych od świata – w regionie niemal nie ma dróg, bo transport zawsze odbywał się wielką rzeką.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU**
i bądź na bieżąco
przez cały weekend *

KR5C72F

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 28-29.10.2023 r.

Mariusz Duda

Piosenki zbyt rockowe i zbyt długie

Wszyscy zastanawiają się, co zrobi Duda. A Duda kończy długą trasę koncertową i wydaje kolejną płytę.

Najpopularniejszy polski muzyk rockowy na świecie urodził się 48 lat temu w Węgorzewie. Kompozytor, tekściarz, wokalista, jego broń pierwszego wyboru to gitara basowa. Jako młodzieniec szukał przygód w składach metalowych i artrockowych, by artystyczną dojrzałość osiągnąć w pół drogi, w założonym na początku stulecia zespole Riverside. Ich muzyka to rock progresywny, rozumiany szeroko – od dźwigania ciężarów po oparte na syntezatorach refreny à la A-ha. Podoba się to w Polsce nie tylko wychowanym na Trójce – połowę dyskografii mają złotą, koncerty wypełniają po brzegi.

Tylko w radiu tego nie słychać, bo Riverside mają piosenki za długie jak na współczesne standardy, zbyt rockowe jak na aktualne trendy, a Mariusz śpiewa wyłącznie po angielsku.



Ale nie ma tego złego – Riverside cenią się w szerokim świecie. Tylko w tym roku zjeżdżili Stany i Kanadę, Skandynawię i Wielką Brytanię. Sezon kończą w Polsce – piątek to Gdynia, w sobotę Wrocław, a w niedzielę mają finał w Warszawie. Wiosną wybierają się do Ameryki Łacińskiej.

Co Dudzie nie pasuje do formuły Riverside, upycha pod zapuszczającą się w elektronikę solowy sztyld Lunatic Soul. Są też płyty sygnowane przezeń imieniem i nazwiskiem, jak ta zapowiadana na połowę listopada. „AFR AI D” ma oswajać nasze lęki związane ze sztuczną inteligencją. ●

Jarek Szubrycht

Andrzej rysuje



PiS zmienił Polskę na lepsze



FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK

Odkąd pamiętam, narzekanie na społeczeństwo obywatelskie było równie rytualne jak narzekanie na tę dzisiejszą młodzież. Pora obalić kilka mitów.

Tylko na Wyborcza.pl

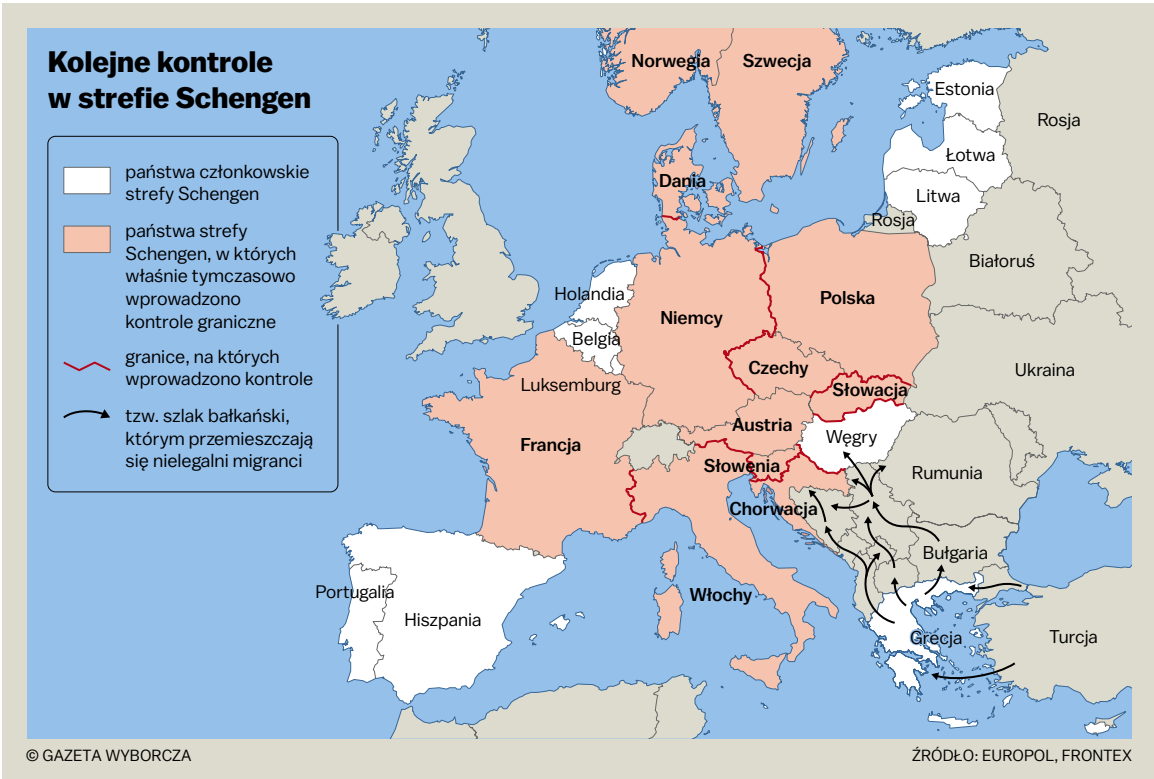
► Katarzyna Wężyk udowadnia, jak bardzo Polska 2023 różni się od Polski 2015

Liczba dnia



wynosi zadłużenie dwóch największych chińskich deweloperów. Jeden z nich ma 400 tys. niesprzedanych mieszkań – wyrażnie pęka bańka, która przez trzy dekady napędzała chiński wzrost. – Nowym motorem gospodarki mają być elektryczne samochody – przewodniczący Xi liczy, że dzięki monopolowi na strategiczne metale i zapóźnieniu zachodnich koncernów Chiny zdominują motoryzację w XXI wieku.

Wykres tygodnia
Koniec otwartych granic?



Cytat dnia

Świat czeka poszukiwanie źródeł dostępnej cenowo energii o niższej emisji, ale ropa naftowa i gaz mają do odegrania swoją rolę. Będą z nami jeszcze długo



DARREN WOODS
szef ExxonMobil, o przejęciu firmy Pioneer Natural, której złoża łupkowe podwoją wydobycie Exxon

• Więcej o ofensywie paliwowych ► [Wyborcza.biz](#)

Dzieciństwo w Strefie Gazy

Wojna w każde urodziny

U 70 proc. dzieci z Gazy występowało moczenie nocne, u 59 proc. kłopoty z mową i komunikacją, 70 proc. śniły się koszmary. 59 proc. samookalecza się, 55 proc. ma myśli samobójcze

JUCEWICZ

„Jesteśmy dziećmi żyjącymi w Strefie Gazy. Nasz dom to niewielkie miejsce z małymi uliczkami i mnóstwem ludzi, którzy mieszkają naprawdę blisko siebie. Ponieważ jest tak niewielki, nie ma się gdzie schronić. Przez wiele godzin nie ma prądu. Musimy spać na podłodze lub w korytarzach. Dachy spadają nam na głowy. Za każdym razem, gdy jest nalot, nasze pokoje się trzęsą. Chcemy, aby Gaza była pięknym miejscem, w którym będziemy mogli żyć w spokoju”. Podpisane: Salma, 11 lat. Niveen, 9. Zain, 12. Samer, 13. Khaled, 10. Amal, 10.

To nie jest list sprzed kilku dni. To list z maja 2021, wstęp do zeszłorocznego raportu organizacji Save the Children „W potrzasku. Wpływ piętnastu lat blokady na zdrowie psychiczne dzieci w Gazie”. W ciągu tych lat dzieci w Gazie doświadczyły sześciu zagrażających ich życiu wydarzeń – pięciu eskalacji konfliktu (w latach 2008-09, w roku 2012, 2014, 2018 i 2021) oraz pandemii.

85 proc. z nich, czyli 800 tysięcy, nie zna innego życia niż to w zamknięciu. Jak tłumaczył nastolatku biorący udział w badaniu: „Blokada ma wpływ na nasze zdrowie, możliwość poruszania się, środowisko, gospodarkę. Coraz więcej dzieci musi pracować. Nasze ambicje są mniejsze, ponieważ niezależnie od tego, co sobie wymarzymy, wiemy, jak wiele istnieje ograniczeń”.

W 2022 r. ośmiorno na dziesięciorgo dzieci w Gazie odczuwało psychiczne i emocjonalne cierpienie. 84 proc. – stały lęk, 81 – napięcie, 80 – podenerwowanie, 77 – smutek. 68 czuło się zagrożonych w szkole, 44 – we własnym domu.

U wielu na przestrzeni kilku lat od poprzedniego badania nasiliły się ob-

jawy somatyczne i niepokojące zachowania. U 92 proc. zwiększył się poziom agresji, u 70 – występowało moczenie nocne, u 59 – kłopoty z mową i komunikacją. 73 proc. dzieci zgłosiło, że ma problemy ze snem, 70 – śniły się koszmary, a 48 proc. nie mogło się skupić na lekcji.

Autorzy raportu pisali: „Dzieci sięgają po szkodliwe mechanizmy radzenia sobie. 59 proc. nadużywało substancji psychoaktywnych i samookaleczało się, 55 proc. miało myśli samobójcze. I chociaż trudno w Gazie o statystyki dotyczące samobójstw, to jeden telefon zaufania zarejestrował w latach 2020-21 44 zgłoszenia prób samobójczych z udziałem dzieci, podczas gdy w 2019 – osiem”. W maju 2021 14-lletnie dziecko popełniło samobójstwo po tym, jak straciło całą rodzinę w kolejnych eskalacjach konfliktu. W 2009 – młodszego brata, w 2012 – starszego brata, w 2014 – ojca, a w 2021 – matkę.

Dr Ghassan Abu-Sittah, uznany palestyński chirurg, który ma praktykę w Londynie, ale obecnie pracuje w szpitalu Asz-Szifa w Gazie jako wolontariusz Lekarzy bez Granic, napisał w mediach społecznościowych: „Nie ma bardziej samotnego miejsca na świecie niż to przy łóżku ранego dziecka, któremu nie został ani jeden bliski mogący się o nie zatroszczyć”. Przez ostatnie niespełna trzy tygodnie spotkał sześciorgo takich dzieci.

– Brak mi słów – mówi w rozmowie telefonicznej. – Fizyczne rany, z którymi mam do czynienia na co dzień, są nie do opisanie. Opatrywałem dziewczynkę, która straciła matkę, a jej siostra miała urwany kawał policzka i pół nosa. 11-latka, który utracił trzy czwarte kończyny górnej i połowę kończy-

ny dolnej. Roczne dziecko z oderwaną połową czoła. Codziennie widzę dzieci z poparzeniami całego ciała, w tym twarzy. A w szpitalu brakuje opatrunków, środków antyseptycznych, leków, narzędzi, żywności.

O świadczeniu pomocy psychologicznej nawet nie mówię, mamy 14 tysięcy fizycznie rannych. A przecież cała populacja odniosła ciężkie rany psychiczne. Teraz ludzie są w szoku, nie zdają sobie sprawy do końca z tego, co się dzieje. Ale jak tylko ta wojna się skończy, Gazę czeka kolejna walka – o zdrowie jej mieszkańców.

– Jednego dnia chodzi pani do szkoły, spotyka z kolegami, a drugiego łąduje w tej samej szkole, śpi na podłodze, jako osoba pozbawiona dachu nad głową. Widzimy masę strauumatyzowanych dzieci. Zwłaszcza młodsze nie rozumieją tego, co się dzieje, ciągle pytają: Dlaczego? Dlaczego? – opowiada Marta Lorenzo, dyrektorka UNRWA – Agencji Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy Uchodźcom Palestyńskim na Bliskim Wschodzie na Europę. – Mamy psychologów i terapeutów, którzy z nimi pracują, ale nie jest to łatwe. Wiele dzieci w Gazie już wcześniej doświadczyło traumy, to nie jest ich pierwszy raz. Ale po raz pierwszy ten kryzys ma taką siłę rażenia. Organizujemy gry i zabawy, ze-

Przedstawicielka ONZ z Gazy: Za 48 godzin skończy się nam paliwo. Bez paliwa szpitale przestają funkcjonować. Proszę pomyśleć o dializowanych pacjentach, o noworodkach w inkubatorach

by dzieci mogły choć na chwilę odwrócić uwagę od rzeczywistości. Dużo czasu upłynie, zanim te wydarzenia przestaną być żywe w pamięci dzieci.

Marta Lorenzo: – W naszych placówkach w Gazie przebywa ponad pół miliona przesiedleńców. Ta liczba rośnie z godziny na godzinę. Nie byliśmy przygotowani na taki kryzys. Nasze schronienia były obliczone na przyjęcie maksymalnie 150 tysięcy osób. Nie jesteśmy w stanie zapewnić ludziom odpowiednich warunków sanitarnych. Racjonalizujemy wszystko – wodę, żywność. Za 48 godzin skończy się nam paliwo. Słyszając „pomoc humanitarna”, ludzie automatycznie myślą o żywności, która oczywiście jest bardzo ważna, ale bez paliwa szpitale przestają funkcjonować. Proszę pomyśleć o pacjentach, którzy poddawani są dializom, o noworodkach w inkubatorach. Przecież generatory prądu działają na paliwo.

Już przed kryzysem wodę w Gazie trzeba było oczyszczać. 90 proc. wody nie nadawało się do picia, bo była zanieczyszczona albo słona. Marta Lorenzo: – Teraz przez to, że nie mamy paliwa, nie ma jak jej oczyścić, nie działają zakłady odsalania wody, a nasze ciężarówki nie mogą dowieźć zapasów. Ludzie piją więc, co się da. To bardzo niebezpieczne, szczególnie dla małych dzieci, starszych osób i kobiet w ciąży. Bardzo boimy się epidemii.

Od 7 października, dnia ataku Hamasu na Izrael, w Gazie zginęło niemal 2500 dzieci, a prawie 5500 zostało rannych. Ponad 200 osób, w tym dzieci, pozostaje zakładnikami Hamasu na terenie Gazy. ●

Agnieszka Jucewicz

Na zdjęciu są cztery młode kobiety z kartonami z pro-palestyńskimi hasłami. Ten z napisem „Wspieram Gazę” trzyma Greta Thunberg, 20-letnia szwedzka aktywistka klimatyczna, (były?) głos pokolenia i twitterowa pogromczyni samców alfa. Za Gretą, na kolanie siedzącej nad nią dziewczyny, leży pastelowa pluszowa ośmior-nica.

Zdjęcie Thunberg wrzuciła na portal X, dawny Twitter, gdzie obserwuje ją prawie 5,7 miliona osób, po dwóch tygodniach od ataku Hamasu na Izrael i izraelskiej artyleryjskiej odpowiedzi. I została oskarżona o wspieranie antysemickiego spisku sięgającego korzeniami do niesławnych „Protokółów mędrców Syjonu”.

Skąd ten pomysł? Zawiniła zabawka, przez wietrzących spiski użytkowników X uznana za nawiązanie do żydowskiej ośmiornicy, która na nazistowskich karykaturach oplatała świat mackami finansjery. Ta Greta może i była słodka i pluszowa, ale nie dajmy się zwieść: to ten sam głowonóg.

W kolejnym tweecie Greta wrzuciła zdjęcie już bez pluszaka. Wyjaśniła, że to zabawka używana przez osoby autystyczne do komunikowania uczuć i że nie miała pojęcia o jej antysemickich konotacjach, a sam antysemityzm potępia. Ta deklaracja nie przeszkodziła rzecznikowi izraelskiej armii Arjemu Szaruzowi Szalikarowi powiedzieć w Politico, że „ktokolwiek będzie się w przyszłości identyfikował z Gretą, jak dla mnie będzie wspierać terroryzm”, ani oficjalnemu kontu Izraela na X tweetnąć, że „Hamas nie używa zrównoważonych materiałów na rakiety, które wymordowały niewinnych Izraelitów”.

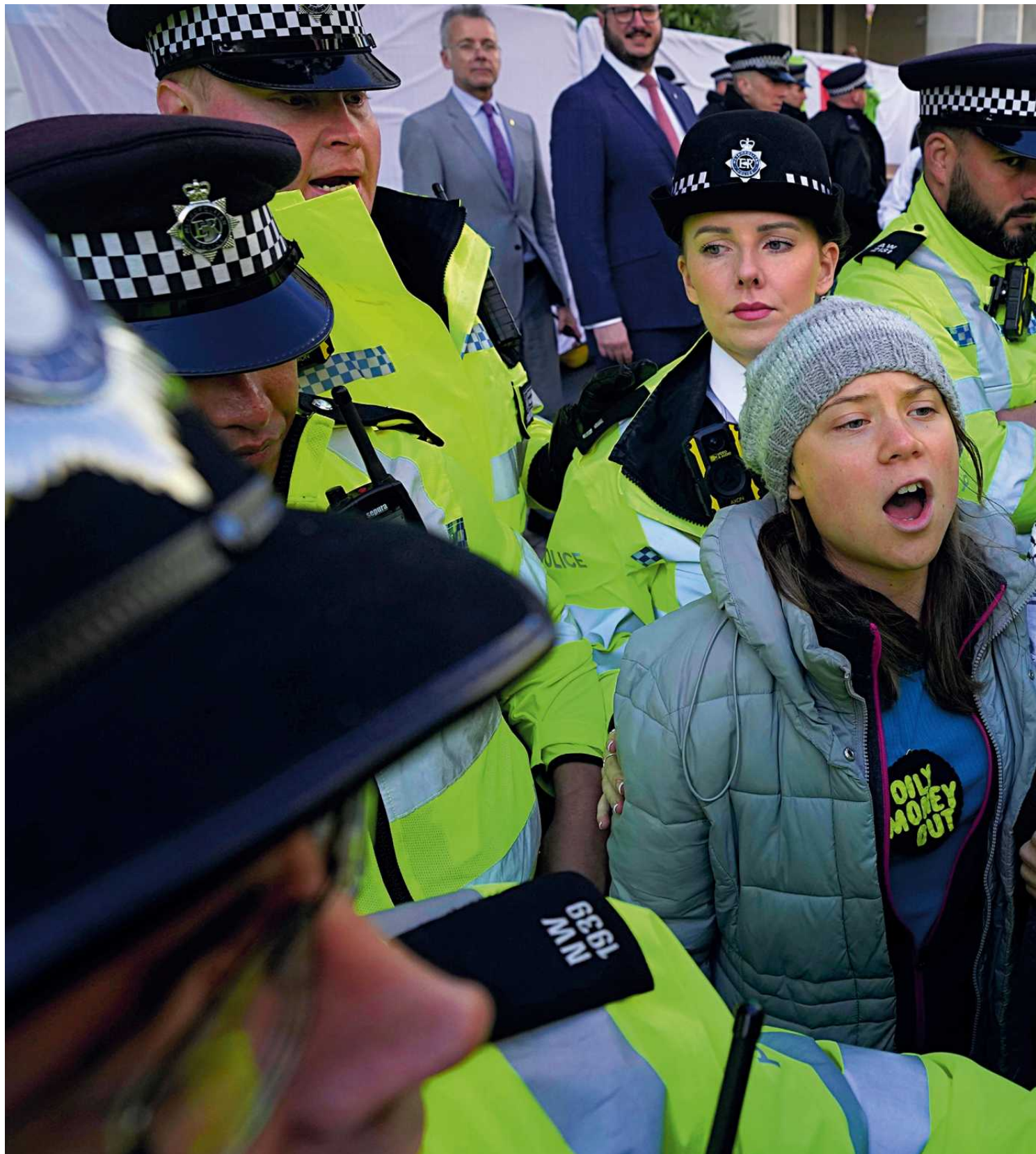
16-letnia Greta przemawiała przed głowami państw i wielkim biznesem. Patrzyła z okładki „Time’a” – spod nagłówka „Osoba roku” – i została jedną z kobiet roku magazynu „Glamour”. Trafiła na listę 100 najbardziej wpływowych kobiet „Forbesa”. Do stała – pierwszą z pięciu – nominację do pokojowego Nobla. Sir David Attenborough podziękował Thunberg za „przebudzenie świata”, a Margaret Atwood porównała ją do Joanny d’Arc i zawyrokowała, że „potrzebuje wielkiego białego konia”.

20-letnia Greta pojawia się w mediach głównie w związku z kolejnym aresztowaniem za blokowanie spotkań firm z sektora naftowego albo przy kolejnej twitterowej – sorry, X-owej – gównoburzy. A jej rówieśnicy, owszem, obawiają się katastrofy klimatycznej, ale nie kwapią się do ratowania świata przez ascezę, a już najmniej własną. Co się stało?

20 sierpnia 2018 roku drobna, milcząca, wyglądająca na 12 lat dziewczynka w niebieskiej bluzie usiadła przed szwedzkim parlamentem. Wzięła ze sobą plecak, lunch – pastę z fasoli – deskę z napisem „SKOLSTREJK FÖR KLIMATET” (Szkolny strajk dla klimatu) i ulotki z informacjami o emisjach CO₂, wymierających gatunkach oraz, krótko, o samej protestującej. „Mam na imię Greta, chodzę do dziewiątej klasy i strajkuję w szkole na rzecz klimatu. Skoro wy, dorośli, macie w nosie moją przyszłość, ja też nie będę się nią przejmować”.

Pierwszego dnia siedziała sama. Drugiego do protestu przeciw obojętności szwedzkiego rządu wobec przegrzania planety i nadchodzącej apokalipsy przyłączyła się jedna osoba. Kilka dni później kolejne. Rok później strajkowały miliony. A cały świat chciał wiedzieć, kim jest dziewczynka, która wprawiała tę maszynę w ruch.

Greta Thunberg urodziła się 3 stycznia 2003 roku. Jej matka, Malena Ernman, jest gwiazdą szwedzkiej opery i finalistką Eurovizji 2009. Na YouTube można znaleźć klip z jej występem: wygląda dokładnie tak, jak człowiek sobie wyobraża szwedzką eurowizyjną piosenkę. Muzycznie to połącze-



ZETKI NIE CHCĄ RATOWAĆ ŚWIATA

Pokolenie Greta Thunberg okazało się wydmuszką, jak wcześniej pokolenie JP2

KATARZYNA WĘŻYK

nie przesłodzonego popu z operą, wizualnie barok walczy z disco, wszystko ostro podlane Abbą. Ernman jest ubrana w odsłaniającą opalone, umięśnione ramiona obcisłą białą suknię, platynowe włosy ma uczesane na syrenkę, a jej szczodry, hollywoodzki uśmiech odsłania śnieżnobiałe zęby. Podsumowując, ostatnia osoba, którą podejrzelibyście o wspólne geny z niepozorną Gretą w adidasach i kraciastych koszulkach, z mysimi warkoczami i zdeterminowanym wyrazem twarzy.

Ojcem aktywistki jest aktor Svante Thunberg, daleki krewny nagrodzonego Noblem chemika Svante Arrheniusa, który już sto lat temu badał wpływ dwutlenku węgla w atmosferze na wzrost ziemskiej temperatury. Gdy urodziła się Greta, a potem jej siostra Beata, to ojciec został z nimi w domu.

W podstawówce Greta zobaczyła w szkole film o zanieczyszczeniu mórz plastikiem. Inne dzieci posmutniały, ale na krótko. Thunberg nie mogła o nim zapomnieć. W wieku 11 lat wpadła w depresję tak poważną, że przestała jeść. „Nie mogłam zrozumieć, jak mogliśmy nie uznać tego egzystencjalnego zagrożenia za priorytet. Sama trochę tkwiłam w zaprzeczeniu – myślałam, że to nie może być prawda, bo gdyby tak było, politycy by się tym zajęli” – powiedziała magazynowi „Time”.

W książce „Sceny z życia rodzinnego” Malena i Svante opisali, jak wyciągali córkę z egzystencjalnego doła. Notowali, ile zja-



FOT. KIN CHEUNG/AP

dla i ile jej to zajęło – jedna trzecia banana na śniadanie, prawie godzinę; pięć gnochchi na lunch, ponad dwie, a i to tylko pod warunkiem, że były odpowiedniej konsystencji. Stopniowo zmienili życie całej rodziny na bardziej ekologiczne – przestali jeść mięso, zaczęli uprawiać w ogródku warzywa, zainstalowali panele słoneczne – początkowo po to, żeby ratować nie tyle klimat, ile starszą córkę.

Młodsza, Beata, również zaczęła mieć problemy: niewłaściwe dźwięki czy smaki sprawiały, że traciła kontrolę. Raz Svante zabrał ją samolotem do Włoch, ale dziewczynka dostała ataku paniki i musieli wracać. – Właśnie wpuściliście do atmosfery 2,7 tony CO₂. To ekwiwalent rocznej emisji pięciorga Senegalczyków – przywitała ich Greta. Ernman, śpiewaczka występująca w całej Europie, przesiadła się do pociągów, gdy usłyszała od córki, że „wy, celebryci, jesteście dla klimatu tym, czym antyimi-granccy politycy dla społeczeństwa wielokulturowego”.

U obu dziewczynek ostatecznie zdiagnozowano neuroatypowość: u Greta zespół Aspergera, wysoko funkcjonalny autyzm i zaburzenia obsesyjno-kompulsywne, u Beaty nadwrażliwość na dźwięki.

Asperger sprawia, że Thunberg widzi świat czarno-biało, nie uznaje kompromisów i nie odpuszcza. Nieneurotypowość, przekonuje, to jej supermoc: pozwala jej przyswajać ogromną ilość informacji na tematy, które ją interesują, wycią-

gać z nich bezwzględnie logiczne wnioski i nie przejmować się tym, że się komuś nie spodoba. Jeśli naukowcy, opierając się na wiarygodnych danych, dowiedli, że jeśli dalej będziemy spalać tyle dwutlenku węgla, Ziemia przestanie być zdatna do życia dla gatunku *Homo sapiens*, jeśli dowiedli też, że zbliżamy się do punktu bez powrotu, to trzeba natychmiast wcisnąć wsteczny bieg, bo inaczej się usmażymy. Proste? Proste. Logiczne. Nie do obalenia. Teraz tylko trzeba przekonać pozostałe siedem miliardów mieszkańców zagrożonej planety, którzy z jakiegoś powodu tej logiki nie widzą, a nawet jak widzą, to ją ignorują.

Pierwszym krokiem był protest pod szwedzkim parlamentem: zrobienie czegoś, nawet samotnie, było lepsze niż nierobienie niczego. We wrześniu siedziała tam już cała grupa strajkujących. Greta ogłosiła, że będzie wracać w każdy piątek – aż Szwecja przyjmie postanowienia porozumienia paryskiego ws. klimatu z 2015 roku. Inicjatywa została nazwana „Piątki dla przyszłości” i w kolejnych miesiącach dołączyli do niej uczniowie z Europy i USA. We wrześniu 2019 roku strajki odbyły się na całym świecie, od Nowego Jorku po Sydney i od Johannesburga po Nowy Jork. Według organizatorów wzięło w nich udział cztery miliony osób.

Thunberg spędziła ten rok nie tylko na protestach. Na nowojorskim szczycie klimatycznym ONZ wygarnęła słuchaczom, że powinna być w szkole, ale ich bierność zmusza ją do działania. Jej bardzo wtedy

dziecięca twarz wyrażała emocję, na którą kobiety rzadko pozwalają sobie publicznie: gniew, nagi, zdeterminowany, nieliczący się z konsekwencjami i niecukrujący przesłania uśmiechem czy żartem. „Swoimi pustymi słowami ukradliście moje marzenia i dzieciństwo – mówiła łamiącym się głosem. – Jesteśmy na początku masowego wymierania, a jedyne, o czym mówicie, to pieniądze i bajki o wiecznym wroście gospodarczym. Jak śmiecie!”. Brawa i wiwaty, które dostała, zabrzmiały surrealistycznie.

Na festiwalu w Glastonbury powiedziała rozbawionym tłumom, że już jest bardzo źle, a będzie jeszcze gorzej, dopóki nie zaczniemy priorytetyzować ludzi i planety zamiast zysków i chciwości. „Nie możemy żyć tak, jakby jutra nie było”. Uczestników szczytu klimatycznego ONZ w Katowicach z kolei żrugała, że mogą sobie mówić, że kochają swoje dzieci ponad wszystko, ale kradną im przyszłość. A miliarderów, celebrytów i głowy państwa na Forum Ekonomicznym w Davos beznamietnie poinformowała, że nie kupuje sprzedawanych tu opowieści o ekonomicznym sukcesie, zwłaszcza że nie wspominają o jego środowiskowych kosztach. „Chcę, żebyście panikowali. Żebyście czuli strach, który ja czuję każdego dnia. Chcę, żebyście zachowywali się tak, jakby nasz dom płonął. Ponieważ tak właśnie jest”.

Min słuchaczy, z których sporo pewnie przyleciało do Davos prywatnymi samolotami, skierowana na Thunberg kamera nie odnotowała, ale założy się, że zachwyt nie był dominującą reakcją.

Greta od początku budziła silne emocje i bynajmniej nie wszystkie były pozytywne. Jej prawicowi, czasem powiązani z sektorem naftowym krytycy nazywali Thunberg mentalnie niestabilnym dzieckiem, marionetką w rękach lewackich rodziców, osobą „głęboko zaburzoną” i wysyłali z powrotem do szkoły. Donald Trump ironicznie tweetnął, że Greta „wygląda na bardzo szczęśliwą młodą dziewczynę, która nie może się doczekać jasnej i wspianalej przyszłości”. Jego brazylijski odpowiednik, fan i sojusznik Jair Bolsonaro nazwał ją bachorem. Thunberg, która w mediach społecznościowych nie bierze jeńców, umieszcila oba określenia w swoim twitterowym bio. Do historii przeszły też epickie dwa zdania, którymi zniszczyła guru manosfery, mizogina i trolla Andrew Tate’a. Tate sam ją zaczepił, chwając się swoimi autami. „Podaj

i domaga się realnych działań, nie tylko pozorowanych gestów. I czasem nawet je dostaje, w postaci uchwalenia praw regulujących emisje czy przechodzenia wielkich korporacji na bardziej zrównoważone formy robienia biznesu. W 2019 roku zwroty typu „generacja Thunberg” czy „efekt Greta” regularnie trafiały do tytułów tekstów na jej temat.

Pokolenie Z, sugerowali na łamach przedstawicieli i przedstawicielki wcześniejszych generacji, uratuje nasz świat swoją bezkompromisowością i pragmatyzmem, radykalną empatią i moralnym przesłaniem, które nie sposób zignorować. Zetki bowiem nie oglądają się na starszych, którzy je zawiedli, tylko biorą sprawy we własne ręce, nazywają rzeczy po imieniu i wskazują winnych niezależnie od tego, jak wysoko są postawieni. Czyż to nie z generacji Z wywodzą się aktywiści z Parkland, lobbingujący za ograniczeniem sprzedaży broni palnej? Czy to nie zetki organizują pomysłowe akcje Extinction Rebellion i demonstrują przeciwko chińskim zakusom na resztki autonomii Hongkongu? I czy nie zetką jest Malala Yousafzai, pakistańska działaczka na rzecz edukacji dziewczynek i najmłodsza pokojowa noblistka? „Guardian” nazwał ich „pokoleniem K”, od Katniss Everdeen, nastoletniej bohaterki dystopijnej powieści „Igrzyska śmierci”, która staje na czele rebelii uciśnionych i eksploatowanych przeciwko plutokratycznej dyktaturze Kapitolu.

Z artykułów o zetkach przebiegał odrobinę protekcyjny podziw dla entuzjazmu i energii młodych, ale też ulga: to wy, dzieci, ratujcie świat, a my, z naszych klimatyzowanych mieszkań, odrzutowców wiozących nas na wakacje i sprzed szaf pełnych nowych ubrań, będziemy wam kibicować, nie zmieniając oczywiście naszego wygodnego stylu życia.

W 2020 roku katastrofa klimatyczna zniknęła jednak z listy najpilniejszych rzeczy do załatwienia. A gdy pandemia koronawirusa dwa lata później wygasła – za to w Europie wybuchła pierwsza od 1945 roku duża wojna, a inflacja sprawiła, że koszty życia poszybowały – pokolenie Greta Thunberg okazało się podobną wydmuszką jak wcześniej pokolenie JP2.

Wiosną Deloitte opublikowało szerokie (22 tysiące respondentów z 44 krajów) badanie milenialsów i zetek. Katastrofa klimatyczna spadła na trzecie miejsce na liście obaw, wyprzedzo-

Z artykułów o zetkach przebiegał odrobinę protekcyjny podziw dla entuzjazmu i energii młodych, ale też ulga: to wy, dzieci, ratujcie świat, a my, z naszych klimatyzowanych mieszkań, odrzutowców wiozących nas na wakacje i sprzed szaf pełnych nowych ubrań, będziemy wam kibicować

swój e-mail, żebym mógł wysłać ci pełną listę mojej kolekcji samochodów i ich ogromnych emisji spalin” – dodał. No to podała. „Tak, proszę, oświeć mnie. Napisz do mnie na smalltickenergy@getalife.com”.

Tate’a zatkało, za to odezwały się głosy po lewej stronie, że Thunberg stygmatyzuje mężczyzn z małym przyrodzeniem. Intersekcyjna lewica sarkala też trochę, że biała i bogata Greta jest zbyt uprzywilejowana jak na bycie twarzą ruchu walki z katastrofą klimatyczną, która w końcu najbardziej dotyka niebiałe i ubogie społeczności – ale nie za głośno. Thunberg stara się bowiem robić miejsce na scenie dla przedstawicieli ludności rdzennej, jest kobietą, no i ma aspergera, a neuroatypowość daje trochę punktów na drabince cnoty.

W mainstreamowych, liberalnych mediach Greta awansowała z kolei na świecką świętą, głos pokolenia, dziewczynkę, która mówi władzy prawdę

na przez koszty życia i bezrobocie. Prawie połowa zetek skarżyła się na ciągły stres, ale jego powodem nie była nadciągająca apokalipsa, tylko finanse, dobrobyt własny i rodziny oraz zdrowie psychiczne. Siedem na dziesięć zetek, owszem, deklaruje, że próbuje zminimalizować swój wpływ na środowisko, na przykład kupując bardziej zrównoważone produkty, ale dodaje, że jeśli ich sytuacja finansowa się pogorszy, mogą nie być w stanie tego robić. Cztery piąte chce, żeby to biznes się dostosował i obniżył ceny przyjaznych środowisku produktów. Brzmi to wszystko rozsądnie, ale niezupełnie rewolucyjnie.

Także polscy rówieśnicy i rówieśniczki Greta nie kwapią się do walki z katastrofą klimatyczną. Jak wynika z raportu „Debiutanci 23”, osoby w wieku 18-21 lat boją się bardziej o koszty życia, zdrowie psychiczne i jakość relacji niż o konsekwencje zmiany klimatu – te ostatnie są na siódmym miejscu obaw. Pytane o najważniejsze war-

tości ekologię wymieniają na 25. miejscu. A siedem na dziesięć osób chce prowadzić spokojne, przyjemne życie, bez konieczności angażowania się w sprawy społeczne czy polityczne.

Według współautorki raportu Zuzanny Szybisty o ile faktycznie w 2019 roku zainteresowanie ulicznymi działaniami dla klimatu było rekordowe, o tyle pandemii ten aktywizm jednocześnie przerwała i zweryfikowała. Młodzi są dziś zmęczeni brakiem rezultatów – nawet masowe protesty niewiele zmieniły – ale też brzemieniem, które starsi nałożyli na ich barki. I uważają, że to winni powinni po sobie posprzątać, a nie wymagać od nich ascezy.

Jak to ujęła Louisa Miller-Out w tekście „OK, doomer. Klimatyczny nihilizm pokolenia Z” opublikowanym w uniwersyteckim magazynie „Sophian”, jej rówieśnicy nie czują się winni zmian klimatycznych. „Nie my jesteśmy odpowiedzialni za budowę infrastruktury, która je utrwała. Nie my jesteśmy odpowiedzialni za ustanowienie kapitalizmu – systemu, który daje finansowe zachę-

Greta nie sprzedaje nadziei, tylko wstyd, a wstyd to emocja, którą najchętniej wypieramy

ty do eksternalizacji kosztów w postaci szkód dla środowiska zamiast do odpowiedzialnego wytwarzania towarów. Nie można nas obwiniać za szkody wyrządzone przez poprzednie pokolenia, ale to my będziemy musieli żyć z ich konsekwencjami”. Dlatego, dodaje, zetki emocjonalnie odcinają się od perspektywy klimatycznej katastrofy, żeby chronić się przed życiem w stanie permanentnego lęku i depresji.

A Greta uparcie o niej przypomina.

Są dwa rodzaje aktywizmu. Pierwszy jest bezkompromisowy: niesprawiedliwość społeczną, dowodzi, trzeba likwidować tu i teraz, natychmiast, bo każda inna strategia jest niemoralna. Taka była Ida B. Wells, czarna aktywistka walcząca z linczami i o prawa wyborcze kobiet. Historia przetrwała jej rację, ale za życia traktowano ją lekceważąco, pomijano przy obsadzaniu stanowisk w organizacjach, które wspierała, i oskarżano o szkodzący sprawie nadmierny radykalizm.

Drugi typ aktywizmu uważa, że zmianę należy przeprowadzać małymi krokami, bo każda rewolucja powoduje backlash. Godzi się na kompromisy, nawet te zgnile, jeśli przybliżają do celu, i jest za to przez mainstream nagradzany. Ten aktywizm reprezentował Booker T. Washington, za życia najbardziej prominentny czarny działacz, dziś uznawany za asymilacyjonistę lub nawet ostrzej – za czapkującego białym Wuja Toma.

Greta należy do pierwszego obozu. Jej brutalna szczerość i brak dyploma-

cji budzą podziw, ale też przysparzają wrogów. Nie imponują jej ani władza, ani bogactwo, ani sława – potężni, sławni i bogaci muszą się czuć w jej towarzystwie jak zwykli ludzie, co, podejrzewam, może być średnio przyjemne, a na pewno zbijające z tropu – a pochlebstwa nie robią na niej wrażenia. Nie da się jej uciszyć zestawem zwyczajowych metod: nie daje się kupić, zawstydzić ani ugłaskać.

Nie sprzedaje nadziei – żadnego „wszystko będzie dobrze, jak tylko się trochę, ale nie za bardzo, postaramy, nauka nas uratuje” – tylko wstyd, a wstyd to emocja, którą najchętniej wypieramy.

A zawstydzają nie tylko słowa, ale też styl życia Greta. Nawet na długie dystanse nie lata, tylko przemieszcza się pociągami i statkami. Ubiera się w second handach, je wegańskie posiłki przygotowane w domu („mogłabym jeść tylko chleb, bez niczego, codziennie”), a żyje ze stypendium naukowego, bo zarobione pieniądze rozdaje.

A zarabia raczej nieźle: jej książka „No One Is Too Small to Make a Difference” sprzedała się w dwóch milionach egzemplarzy, stawki za publiczne wystąpienia na zgromadzeniach typu Davos też są konkretne, a w 2020 roku została nagrodzona Gulbenkian Prize for Humanity i czekiem na milion euro. „Wygrałam wiele nagród wartych jeszcze więcej, ale wszystko przekazuję na cele charytatywne. Byłoby miło mieć pieniądze, ale kiedy wspieram jakiś cel, jak konserwacja przyrody czy pomoc uchodźcom, mogę rozpocząć debatę na ten temat” – powiedziała magazynowi „Time”. Poza tym, jak dodała, artyści czy influencerzy mogą zarabiać i nikt tego nie krytykuje, ale ona nie może. Zyski z własnie ukazującej się w Polsce „Książki o klimacie” też zamierza rozdać.

MOŻE I JEST NEUROATYPOWA, ALE MA RACJĘ

Trudno się zdecydować, co w Thunberg jest bardziej irytujące: jej niezachwiany klimatyczny purytyzm czy totalny brak hipokryzji. Jedno i drugie stawia bowiem nas, zwykłych śmiertelników, w kiepskim świetle. Greta ma rację: asperger jest jej supermocą, ale supermoce mają to do siebie, że dostępne są nielicznym. Reszta, w tym jej rówieśnicy, woli jednak żyć w miarę możliwości wygodnie, nawet jeśli to oznacza budowanie willi na wulkanie i ignorowanie faktu, że podłoga robi się coraz cieplejsza.

Tyle że, jak to ujęła Malena Ernman, jej córka może i ma diagnozę neuroatypowości, „ale to nie oznacza, że nie ma racji, a reszta z nas się nie myli”. ●

„Książka o klimacie”, w której stu wybitnych naukowców z całego świata wspólnie z Gretą Thunberg wyjaśnia mechanizmy zmiany klimatu i podpowiada, co – prócz obwiniania się – może zrobić zwykły obywatel, już w dobrych księgarniach, na Kulturalnysklep.pl i w formie e-booka na Publio.pl.



Teraz, k..., my

Jeśli nowa władza ma poniżać wyborców PiS, poniżając pamięć o ważnym dla nich zmarłym, to coś jest z nami nie tak.

Marcin Matczak



Nic z tego nie będzie. Wygraliście nie możliwe do wygrania wybory i, jak rozumiem, na tym cudzie chcecie zbudować kraj, w którym wojna polsko-polska trwa w najlepsze. Zamiast na zimno egzekwować prawo od pisowskich funkcjonariuszy, z przyjemnością drażnicie ich elektorat.

Zamiast mądrze rozliczać władzę, głupio dokuczacie ludziom. Chcecie pieczonej kaczki jako symbolu dziękczynienia. Chcecie ich upokorzyć, pokazać, kto tu rządzi. Wydaje się wam, że te osiem lat to była anomalia, że sprawę już wróciły na prawidłowy tor i że już nigdy Polska się wam nie wykolei.

Więc dacie im teraz popalić. Ma wprawdzie KO w swoim programie niezależną Komisję Edukacji Narodowej, która ma chronić szkołę od upolitycznienia, ale to się pominie. Da się edukację Lewicy, która żadnych takich neutralizujących ideologię dziwactw nie przewiduje. Było tysiąc godzin religii w szkołach, teraz będzie tysiąc godzin wychowania seksualnego i szkoleń antydyskryminacyjnych, gdzie i podejście do seksu, i dyskryminacja będą definiowane wyłącznie lewicowo, jakby innych opcji nie było. Czy w nowym programie nauczania będzie coś o wartości małżeństwa albo macierzyństwa?

W kraju, w którym kilkanaście milionów ludzi głosowało na partie konserwatywne, upolityczni się najbardziej polaryzujący obszar, czyli wychowanie dzieci. Żeby można było wajchę przerzucić maksymalnie w lewo, tak jak była przerzucona w prawo. Zgodnie ze starą humanistyczną zasadą: „teraz, k..., my”. Da się prezent Czarnkowi i innym oszołomom, którzy znów będą krzyczeć o seksualizacji polskich dzieci, a konserwatywny wyborca będzie tego słuchał i będzie się gotował w środku przez cztery lata. A potem się cud 75 procent frekwencji nie powtórzy i znowu będziemy zachodzić w głowę, co się stało.

Byle szybko, byle zająć przyczółki – niech życie publiczne będzie walką. Ta metafora siedzi w waszych głowach i nie umiecie się z niej wyzwolić. Dlatego nadal nie będzie rozmowy, ale masakrowanie słowem. Język będzie służył głupim przytykom, nie budowaniu wspólnej wizji przyszłości. Jak w czasie „debaty” Morawiecki z Tuskiem będą się podszczypywać – jeden „bandą rudego”, drugi przypominając starania bambika o pracę? Szydera zamiast lidera?

Był kiedyś kraj, który rzeczywiście był sam ze sobą na wojnie. Gdzie ludzie masakrowali się nie metaforycznie, ale dosłownie – maczetami. W tym kraju Nelson Mandela, siedząc 27 lat w więzieniu, nauczył się afrikaans, języka swoich oprawców, żeby ich lepiej zrozumieć. W czasie publicznych wystąpień odczytywał w nim wiersze. Co byłoby odpowiednikiem nauczania się języka drugiej strony u nas? Publiczna modlitwa Tuska na Jasnej Górze pokazująca szacunek dla katolików?

Mandela wziął udział w meczu rugby, które było symbolem zwolenników apartheidu. To tak, jakby Trzaskowski wziął udział w miesięcznicy smoleńskiej i nieironicznie złożył

kwiaty pod czarnymi schodami na placu Piłsudskiego. Mandela wymógł, aby wśród jego ochroniarzy byli biali. To tak, jakby Brejza zdecydował, że mają go chronić ludzie Wąsika.

Mandela wykonał te wszystkie gesty wobec ludzi odpowiedzialnych za zbrodnie przeciw ludzkości, nie za osiem lat autorytarnych rządów. Zrobił to, aby scalić rozdzielony nienawiścią naród. Przy tej nienawiści nasze spory wyglądają jak kłótnia przedszkolaków. U nas nikt takich gestów sobie nawet nie wyobraża – przyznajcie, że wydają się wam po prostu śmieszne.

Ja też ich nie oczekuję, bo wiem, jacy jesteśmy. Ale chciałbym, żeby Roman Gierzych nie był ministrem sprawiedliwości, bo dla drugiej strony będzie Ziobrą à rebours – kimś szukającym nie sprawiedliwości, ale zadośćuczynienia osobistym krzywdom. I żeby nie urządził na Twitterze sondy, czy przenieść pomnik Lecha Kaczyńskiego w bardziej ustronne miejsce. Bo jeśli nowa władza ma poniżać wyborców PiS, poniżając pamięć o ważnym dla nich zmarłym, to coś jest z nami nie tak.

Może w ogóle uderzcie z grubej rury? Zróbcie referendum nie na temat przeniesienia pomnika, ale w sprawie usunięcia pary prezydenckiej z Wawelu. Przecież to dopiero dopiekłoby drugiej stronie – taka superekshumacja w zemicie za te wszystkie poprzednie, prawda? Nikomu nie przyjdzie do głowy, by w geście pojednania wreszcie nazwać imieniem byłego prezydenta jedną z głównych warszawskich ulic? Chcecie odebrać kilka procent elektoratu PiS czy go umocnić w przekonaniu, że nigdy nie będziecie ich władzą, więc jedynym dla nich ratunkiem są Czarnek i Kowalski?

Pyta mnie poważny człowiek, czy odbudowy praworządności nie potraktować jako koniecznego zamachu, jak ataku Piłsudskiego na ruską pociąg pod Bezdunami albo zamachu Izraelczyków na hotel King David w Jerozolimie w 1946. Zamachu państwowotwórczego, przemocy koniecznej, której cel uswieca absolutnie wszystkie środki. A więc jesteśmy na wojnie, gdzie wszystkie chwytysą dozwolone?

Jeśli odbudowa praworządności będzie zamachem na nią, jaki ma sens? Mamy leczyć dżumę cholera? Dlaczego nawet dobrzy prawnicy przekonują, że prawo trzeba złamać, żeby przywrócić dla niego szacunek? Mamy naprawić złożony, rozregulowany system uderzeniem bejsbola?

Powiecie, że to, co piszę, jest naiwne. A może po prostu lubicie się nawalać i udowadniać swoją wyższość? Pokazać ciemnogrodowi, gdzie jego miejsce, zapominając, że w demokracji głos tego „ciemnogrodu” waży tyle samo, co wasz?

Jeśli to, co zdarzyło się w RPA, było naiwne, to, co dzieje się u nas, jest groteskowe. To Polska z kreskówki, gdzie Tom goni Jerry’ego, a co cztery lata zamieniają się rolami. Gdzie rządzi sadyzm – chęć, aby wszelkimi sposobami dopieć drugiej stronie. Czy tak jak PiS uważacie, że będziecie rządzić wiecznie? Nie będziecie – ten karnawał pychy i odplacania pięknym za nadobne może się skończyć wcześniej, niż myślicie.

Dlatego liberalowie i lewicowcy pokazują w badaniach większy poziom uprzedzeń wobec konserwatystów niż vice versa? Może dlatego, że tych ostatnich napędza resentyment, biorący się z poczucia niższości, a tych pierwszych pycha, wynikająca z poczucia wyższości?

I wychodzi na to, że pycha jest gorsza. ●

„Czy zastanawialiście się kiedyś, jak będzie wyglądała Polska bez was? Za 50, 60 czy 100 lat?” – pyta nasz felietonista w „**Kraju, w którym umrę**”. Nowa książka Marcina Matczaka już dostępna w dobrych księgarniach i w formie e-booka.

A poprzednia – „**Tajne państwo z kartonu. Rozważania o Polsce, bezprawiu i niesprawiedliwości**” – nadal w księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL



SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM



MARIA EJCHART



MICHAŁ WAWRYKIEWICZ



PAULINA KIESZKOWSKA-KNAPIK

POKAZALIŚMY EUROPIE, JAK SIĘ BRONIĆ

Wolne Sądy: Wielu z nich poniesie odpowiedzialność karną. To są tchórze, którzy byli silni tylko swoją władzą

Z MECENASAMI **MARIĄ EJCHART, PAULINĄ KIESZKOWSKĄ-KNAPIK, SYLWIĄ GREGORCZYK-ABRAM I MICHAŁEM WAWRYKIEWICZEM** Z INICJATYWY „WOLNE SĄDY” ROZMAWIA **WALDEMAR PAŚ**

Spodziewaliście się takiego wyniku wyborów?

MARIA EJCHART: Tak, choć nikt chyba się nie spodziewał zwycięstwa w takiej skali. **PAULINA KIESZKOWSKA-KNAPIK:** Odzyskaliśmy swoje miejsce na Ziemi.

SYLWIA GREGORCZYK-ABRAM: Wydawało nam się, że jak robimy kolejną konferencję przed Sądem Najwyższym, to jesteśmy ostatnimi Mohikanami.

M.E.: I że dla nikogo nie jest ważne to, o czym mówimy.

MICHAŁ WAWRYKIEWICZ: Przyznam, że po ogłoszeniu wyników sądziłem, że będziemy biegać po ulicach i otwierać szampana.

M.E.: Ja czułam strach pod koniec powyborczego tygodnia, że wydarzy się coś niespodziewanego, np. przewrót wojskowy.

Nie boicie się, że to wciąż możliwe?

M.W.: Teraz już nie.

S.G.A.: Praworządność jest tematem numer jeden i od jej przywrócenia trzeba zacząć sprzątanie państwa.

P.K.K.: Rozpoczęła się narodowa dyskusja praworządnościowa, bierzemy w niej udział.

M.W.: Dla częściowego zatrzymania destrukcji państwa prawa bardzo ważne było, że Unii Europejskiej udało się połączyć wymóg praworządności z wypłatą pieniędzy. PiS nie mógł wykorzystać miliardów z unijnej kasy w swojej politycznej kampanii.

Jak zareagowali wasi znajomi z zagranicy?

M.W.: Po wyborach spędziłem kilka dni w Brukseli i na własne oczy widziałem to wielkie poczucie ulgi. Bo tu nie chodzi tylko o Polskę. To punkt zwrotny, który może nadać impuls całej Europie i światu, że można wrócić do demokracji. Może pokazać, jak radzić sobie z takimi autokratami jak Orbán, Trump czy Bolsonaro.

P.K.K.: Cały świat będzie się przyglądał temu, jakimi metodami Polska zacznie przywracać praworządność. To będzie punkt odniesienia, wzorzec dobrych praktyk i błędów, których należy unikać.

M.W.: Nikt na świecie jeszcze przez to nie przechodził. To nie jest wyjście z autorytaryzmu narzuconego nam siłowo w 1945 roku. Będziemy wychodzić z autorytaryzmu, który został wdrożony po demokratycznych wyborach.

M.E.: To jest wielkie zwycięstwo wszystkich obywateli. 15 października okazało się, że nie zadziałał ten nienawistny przekaz.

S.G.A.: Podczas naszych wyjazdów wielokrotnie mówiliśmy: a co byłoby u was, gdyby przez osiem lat publiczna telewizja nadawała zgodnie z narracją np. AFD? Jakimi byłby stan umysłów w Niemców, Holendrów czy Belgów? Widzieliśmy zaniepokojenie na twarzach rozmówców.

Czy to były uczciwe wybory?

M.W.: Oczywiście, że nie. Przede wszystkim nie były równe. Raport OBWE o tym mówi. Wygraliśmy właściwie podwójnie, wbrew kłodom rzucanym pod nogi opo-

zycji. Przy sprawiedliwych wyborach opozycja dostałaby dwa razy tyle tych głosów. Gdyby nie ta propaganda TVP, gigantyczna przewaga medialna, finansowa, infrastrukturalna...

P.K.K.: ...wykorzystanie urzędów, administracji, konferencji prasowych, rozdawnictwa...

M.E.: ...wozów strażackich.

M.W.: Gdyby nie ta gigantyczna dysproporcja, to pewnie zwycięstwo opozycji byłoby miażdżące.

P.K.K.: A mimo to oni przegrali.

S.G.A.: Trzeba podkreślić, że to bezprecedensowe zwycięstwo organizacji społeczeństwa obywatelskiego i zwykłych ludzi, którzy się zaangażowali.

M.E.: Niesamowita była oddolna kampania obywatelska.

M.W.: Społeczna mobilizacja.

P.K.K.: Pieniądze na kampanię zostały zebrane po prostu z mikrowpłat.

M.E.: Tak wielu ludzi włączyło się w polityczną, ale niepartyjną kampanię. Czasami mam wrażenie, że politycy o tym zapominają.

S.G.A.: Już słyszymy od niektórych polityków: my wygraliśmy wybory. No tak, wygraliście, ale myślę o tym, że to ludzie dla was je wygrali.

ME: Ludzie namawiali sąsiadów, robili, co mogli, w swych mediach społecznościowych, tłumacząc, dlaczego idą na wybory.

P.K.K.: Były świetne analizy na temat turystyki wyborczej. To też uświadomiło ludziom organiczną niesprawiedliwość tych wyborów, np. podział mandatów, kwestie, które nigdy nie były przedmiotem debaty. Byłam mężem zaufania w okolicach Grójca i tam głosowałam.

Turystyka wyborcza miała sens?

P.K.K.: Niektórzy matematycy wyliczali, że może chodzić aż o trzy dodatkowe mandaty dla opozycji. Nawet jeżeli to nie przyniosło rezultatu, to nie zaszkodziło i spowodowało, że ludzie zaczęli się interesować odpowiedzią na pytanie, gdzie oddać ważny głos.

M.W.: Zdezaktualizowało się twierdzenie, że jeden głos nic nie znaczy.

S.G.A.: I to kolejna zasługa obywateli. Każdy myślał: co mogę zrobić. Bo to jest nasze miejsce na Ziemi, musimy je odzyskać.

P.K.K.: Zniknął wykręt: nie idę na wybory, bo nie mam na kogo głosować.

S.G.A.: Pojawiła się nawet dyskusja: dobra, na którą listę zagłosować, aby cała demokratyczna opozycja uzyskała jak najlepszy wynik.

P.K.K.: W mojej komisji niedaleko Grójca, gdzie uczestniczyłam w kontroli wyborów, przyszło ok. stu osób z zaświadczeniami, aby tu zagłosować. Konsultowali się jeszcze w kolejce, dyskutowali. Tak nigdy nie było.

M.W.: To zwycięstwo jest historyczne. Jak 4 czerwca 1989 r., kiedy powiedzieliśmy komunie: bye, bye.

W 1989 r. komuniści byli gotowi oddać część władzy. Teraz nikt nie chciał jej oddać. W dodatku przegrana oznacza dla niektórych odpowiedzialność karną. Czy zwycięstwo nie przyszło zbyt łatwo?

P.K.K.: Biorąc pod uwagę skalę siłowego przejmowania państwa przez PiS, nie wiem, co się wydarzy. Chyba żadne z nas nie zakłada, że przejęcie władzy pójdzie gładko i przyjemnie.

M.E.: Na razie wygląda na to, że kupują niszczarki.

M.W.: Wiadomo, że wielu z nich poniesie odpowiedzialność karną. To są tchórze, którzy byli silni tylko swoją władzą. Teraz ogarnia ich strach, że poniosą odpowiedzialność. I tracą rezon.

M.E.: Ja tego nie wiem. Czas, który minie od wyborów do utworzenia rządu, umożliwi im wyczyszczenie wszystkiego, co da się wyczyścić.

Widzieliście po wyborach hasło napisane solidarycą „Tylko nie spierdolicie tego”? Wiele osób to udostępniało. Mnie zastanowiło, że skoro to było wspólne,

obywatelskie zwycięstwo, to dlaczego napis nie brzmi: „Tylko nie spierdolicie tego”. Skąd taki dystans wobec ulicy Wiejskiej już dzień po wyborach?

M.E.: To sygnał, że jako obywatele zrobiliśmy tyle, ile mogliśmy, a później zwycięstwo oddajemy w ręce tych, którzy tę władzę będą pełnili.

M.W.: A dla mnie to hasło jest wyrazem solidarności społecznej i takiego ogromnego mandatu zaufania wobec nowej władzy. „Nie spierdolicie tego”, bo wam cholernie zaufaliśmy, posłaliśmy z wami po nową Polskę i wy macie nam ją dowieźć.

S.G.A.: Odpowiedzialność za naprawę państwa jest podzielona, ciąży przede wszystkim na politykach, bo faktycznie to oni mają władzę. Dostali olbrzymi kredyt, niektórzy naprawdę na wyrost. Społeczeństwo obywatelskie wykonało kawał roboty, a teraz musimy myśleć o tym, jak budować jedność w podzielonym społeczeństwie.

O czym rozmawialiście z Donaldem Tuskiem? Cała Polska podziwiała na Facebooku wasze wspólne zdjęcie.

S.G.A.: O praworządności. Przez sześć lat zajmowaliśmy się jej obroną, diagnozą, archiwizacją tego wszystkiego, co się działo, więc bardzo się cieszymy, że mieliśmy oka-

tarde warunki. Polska zobowiązana została przyjąć ustawę likwidującą mały fragment bezprawia.

M.E.: Natomiast jeśli nowy rząd zadeklaruje powrót na europejską ścieżkę, znacznie przywracać praworządność, uchylać przepisy, przestanie represjonować sędziów i prokuratorów, to Komisja Europejska zmieni podejście.

A jeśli przyjętą ustawę zawetuje prezydent?

M.W.: Wówczas Komisja dostrzeże tę obiektywną przeszkodę, zauważy intencję i realne zmiany. Bo nowy minister sprawiedliwości i prokurator generalny może doprowadzić do tego, że ustawa kagańcowa będzie faktycznie martwa.

S.G.A.: Czyli de facto będzie zrealizowany kamień milowy potrzebny do wypłaty KPO.

M.W.: Dużo zależy od tego, kiedy powstanie rząd, czy będzie to początek grudnia, czy raczej przed świętami, a może jeszcze później. Dopiero wtedy możemy mówić o rzeczywistym procesie przywracania praworządności w Polsce, choć naprawa relacji z Unią już się zaczęła – przykładem jest wizyta Donalda Tuska w Brukseli i bardzo dobry sygnał płynący z Brukseli. Przypuszczam, że zaraz po powstaniu rządu

W Brukseli słyszeliśmy, że w latach 80. bohaterami byli polscy robotnicy, a w ostatnich latach sędziowie

Nasze wybory to punkt zwrotny, który może nadać demokratyczny impuls całej Europie i światu

zję opowiedzieć, jakie są zasady, jak utrzymać standard prawa człowieka w demokratycznym kraju.

M.W.: Nie była to rozmowa o stanowiskach.

M.E.: Lider największego ugrupowania opozycyjnego, który pociągnął te wybory i będzie przyszłym premierem, mówi: chcę porozmawiać o praworządności, zobaczyć, jak to wygląda, gdzie jesteście i co możemy zrobić.

S.G.A.: Docenił nasz wysiłek i lata pracy.

M.W.: Bez spraw przed europejskimi trybunałami, które wygraliśmy m.in. my, ale też wielu innych prawników, nie byłoby już ogóle o czym rozmawiać. Niewiele osób wie, że odbudowa państwa prawa będzie się opierać właśnie na tych wyrokach. Mamy w tym swój udział, co jest powodem do dumy.

Jakie waszym zdaniem są perspektywy na odblokowanie unijnych pieniędzy?

M.W.: W tygodniu po wyborach rozmawialiśmy ze wszystkimi najważniejszymi gabinetami w Komisji – Very Jourovej, Didier'a Reynersa i Ursuli von der Leyen, byliśmy też w Parlamencie Europejskim. Przez ostatnie lata żmudnej, organicznej pracy udało nam się zapracować tam na wiarygodność, oni wiedzą, że znamy się na rzeczy, nigdy nie zawiedli się na nas i możemy teraz pomóc naprawić relacje Polski z Unią Europejską.

S.G.A.: Wolne Sądy oraz inne organizacje pozarządowe, kontaktując się z instytucjami unijnymi, wypracowały nowy standard.

Przez to, że rząd nie reprezentował naszych interesów, to my zaczęliśmy być takim ministerstwem społecznym spraw zagranicznych. Chciałabym, aby tak było dalej, żeby społeczeństwo obywatelskie miało możliwość prezentowania w instytucjach unijnych swojego stanowiska. To służy demokracji.

M.W.: Rząd Mateusza Morawieckiego nie ma żadnej wiarygodności w Komisji. Oni oczywiście obdarzyli ich kredytem zaufania na początku. Jak wszystkich. Ale po ośmiu latach to zaufanie stracili, bo oklamali Komisję ileś razy. Stąd Unia postawiła

du zostanie złożony wniosek o odblokowanie środków z KPO, bo rząd PiS formalnie go do tej pory nawet nie złożył.

W tym roku raczej nici z pieniędzy?

M.W.: Jeśli rząd zacznie funkcjonować na początku grudnia, zacznie pilnie działać, m.in. składając w Sejmie projekty ustaw, oraz złożyć natychmiast wniosek o wypłatę, to wierzę, że te transze mogą być uwolnione już z końcem roku.

S.G.A.: Komisja chciałaby przelać pieniądze jak najszybciej, gdy tylko spełnimy warunki.

M.E.: Bo to leży w interesie Europy.

M.W.: W rozporządzeniu o Funduszu Odbudowy jest powiedziane, że Komisja Europejska ma dyskrecjonalną [nieograniczoną] władzę w zakresie oceny tego, czy kamienie milowe zapisane w KPO zostały wypełnione w stopniu wystarczającym do rozpoczęcia wypłat. Komisja na bieżąco analizuje, co robi rząd, współpracuje z nim. Musi być elastyczna w zależności od okoliczności.

Inne kraje Unii chcą, żeby te pieniądze krążyły w obiegu gospodarczym i dały impuls do inwestycji i robienia biznesu w Polsce. Komisji zależy więc na jak najszybszej wypłacie, ale piłka jest po polskiej stronie.

Jeszcze większe pieniądze niż z KPO czekają na Polskę z funduszy spójności. A teraz też są zablokowane z uwagi na naruszanie unijnej Karty Praw Podstawowych, czyli prawa do niezależnego i bezstronnego sądu.

M.E.: Chodzi o naszą pozycję w Unii Europejskiej, abyśmy znów zasiedli przy najważniejszym stole, przy którym są Niemcy, Francuzi, Hiszpanie, Włosi. Polska miała już taką pozycję w latach 2014-15, kiedy Donald Tusk został szefem Rady. Teraz siedzimy gdzieś na końcu, razem z Węgrami.

Co Inicjatywa „Wolne Sądy” powie o wolnych sędziach?

M.W.: Społeczność sędziowska z całej Unii pilnowała tego, co się u nas dzieje, wciąż zadawała pytania Komisji czy Parlamentowi. A my, reprezentując polskich sędziów

przed europejskimi trybunałami, wiedzieliśmy, że działamy w imieniu europejskich sędziów. Stworzyła się taka grupa pozioma, to jest absolutnie bezprecedensowe. Niesamowite jest zainteresowanie europejskich środowisk prawniczych Polską.

Dlaczego?

M.W.: Bo zaangażowanie polskich sędziów w walkę o niezależność to piękna historia zaangażowania społeczeństwa obywatelskiego. Powinniśmy się tym chwalić, tak jak kiedyś „Solidarnością”. To ten oddolny ruch polskich sędziów, ich odważna i niezłomna postawa uratowały demokrację w Polsce. W Parlamencie Europejskim słyszeliśmy porównania, że w latach 80. bohaterami byli polscy robotnicy, a przez ostatnie lata polscy sędziowie.

S.G.A.: Zawsze się staramy podkreślać, że to sędziowie i prokuratorzy najbardziej ucierpieli. Oni na co dzień są otoczeni tymi potwornymi ludźmi oddanymi władzy. Wiedzą, że to tamci robią karierę, zarabiają dobre pieniądze. To jest na pewno znacznie trudniejsze niż dla nas.

M.E.: Bardzo nam zależy, aby to wybrzmiało, że to odważni sędziowie wykonali kawał dobrej roboty, choćby zadając pytania prejudycjalne europejskim trybunałom. To dzięki tym sprawom mamy dziś bogate orzecznictwo budujące standardy niezależności sądownictwa na kolejne dekady dla całej Europy.

S.G.A.: Wyrok w sprawie AK przeciwko Polsce jest dziś powtarzany w mnóstwie różnych orzeczeń w całej Europie. To jest punkt odniesienia do tego, jak powinno się rozumieć niezależność.

P.K.K.: Byliśmy w wielu miejscach w Europie i na świecie, ostrzegając przed tym, jak wyglądają mechanizmy niszczenia praworządności. Napisał do mnie kolega z Włoch, że wicepremier Matteo Salvini właśnie ogłosił potrzebę szybkiej i sprawnej reformy sądów, bo włoskie sądy podważają emigracyjne rozporządzenia władzy. I wszystko, co proponuje Salvini, jest niezgodne z orzecznictwem TSUE. Wyroki w polskich sprawach są kotwicą obrony niezależności sądownictwa w innych krajach o zakusach autokratycznych.

P.K.K.: Te wyroki pomagają w opowiadaniu obywatelom, co się wydarzyło i jak się bronić.

M.E.: Oczywiście teraz będzie silna narracja o odwecie, że obecna opozycja wyrzuca ich sędziów i zastępuje swoimi sędziami. Całkowicie nieuzasadniona.

W reżimowych mediach już przeczytałem o powrocie kasty.

S.G.A.: To odpowiedzialność polityków i nasza, aby naprawa była odpowiednio wytłumaczona obywatelom, których obecna władza pograżyła w chaosie prawnym.

P.K.K.: Trzeba wytłumaczyć, co z czego wynika, co powinno być zrobione. Jak ktoś ukradł samochód, to musi go oddać. I to nie jest żadną zemstą.

M.W.: W całym świecie prawniczym, począwszy od Komisji Europejskiej, Parlamentu, trybunałów, Rady Europy, ONZ, American Bar Association, międzynarodowych stowarzyszeń sędziowskich itd., nie ma ani jednej wiarygodnej opinii, wyroku, stanowiska, rekomendacji, z której wynikałoby, że zmiany PiS w polskim sądownictwie mieszczą się w cywilizowanych standardach.

M.E.: Czyli cały świat mówi co innego, niż twierdzi PiS.

M.W.: Mamy stuprocentową rację, to jest czarno-biała historia bez odcieni szarości.

Oni i tak będą mówić, że Salvini, Trump, Kaczyński i ich akolici, również prawnicy, uważają co innego.

M.W.: Ale nie mają nic w ręku, aby im wierzyć. Nawet pół wyroku.

M.E.: Nikt wcześniej nie zmierzył się z takim systemowym niszczeniem wymiaru sprawiedliwości.

P.K.K.: Wcześniej dyskutowaliśmy o tym, czy wyroki są sprawiedliwe, czy sędzia jest

taki, czy śmaki, ale nigdy nie mieliśmy wątpliwości, że jest sędzią.
S.G.A.: Ale strona demokratyczna musi konsekwentnie zmieniać sposób mówienia o praworządności.
M.W.: Również środowisko sędziowskie, które jednak w ostatnich latach odrobiło lekcję. I to oni przygotowali projekty przywrócenia ram ustrojowych, naprawy sądów, usprawnienia procedur, digitalizacji akt, aby sądy były nowoczesną instytucją XXI wieku.

Kiedy to się wydarzy?

M.W.: Cała, gruntowna naprawa wymiaru sprawiedliwości musi wejść w życie w tej kadencji Sejmu.

A przywrócenie ram praworządności? S.G.A.: W pół roku do roku.

M.W.: Uchwalenie ustaw może nastąpić w ciągu 100 dni.
P.K.K.: Ale potem trzeba będzie przeprowadzać konkursy przed nową, już legalną KRS. Trzeba będzie wymienić neosędziów na legalnie powołanych sędziów.
M.W.: Musimy zacząć od KRS.

To zawsze mówiliście.

S.G.A.: Ja zawsze mówiłam, że od Trybunału Konstytucyjnego.
P.K.K.: Synchronicznie – Trybunał i KRS.
S.G.A.: Przed wyborami wysłaliśmy kwestionariusze do każdego komitetu wyborczego, pytając, jak chcą naprawić praworządność.

Nie odpowiedziało PiS i Konfederacja, a Bezpартyjni w ograniczonym zakresie. Ogólna konkluzja jest taka, że partie demokratyczne chcą aktywnie i szybko przystąpić do naprawy praworządności. Różnią się szczegółami, ale to bardzo spójny program, który opiera się na wyrokach europejskich i na projektach przygotowanych przez organizacje pozarządowe.

Te projekty to gigantyczna społeczna praca środowisk prawniczych. Prawnicy nie przespali ostatnich lat.

Od kiedy istnieją te projekty?

M.W.: Zaczęło się od przyjęcia wspólnego dekalogu naprawy praworządności jesienią 2021 r. Napisaliśmy go przy okazji wywiadu dla „Wyborczej”.

Na bazie tych dziesięciu punktów zostało zaprojektowane i podpisane Porozumienie dla Praworządności. Najpierw podpisały to organizacje społeczne, które zajmują się walką o praworządność od samego początku, przy pełnej aprobacie stowarzyszeń sędziowskich i prokuratorskiego, a potem do paktu przystąpiły partie opozycyjne. I jednocześnie Iustitia napisała pierwszą ustawę realizującą punkty o KRS i neosędziach.

I to był wielki sukces, że ta ustawa została złożona do Sejmu wtedy przez KO i Lewicę. A potem do pracy włączyła się Fundacja Batorego i Lex Super Omnia.

Co trzeba zrobić z neo-KRS?

M.E.: Zlikwidować ją i powołać legalną Krajową Radę Sądownictwa. Obecna neo-KRS nie jest organem konstytucyjnym, jest całkowicie politycznie podległa, potwierdziły to Sąd Najwyższy czy NSA. Taka prawidłowa Rada to zgodnie z konstytucją 25 osób, z których 15 sędziowskich członków powołują sędziowie, wg projektu Iustitii – w powszechnych wyborach. Pozostali to reprezentanci władzy wykonawczej i ustawodawczej, a zatem parlamentarzyści, przedstawiciel prezydenta i minister sprawiedliwości z urzędu.

Dlaczego sędziowie mają mieć większość w KRS?

S.G.A.: Dlatego że zgodnie ze 186 artykułem konstytucji to jest organ, który ma stać na straży niezależności sądownictwa. Gdyby większość miała w nim władza wykonawcza albo ustawodawcza, to KRS nie mógłby stać na tej straży, bo z natury rzeczy bardziej dbałby o interesy władzy wykonawczej czy ustawodawczej.

M.W.: To jedyne miejsce w konstytucyjnym archipelagu, gdzie sędziowie mają większość – tak zostało to wymyślone jeszcze przy Okrągłym Stole w 1989 r., przy podstoliku m.in. z udziałem Jarosława Kaczyńskiego i prof. Adama Strzembosza. Podobne rozwiązania są w 17 państwach Unii Europejskiej.
P.K.K.: Sędziowie mają do tego kompetencje. Tak jak lekarze w zakresie leczenia. W dzisiejszych czasach każdy może wyrazić zdanie o prawie czy o medycynie, ale w sprawach merytorycznych głos muszą mieć fachowcy. To dość skomplikowane materie.

Co zrobić z neosędziami?

M.W.: Najlepiej rozwiązuje to projekt Iustitii, który jest najbliższy nam, naszemu sercu. I większości opozycji. Jest najbardziej sprawiedliwy i systemowo roztropny.
P.K.K.: Chcemy uniknąć polowania na czarownice. Czyli tak jak w przetargach, gdzie trzeba powtórzyć wadliwe konkursy. Bez emocji, wendety, personaliów. Tym neosędziom nic złego się nie dzieje, oni tylko wracają tam, skąd przyszl. Na zasadzie delegacji dokończą rozpoczęte sprawy, aby obywatele nie odczuli naprawy na własnej skórze. No i wszystkie wyroki wyda-



Podczas wyjazdów mówiliśmy: a co byłoby u was, gdyby przez osiem lat telewizja nadawała narrację nacjonalistów?

Rząd Mateusza Morawieckiego nie ma żadnej wiarygodności w Europie. Stracili zaufanie, bo kłamali



ne z udziałem neosędziów pozostaną ważne, ponieważ tego wymaga zasada zaufania do państwa.

M.W.: Zgodnie z projektem Iustitii na swych miejscach pozostaną nowi sędziowie po Krajowej Szkole Sędziów i Prokuratorów, którzy byli asesorami, ponieważ neo-KRS nie odegrała przy ich nominacjach żadnej roli, nie było procesu selekcji. Oni trafili na zły moment w historii. Na zajmowane wcześniej stanowiska muszą wrócić ci, którzy przystąpili do konkursów i świadomie awansowali przy udziale nielegalnej neo-KRS. Bardzo często byli to nie najlepsi fachowcy, bez etycznych wartości, protegowani władzy, niektórzy znani z antysemickich treści czy jako zlecający przesłuchanie rodzącej kobiety. Taki Konrad Wytrykowski w ciągu roku awansował z sądu rejonowego, przez okręgowy, apelacyjny, a na końcu do Sądu Najwyższego – piękna neokariera. A przecież ogromna rzesza przywoitych sędziów nie startowała w tych konkursach, nie chcąc legalizować bezprawia. Teraz chodzi o przywrócenie jakiejś elementarnej przyzwoitości.
M.E.: Awansowano lojalnych. Niektórzy mieli fatalne wyniki pracy, większość tzw. uchylów, co uznawano za dowód ich niezależności intelektualnej. Absurd.
P.K.K.: Inną kwestią jest odpowiedzialność dyscyplinarna czy karna za to, co ktoś zrobił, czego nie wykonywał.

M.W.: Mamy setki spraw ludzi, którzy składają skargi do ETPC, bo wyrok wydał neosędzia. I możliwe, że za każdym razem ETPC będzie zasądzał 10-15 tysięcy euro.
S.G.A.: Ale żaden wyrok w Europejskim Trybunale Praw Człowieka w takiej sprawie nie zapadł.

Co z prokuraturą?

M.E.: Została ona całkowicie przejęta przez polityków, stała się politycznie używanym urzędem do prowadzenia konkretnych postępowań.

Każdy prokurator ma nad sobą czterech zwierzchników. Nie ma żadnej niezależności, samodzielnności, nie tylko funkcyjnej, ale także intelektualnej.

Prokuratorzy nie są odpowiedzialni za akty oskarżenia, które stworzyli. Przycho-dzący do sądu prokuratorzy w ogóle nie znają spraw.
Stowarzyszenie prokuratorów Lex Super Omnia przygotowało projekt reformy prokuratury, zakłada on właśnie oddanie prokuratury wymiarowi sprawiedliwości.

Jak zabezpieczyć system prawny przed ponowną demolką?

M.W.: Ile zamków nie zamontujemy w drzwiach, to ktoś może wyważyć je łomem. Tak zawsze mówi prof. Mirosław Wy-rykowski.

Jest propozycja prof. Macieja Kisilowskiego i innych prawników oraz naukowców, aby przenieść bardzo wiele kompetencji do samorządów.

S.G.A.: W ramach konstytucji tylko niektóre kompetencje można przenieść na poziom samorządowy.
M.W.: Zmiana w konstytucji dziś jest nie-realna. Konstytucja z 1997 r. jest na szczęście bardzo dobra, liberalna, nowoczesna jak na standardy europejskie. I musimy się w jej zakresie poruszać. Ale próbować uszczelniać system, gdzie się da. Nigdy go jednak nie uszczelnimy całkowicie. Trze-



Podczas wyjazdów mówiliśmy: a co byłoby u was, gdyby przez osiem lat telewizja nadawała narrację nacjonalistów?

Rząd Mateusza Morawieckiego nie ma żadnej wiarygodności w Europie. Stracili zaufanie, bo kłamali



ba edukować, budować kulturę prawną i polityczną. Im one są bardziej rozwinięte, tym trudniej rozmontować praworządność.

Wyobrażacie sobie, że co cztery lata będzie konieczna mobilizacja na taką skalę jak przed 15 października? Biden się boi, że Trump dojdzie do władzy, może szcypionki na populizm nie działają?

S.G.A.: Rośnie nowe pokolenie, które w tych wyborach zdecydowanie pokazało pazur i potrzebę zmiany. To nas uratuje. Bo przybędzie nam młodych wyborców.
P.K.K.: Poza tym frekwencja 74 proc. to jest standard zachodnioeuropejski.
M.E.: To, co się wydarzyło przez te osiem lat, to jest bardzo ważna nauka. Oczywiście ona nie jest nas w stanie wyleczyć ze wszystkiego, ale to jest dobra lekcja.

Co ze słynnym głosowaniem w sali kolumnowej Sejmu i masą kolejnych takich spraw? Może trzeba zrobić ich wykaz, aby zajęły się nimi prokuratury?

M.W.: Trzeba stworzyć taki katalog. Tym bardziej że wiele spraw nigdy nie zostało nazwanych przestępstwem.
S.G.A.: To robota dla nas i niezależnej prokuratury.

Prasa na pewno też będzie zainteresowana.

P.K.K.: To absolutnie nie może zostać zapomniane.
M.E.: I tu wracamy znowu do niezależnej prokuratury, prokurator nie może bać się postawić zarzutów. I to nie jest kwestia rozliczenia przez polityków.

A co z Trybunałem Stanu? Warto go wykorzystać?

M.W.: Trybunał Stanu najmniej się udał konstytucyjnie. Ten organ jest praktycznie martwy. A odpowiedzialność, o której my mówimy, ma przede wszystkim charakter karny i będzie się odbywać przed sądami.
S.G.A.: Przed Trybunałem Stanu odpowiada określona kategoria osób za popełnienie deliktów konstytucyjnych i w ograniczo-

nym zakresie w sprawach karnych, za to, co zrobili w trakcie pełnienia funkcji.
M.W.: Wielu z tych, którzy popełnili przestępstwa w ostatnich latach, nadużywając władzy, będzie odpowiadać przed sądami karnymi. Potrzeba do tego niezależnej prokuratury, która postawi zarzuty.

Brakuje miejsca i czasu, aby wszystko omówić. Co chcielibyście dodać?

S.G.A.: Powiedzmy dwa słowa o więzieniach, to działka Marysi.
M.E.: Winston Churchill mawiał: zajrzyj do więzienia, a będziesz wiedział, co się dzieje w danym kraju. Zajmowaliśmy się demokracją, a w więzieniach mamy naprawdę bardzo złą sytuację. Prawa więźniów zostały ograniczone jak nigdy dotąd. Pamiętajmy też o lawinowym przyroście tymczasowych aresztowań.
To dlatego PiS tak przegrał w więzieniach jak nigdzie indziej. Przerznął koncertowo.
P.K.K.: Zwykle PiS ma dosyć wysokie poparcie w więzieniach.
M.E.: Reforma w więzieniach jest na liście rzeczy do zrobienia. To tykająca bomba.

Dlaczego?

M.E.: Jesteśmy na granicy buntów w więzieniach. A to wszystko się dzieje wraz z dra-końskimi zmianami w kodeksie karnym. Od 1 października mamy najsurowsze prawo karne w Europie.

Ale czy kodeks karny obowiązuje? Prof. Mikołaj Malecki z UJ mówi, że wprowadzono go wadliwie, więc nie obowiązuje.

S.G.A.: Mikołaj Malecki ma mnóstwo racji, ale niestety jest w mniejszości.

A wy jak uważacie?

M.E.: Można bronić stanowiska, że kodeks nie wszedł w życie. Prof. Malecki ma rację, że prawo zostało przy okazji procesu legislacyjnego naruszone. Gdyby był niezależny i legalny Trybunał Konstytucyjny, to mógłby odpowiedzieć na to pytanie.
Ale na wszystkich uniwersytetach nowy kodeks jest nauczany od 1 października. To oznacza, że nowy kodeks obowiązuje.

Czy to nie jest jakaś słabość polskiej klasy prawniczej, w tym profesury?

P.K.K.: To jest wina PiS, że doprowadziło do takiego stanu. Co mają zrobić wykładowcy prawa karnego, jeśli kodeks de facto jest stosowany? Można oczywiście mówić, że rzeczywistość jest inna. To tak jak z neosędziami. Przecież pracują i orzekają. To trzeba naprawić de iure, czyli nowym przepisem.

Co będą robić Wolne Sądy w wolnej Polsce? Nie rozejdziecie się każdy w swoją stronę?

M.W.: Na razie nie mieliśmy czasu na takie refleksje, skupiamy się na pracy nad mechanizmami naprawy państwa, mamy pełne ręce roboty.
P.K.K.: Widzimy się pierwszy raz od wyborów.
S.G.A.: Każdej władzy będziemy patrzeć na ręce.
P.K.K.: Trzeba po prostu działać.
S.G.A.: Wszyscy interesowaliśmy się prawami człowieka, to nas łączy.
M.E.: Czas zakasać rękawy i zabrać się za naprawę państwa. ●

Chcesz wesprzeć działalność Wolnych Sądów? Wejdź na patronite.pl/wolnesady

100 dni nowego rządu

SYZYFOWE PRACE. ALE TYM RAZEM SIĘ UDA



Aborcja, podatki, związki partnerskie, szkoła... Jak koalicja chce naprawić państwo i spełnić wyborcze obietnice, unikając raf, o które może się rozbić sama i na które skieruje ją Duda

Dominika Wielowieyska

Wkwietniu przyszłego roku odbędą się wybory samorządowe, w maju – europejskie. I te dwa wydarzenia będą miały olbrzymi wpływ na to, jak będzie wyglądała polska polityka w najbliższym półroczu. Każda ze stron ma sporo do ugrania w tym czasie i na pewno wykaże się determinacją.

Dla partii politycznych wybory samorządowe są ważne przede wszystkim w sejmikach wojewódzkich, bo jeśli chodzi o miasta, to obecna demokratyczna opozycja może liczyć na zachowanie lub zwiększenie stanu posiadania, podobnie jak PiS w mniejszych miejscowościach. Natomiast wybory do sejmików odzwierciedlają w największym stopniu poparcie poszczególnych partii w wyborach do Sejmu, więc bitwa będzie zażarta.

Sejmik wojewódzki odpowiada za rozwój danego regionu, gospodaruje sporymi pieniędzmi, także unijnymi, i podejmuje kluczowe lokalne decyzje gospodarcze. Jest też ważną bazą dla struktur regionalnych największych partii. Marszałkowie województwa to ważne postacie w największych ugrupowaniach parlamentarnych.

Nie ma więc wątpliwości, że prezydent Andrzej Duda będzie aktywnym uczestnikiem tej batalii, bo zechce pomóc macierzy-

stemu obozowi. A to oznacza, że Pałac Prezydencki zrobi wszystko, aby utrudnić życie nowemu rządowi i pokazać brak sprawczości Donalda Tuska. Chodzi o to, by móc ogłosić, że nowa ekipa nie spełniła obietnic wyborczych.

Ale to tylko część prezydenckiej gry.

Prezydent i szef jego gabinetu Marcin Mastalerek myślą o tym, co będą robić po zakończeniu kadencji w 2025 roku. I zakładają, że wezmą udział w walce o schedę po Jarosławie Kaczyńskim. Tym bardziej że szanse Dudy na międzynarodową posadę nawet niższej rangi na razie osłabły. A prezydent jest młodym politykiem i nie chce iść na emeryturę. Boi się losu Aleksandra Kwaśniewskiego, który po odejściu z Pałacu Prezydenckiego nie odgrywał znaczącej roli politycznej – i wie, że na lukratywną furtkę, która otwarła się przed obytym i koncyliacyjnym Kwaśniewskim, czyli posady w radach nadzorczych i gremiach doradczych, międzynarodowe wykłady, pilotowanie na salonach aspirujących przywódców, raczej nie może liczyć.

Andrzej Duda ma dwa lata, by zaprezentować się jako lider populistycznej prawicy, i z tego skorzysta. Ta polityka będzie prowadzona w kontrze do Kaczyńskiego – Mastalerek w Radiu ZET już wygłosił opinię, że prezes PiS powinien iść na emeryturę. Jednocześnie buduje narrację, że w obozie populistycznej prawicy jedynym politykiem do tychczas niezwykłym jest Andrzej Duda i nikt nie zdobył tak dużego poparcia jak on osobiście. To przygrywka do politycznej konstrukcji pod hasłem: tylko polityk nie-

zwycięzony może poprowadzić PiS do zwycięstwa w następnych wyborach parlamentarnych. Duda postara się udowodnić PiS, że to on jest teraz jego jedyną ostoją i obrońcą zdobyczy, w związku z czym Kaczyński musi zacząć go traktować poważnie.

Dlatego prezydent będzie dbał o PiS-owski aparat, budował swoje zaplecze w partii. Zakłada, że dla dużej części aktywu jest bardziej strawny niż Mateusz Morawiecki, który też aspiruje do roli lidera prawicy, ale jednak jest twarzą obecnej porażki i ciągnie się za nim opinia przedstawicieli elit III RP. Nie przypadkiem Mastalerek wciąż powtarza, że PiS zawałił kampanię wyborczą. W domyśle: jak ja, Mastalerek, zaufany i doradca Dudy, robiłem kampanię, to PiS wygrywał.

Jeśli Duda chce się objawić jako wierny syn obozu, musi mu pomóc. A ta pomoc będzie polegać na rzucaniu kłód pod nogi rządowi Tuska. Choć formalnie prezydent będzie stwarzał pozory bezstronnego arbitra, gra bowiem toczy się też o elektorat centrowy, który Kaczyński całkowicie porzucił w ostatniej kampanii.

Ta strategia Dudy determinuje politykę przyszłego rządu. Premier Tusk musi przygotować taki scenariusz działań, w którym prezydent będzie pomijany. Rządowe priorytety muszą być zrealizowane w ciągu trzech miesięcy bez udziału Pałacu, inaczej samorządowy wynik obozu demokratycznego będzie słaby. Tusk musi pamiętać, że ostatnio PiS zebrał w tych wyborach aż siedem i pół miliona głosów, więc jeśli lider KO chce zdemobi-

lizować ten elektorat, powinien wypełnić wyborcze obietnice. I to szybko.

Stąd będzie się starał za pomocą skalpela stawiać wszystkich przed faktami dokonanymi.

Pierwszy punkt to zmiana władz TVP i państwowego radia. Nie tylko dlatego, że wyborcy opozycji domagają się tego już teraz. Także dlatego, że przed wyborami nie można zostawić telewizji, w tym ośrodków regionalnych, w rękach PiS. Mówi się o co najmniej dwóch sposobach sanacji państwowych przedsiębiorstw medialnych: jeden to postawienie ich w stan likwidacji i wprowadzenie zarządów komisarycznych. Drugi: Sejm przyjmuje uchwałę, która odwołuje członków Rady Mediów Narodowych i mianuje nowych. Posłowie wybierają trzech członków Rady, którzy stanowią większość w pięcioosobowym organie. Następnie Rada wymienia władze TVP i Polskiego Radia. Można powiązać to z przywróceniem na stanowisko prezesa TVP Janusza Daszczczyńskiego, który przed przejściem telewizji przez PiS wygrał legalny konkurs i został wyrzucony z pracy bez podstaw prawnych. Dopiero po tych zabiegach przyjdzie czas na likwidację Rady Mediów Narodowych i przywrócenie jej obecnych kompetencji Krajowej Radzie Radiofonii i Telewizji.

Niewykluczone, że koalicja demokratyczna ma w zanadru jeszcze jeden wariant, którego na razie nie zdradza, bo nie chce, by PiS zabezpieczył się przed takim scenariuszem. Bądź co bądź rząd Morawieckiego nadal administruje i ma pełno instrumentów, by pozostawiać na przyszłą ekipę liczne pu-



RYŚ: NATALIA MICHAŁSKA

Tusk musi pamiętać,
że ostatnio PiS
zebrał w wyborach
samorządowych aż siedem
i pół miliona głosów, i jeśli
chce zdemobilizować ten
elektorat, musi wypełnić
wyborcze obietnice.

I to szybko

łapki. Lecz niezależnie od tego, jaki wariant będzie wybrany, zmiany w telewizji nastąpią w pierwszej kolejności, bez oglądania się na protesty czy czyjekolwiek wątpliwości. A te się pojawią na pewno, bo członkowie Rady mają swoją kadencję, tyle że nie jest ona zapisana w konstytucji.

Następnym elementem jest odblokowanie Krajowego Planu Odbudowy. Negocjacje nowego gabinetu z Komisją Europejską nie powinny być trudne – długa lista kamieni milowych ze szczegółowymi warunkami powstała dlatego, że Komisja miała zerowe zaufanie do rządu PiS. Obóz Kaczyńskiego wielokrotnie próbował ograć europejskich urzędników. Dziś jest jasne, że nowa ekipa chce realizować wyroki Trybunału Sprawiedliwości UE i przywrócić praworządność. Lista kamieni milowych może być zmodyfikowana i w pierwszej kolejności dotyczyć warunków, które można spełnić bez udziału prezydenta. Pozostałe, np. zmiany ustaw, można rozłożyć w czasie.

Duże pole do popisu będzie miał nowy minister sprawiedliwości, który może dokonać zmian w sądownictwie w ramach szerokich kompetencji, które przyznał sobie Zbigniew Ziobro. Kluczowe jest to, że władzę minister przekaze środowiskom sądowiczym, a decyzje administracyjne będzie opierał na wyrokach TSUE oraz Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

Do wymiany członków upolitycznionej Krajowej Rady Sądownictwa też może dojść bez zmiany ustawy. Manewr polegałby na przekazaniu uprawnień środowisku sędziowskiemu, które wskaże członków KRS. Sam minister może wymienić rzeczników dyscyplinarnych, prezesów sądów oraz rozmontować rozporządzeniami ustawę kagańcową, która ułatwia ręczne sterowanie sędziami i naciski na nich za pomocą m.in. wszechwładnych, a podległych ministrowi rzeczników dyscyplinarnych. W ten sposób zakończy represje wobec sędziów krytykujących zmiany w wymiarze sprawiedliwości – a to ważny punkt w negocjacjach z Komisją Europejską.

Od miesięcy opozycja pracowała nad różnymi scenariuszami w tej dziedzinie, ale nie paliła się do ich ujawnienia: i znów, z obawy, że PiS, znając te plany, zechce zabetonować system w konkretnych punktach.

Przeforsowanie jakiegokolwiek ustawy dotyczącej sądownictwa będzie trudne za kadencji Dudy. Nie chodzi tylko o to, że prezydent chce przeszkadzać nowemu rządowi w sukcesie, czyli pozyskaniu pieniędzy unijnych, ale także o to, że Duda za punkt honoru postawił sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by ktokolwiek kwestionował jego nominacje sędziowskie. I w ogóle, by odbierał mu jakiegokolwiek kompetencje. To podstawowa motywacja prezydenta, która stoi za jego decyzjami, także tymi, które nie podobały się Nowogrodzkiej.

Prezydent oczekuje od opozycji, iż ta uzna, że nawet jeśli można mieć wątpliwości co do neo-KRS, która wskazuje kandydatów na sędziów, to nie mają one finalnie znaczenia, bo akt nominacji prezydenta jest ostateczny i niejako uzdrowia proces wyłaniania kandydatów. I tu z Dudą zapewne niczego się nie wynegocjuje, ma on w tej sprawie bardziej radykalne stanowisko niż pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Manowska, z którą Duda jest w dobrych stosunkach. To Manowska była bardziej otwarta na kompromis, choć sama jest neosędzią i jej status też może być kwestionowany.

W przypadku zmian dotyczących neo-KRS trzeba się liczyć z tym, że w przyszłości Duda będzie odmawiał nominowania sędziów, których wskaże Rada po renowacji. Wtedy z nowymi nominacjami trzeba będzie poczekać na zmianę lokatora w Pałacu Prezydenckim w 2025 roku.

Natomiast możliwe jest – choć nie do końca pewne – że Duda nie będzie stał okoniem w sprawie wyrzucenia sędziów

dublerów z Trybunału Konstytucyjnego, tym bardziej że nawet po tej operacji nominacji PiS będą mieli tam większość. Sejm przyjmie stosowną uchwałę, a prezydent może uznać, że jego obowiązkiem jest jej realizacja, i odbierze ślubowanie od nowych członków TK.

Ale niezależnie od tego, czy to się zdarzy, decyzje administracyjne ministra sprawiedliwości najpewniej skłonią KE do modyfikacji kamieni milowych i rząd będzie mógł szybko złożyć pierwszy wniosek o wypłatę pieniędzy z KPO. Przed wyborami lokalnych władz to kluczowa sprawa, bo to właśnie samorządy czekają na pieniądze z funduszu postpandemicznego.

Ponadto Komisję Europejską do ustępstw może skłonić fakt przystąpienia Polski do Prokuratury Europejskiej, która zajmuje się śledztwami związanymi m.in. z wydawaniem unijnych funduszy. Bruksela może uznać to za krok w drodze do przywrócenia praworządności: prokuratorzy rozliczą przekręty, choćby zajmą się sprawą rozkradania pieniędzy w Narodowym Centrum Badań i Rozwoju, rządowej agencji, która rozdziela fundusze na badania naukowe i innowacje. Pod koniec rządów PiS dochodziło tam do patologii na niebywałą skalę. Śledztwo prowadzi w tej sprawie OLAF, europejski urząd do zwalczania nadużyć finansowych. Nowa prokuratura mogłaby też skutecznie zająć się sprawą europosła Ryszarda Czarneckiego oskarżanego o wyludzenie pieniędzy z kilometrówek.

Nowa koalicja oczywiście powoła komisje śledcze, które zajmą się inwigilacją opozycji i innymi nadużyciami służb specjalnych. Komisje powołuje się uchwałą sejmową, więc prezydent nie jest w stanie ich zablokować.

Natomiast co do Prokuratury Krajowej sprawa jest dość trudna. PiS uchwalił przepisy, które zakładają, że prokurator krajowy przejmuje część kompetencji prokuratora generalnego/ministra sprawiedliwości – a odwołak prokuratora krajowego nie można bez zgody prezydenta. Dziś tę funkcję pełni kolega Ziobry, Dariusz Barski. Opozycja zakłada jednak, że oddolny ruch w gronie prokuratorów sprawi, że wiele śledztw i tak ruszy z miejsca.

To może być płonna nadzieja: Barski zapewne będzie blokował takie decyzje, mając wpływ na decyzje personalne w prokuraturze i przydział konkretnych spraw. Będzie wierny zasadzie przyjętej za czasów PiS, że prokuratura broni swoich przed rozliczeniami. To oznacza, że z postawieniem przed sądem polityków odpowiedzialnych np. za łamanie prawa przy okazji wyborów kłopotowych trzeba będzie poczekać do zmiany w Pałacu Prezydenckim.

Koalicjanci zapowiadają rozdzielenie funkcji ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Może to oznaczać powrót do opcji sprzed rządów PiS, kiedy to prezydent mianował prokuratora generalnego spośród kandydatów wskazanych przez organizacje prokuratorskie. Prezydent Lech Kaczyński wykonał wtedy następujący manewr: powołał Andrzeja Seremeta pod warunkiem, że ten na swoich zastępców weźmie ludzi związanych z PiS. Niewykluczone, że tu jest pole do negocjacji z Dudą, który zgodzi się na „ich” prokuratora generalnego, stawiając warunki personalne jak jego niegdysiejszy zwierzchnik.

Choć rywale Dudy krzyczeli by o kapitulacji, to mogłoby być – i prezydent mógłby tak to rozegrać w partii – korzystne dla PiS, bo jeśli wybory prezydenckie wygrałby kandydat obozu demokratycznego, to wtedy PiS już nic nie będzie miał do powiedzenia. A tak ma szansę na powołanie osoby kompromisowej, która będzie miała kadencję nie do ruszenia przez rząd. Duda zakłada, że koalicja demokratyczna w odróżnieniu od PiS będzie respektować reguły i nie wyrzuci kompromisowego prokuratora generalnego.

Co do stawiania polityków PiS przed Trybunałem Stanu, w przypadku prezydenta jest to w tej chwili niemożliwe. Opozy-

cja nie ma odpowiedniej większości w Zgromadzeniu Narodowym, czyli Sejmie i Senacie. Można myśleć o postawieniu przed Trybunałem prezesa NBP, ale już bardziej realistyczne wydaje się to, że służby specjalne oraz prokuratura przyjrzą się, jakie związki istniały między Adamem Glapińskim a oskarżonym o korupcję byłym szefem Komisji Nadzoru Finansowego Markiem Ch.

Obietnice wyborcze

800 PLUS, PODWYŻKI DLA NAUCZYCIELI, EMERYTURY BEZ PODATKU

Pozostaje kwestia obietnic wyborczych. Ustawa o 800 plus została już uchwalona i trudno zakładać, że ktoś ją będzie modyfikował, nawet jeśli Trzecia Droga wolałaby, aby waloryzacja przysługiwała tylko tym rodzinom, gdzie jeden z rodziców pracuje.

Niemal równie kluczowe wizerunkowo są jednak 30-procentowe podwyżki dla nauczycieli. Tu są dwa wyjścia: albo nowa koalicja złoży autopoprawkę do budżetu, albo przegłosuje nowelizację budżetu na początku przyszłego roku. Wiele zależy od tego, jak długo Duda będzie zwlekał z powołaniem rządu. Nowy gabinet ma na wysłanie ustawy budżetowej do prezydenta cztery miesiące, licząc od dnia pojawienia się projektu w Sejmie. Plusem jest to, że nowa koalicja może różne rzeczy do niej wrzucać, a prezydent i tak – zgodnie z konstytucją – nie ma prawa jej zawetować. Poza tym Duda może się hamować w obawie przed obciążeniem budżetu Kancelarii Prezydenta – co jest możliwe na etapie prac sejmowych.

Paweł Borys, prezes Polskiego Funduszu Rozwoju, który w praktyce jest w ekipie PiS główną osobą odpowiedzialną za finanse publiczne, powiedział w Radiu TOK FM, że nie bardzo już jest z czego dosypywać. – Jest reguła wydatkowa, każdy wie, że nie można dodawać żadnych nowych wydatków – powiedział. Ale nowa koalicja nie musi go słuchać. Może zdecydować się na negocjacje z Komisją Europejską w tej sprawie. W nadzwyczajnych okolicznościach Komisja godziła się na poluzowanie zasad, np. wyłącznie pewnych dodatkowych obciążeń z reguły wydatkowej.

Pojawiają się i inne propozycje: do ustawy ołobudżetowej można wrzucić przepis dający podwyżki dla nauczycieli, ale likwidujący Radę Mediów Narodowych. Dużdzie trudno będzie wetować przepisy korzystne dla nauczycieli, szczególnie w czasie kampanii przed wyborami samorządowymi. Takie triki na masową skalę PiS stosował w czasie pandemii. Do ustawy gwarantującej pomoc przedsiębiorcom wsadził przepis, który zwalnia urzędników z odpowiedzialności za podjęte decyzje z powodu nadzwyczajnych okoliczności, czytaj: pandemii. Na ten przepis liczy m.in. były wiceminister zdrowia Janusz Cieszyński, odpowiedzialny za aferę z respiratorami.

Pozostaje obietnica 60 tys. zł kwoty wolnej od podatku. To akurat może być uchwalone, tylko że obowiązywać będzie np. od przyszłego roku. Na pewno nowa koalicja dogada się co do realizacji obietnic wobec drobnych przedsiębiorców i obietnic dotyczących mieszkań. Raczej odpadnie rzuceny przez KO pomysł kredytu 0 proc. – Trzecia Droga i Lewica tego nie chcą, a i w samej Koalicji Obywatelskiej ta koncepcja nie budzi zachwyty. Tusk może się wycofać bez utraty twarzy, argumentując, że koalicjanci nie chcą tego przegłosować, a koalicjantów szanujemy.

Natomiast nowa koalicja będzie musiała zrealizować postulat emerytury bez podatku. By znaleźć pieniądze, odchudzi rząd i wyrzuci rzeszę pełnomocników od tego i owego, być może obetnie środki na TVP. Nowa ekipa zlikwiduje też wszelkie narodowe instytuty tego i owego oraz pączkujące przez osiem lat rządów prawicy organizacje państwowe, które były źródłem finansowym dla środowiska PiS. Ale to i tak nie starczy i może oznaczać wyższy dług

publiczny. Nowe wydatki mogą ponadto spowodować, że wysoka inflacja zostanie z nami na dłużej, ale przyszła koalicja liczy na to, że samo odblokowanie KPO umocni jeszcze bardziej złotego, a to z kolei zahamuje wzrost najdotkliwszych cen, np. paliwa czy energii.

ABORCJA

Priorytetem będzie też sprawa aborcji, która dla nadspodziewanie dużej grupy wyborców, a zwłaszcza wyborczyń, nie tylko lewicowych i wielkomiejskich, stała się jednym z głównych powodów, dla których postanowili odsunąć PiS od władzy, nierzadko idąc do głosowania po długiej absencji. A co za tym idzie – ważnym wyznacznikiem wiarygodności ich nowej władzy.

Rząd ma spore pole manewru. Może uchwałą Sejmu uznać decyzję Trybunału Julii Przyłębskiej zaostrażając prawo aborcyjne za nieważną, bo udział w orzekaniu brali dublerzy. Nowy minister zdrowia może przyjąć wytyczne, że aborcja do 12. tygodnia jest legalna ze względu na zagrożenie zdrowia kobiety, także psychicznego. Zresztą już ekszszef resortu Adam Niedzielski z błogosławieństwem premiera powołał zespół ekspertów, którzy mieli przygotować takie wytyczne. Prace zawieszono, by nie drażnić twardego elektoratu PiS, ale teraz ruszyły na nowo. Wystarczy te rozwiązania twórczo rozwinąć.



Do tego Sejm może uchwalić ustawę ratunkową. To zmiana kodeksu karnego, która zakłada, że aborcja czy pomoc przy aborcji po prostu nie będą karane – choć „proliferski” wyrok TK zostanie. Taki projekt jest do zaakceptowania dla większości sejmowej, nie powodując ryzykowej ideologicznej konfrontacji między Lewicą i zliberalizowaną obyczajową Platformą a tradycyjnymi ludowcami i choć otwartym, to prawowiernym katolikiem Hołownią.

Duda będzie miał problem z wetowaniem takich przepisów. Jeśli zablokuje tę ustawę, wywoła protesty społeczne – a o ich długofalowych skutkach PiS boleśnie przekonał się 15 października. Pałac może nie zechce ryzykować, bojąc się, że weto podtrzyma mobilizację młodych i kobiet w wyborach samorządowych i europejskich.

Nie ulega wątpliwości, że Sejm będzie procedował – choćby po to, by pokazać, że spełnia obietnicę Tuska – projekt ustawy dopuszczającej aborcję do 12. tygodnia.

Na pewno część Trzeciej Drogi – może nawet kilkunastu posłów – będzie głosić przeciw, ale może się okazać, że zwolennikom liberalizacji wystarczy głosów, by jednak ją przepchnąć w Sejmie. Szanse tej ustawy zwiększyłby przepis, zgodnie z którym kobieta przed decyzją będzie musiała przejść konsultację z psychologiem.

Co nie oznacza, że zmiana wejdzie w życie. Problemem jest nie tylko weto prezydenta. Tak jak każdą inną ustawę PiS może wysłać ją do Trybunału Przyłębskiej, gdzie zachowa większość nawet po wyrzuceniu dublerów i samej Przyłębskiej jako prezeski. Nowego prezesa TK i tak wskazywałby Duda – więc taki Trybunał może wyrzucić do kosza niemal każdą ustawę. Dlatego lepszym wyjściem są decyzje administracyjne wydawane na podstawie wyroków sądów krajowych

i międzynarodowych. I to decyzje wprowadzane natychmiast, zanim Duda i Trybunał zdolają cokolwiek zrobić.

Jednak w sprawie aborcji jest jeszcze jedna przeszkoda: wyrok TK z 1997 roku wskazuje, że aborcja do 12. tygodnia z przyczyn społecznych jest niezgodna z konstytucją. A w polskim prawodawstwie ten wyrok nadal obowiązuje. Dlatego tak ważna jest ustawa ratunkowa oraz rozporządzenia ministra zdrowia. I dlatego Trzecia Droga upiera się przy referendum w tej sprawie – ale na razie nie widać, by znalazła większość w Sejmie dla tego pomysłu.

EDUKACJA

W sferze edukacji priorytetami są, oprócz podwyżek dla nauczycieli: wyrzucenie do kosza przedmiotu historia i terażniejszość ze względu na ideologiczną podstawę programową i wprowadzenie zasady, że uczniowie nie mają prac domowych – ale wygzekkowanie tego choćby z racji inercji szkół nie będzie proste. Łatwiejszą sprawą do załatwienia wydają się ciężkie tornistry.

Otwarte pozostaje pytanie, kto weźmie za to wszystko odpowiedzialność. Lewica jest bardzo chętna, argumentując, że trudno o lepszy moment na prawdziwą przebudowę i modernizację szkolnictwa. Likwidacja gimnazjów, chaos programowy, mordercze wyścigi do liceów, koszty korepetycji, fatalna kondycja psychiczna przemęczonych uczniów i arogancja ministra Czarnka sprawiły, że potrzeba zmiany jest wreszcie na serio wyrażana od dołu – przez większość rodziców i nauczycieli.

Na giełdzie pada nazwisko Agnieszki Dziemianowicz-Bąk. Jednak bardziej konserwatywna część Trzeciej Drogi się opiera. Obawia się, że Lewica przesadzi z ideologicznym przesłaniem i ten światopoglądowy przechyl pójdzie także na konto Polski 2050 i PSL. Tymczasem politycy PiS już używają starego sloganu jeszcze z czasów wyborów europejskich 2019 roku: mówili wtedy o Władysławie Kosiniaku-Kamyszu „tęczowy Władek”. Teraz też już głoszą, że PSL idzie pod tęczową flagą. Nowogrodzka liczy na to, że takie porównania osłabiają PSL w wyborach samorządowych w małych gminach.

ZWIĄZKI PARTNERSKIE

Za to duża część Trzeciej Drogi poprze związki partnerskie osób jednej płci. Nie wiadomo, co w tej sprawie zrobi prezydent – w przeszłości raz twierdził, że związki partnerskie mają sens, ale potem w kampanii prezydenckiej powtarzał okropny slogan, że „LGBT to nie ludzie, to ideologia”. Mniej niepewna jest postawa PSL – sprzeciw ludowców dotyczy formalnych małżeństw osób homoseksualnych czy założenia, że małżeństwa takie mogłyby adoptować dzieci.

POLITYKA ZAGRANICZNA

Andrzej Duda zabezpieczył sobie wpływ na obsadę stanowisk w instytucjach unijnych. Otoczenie prezydenta zdaje się suflować takie przesłanie do nowego rządu: jeśli będziecie respektować te przepisy i będziecie ze mną konsultować polskie nominacje w Brukseli, to i ja może wam pójde na rękę. Lecz politycy opozycji nie mają do tego przekonania.

W ustawie, którą PiS uchwalił w końcówce kadencji, głowa państwa nie tylko zagwarantowała sobie wpływ na proponowanych przez rząd kandydatów na najważniejsze stanowiska unijne, ale także wymusza na rządzie „ustalenie” z prezydentem priorytetów polskiej prezydencji w UE oraz generalne, radykalne postanowienie, że prezydent podczas polskiej prezydencji „bierze udział” w posiedzeniach Rady Europejskiej oraz w unijnych posiedzeniach międzynarodowych. Takie zapisy siłą rzeczy będą gene-

rować konflikt, co wypunktowali precyzyjnie w specjalnym oświadczeniu byli ambasadorzy RP.

To problem praktyczny, a ustrojowy jest taki, że nowa ustawa jest sprzeczna z orzeczeniem Trybunału Konstytucyjnego z 2009 roku. Jej zapisy oznaczają, że prezydent wkracza w kompetencje innych organów bez żadnej podstawy konstytucyjnej – zaś wyrok TK dokładnie określił zakres kompetencji rządu i ośrodka prezydenckiego. Trybunał orzekł wówczas, że prezydent jako najwyższy przedstawiciel Rzeczypospolitej Polskiej może podjąć decyzję o udziale w konkretnym posiedzeniu Rady Europejskiej, ale to Rada Ministrów ustala stanowisko Polski, które na unijnym szczycie przedstawia premier, a prezydent musi się temu podporządkować, może co najwyżej wyrażać swoje opinie.

Owczesny prezydent Lech Kaczyński przyjął to orzeczenie z zadowoleniem. Ale Duda raczej nie zechce go respektować, uparcie powołując się na ustawę sprzeczną z konstytucją. Rząd z kolei będzie się powoływał na wyrok TK i klótnia gotowa.

Nowy rząd w jednym będzie przypominał stary PiS-owski: minister spraw zagranicznych nie będzie odgrywać w nim zbyt dużej roli, bo większość odpowiedzialności w relacjach z UE i naszymi sojusznikami w NATO weźmie na siebie osobiście Tusk. Jako były szef Rady Europejskiej, a wcześniej premier państwa zdobywającego mocną pozycję w gronie krajów „starej” Unii, ma rozległe kontakty we wspólnocie euroatlantycznej i największe pole manewru przy budowaniu rozmaitych koalicji.

Punktem spornym między prezydentem a rządem mogą być nominacje ambasadorów oraz nominacje w armii. Ale można się spodziewać, że tu są większe szanse na względne porozumienie czy kompromis niż w sprawie sądownictwa.

CO, KOMU I DLACZEGO, CZYLI NAJWAŻNIEJSZE STANOWISKA

Premierem nowego rządu ma być Donald Tusk. Partie opozycji demokratycznej potwierdziły to we wspólnym oświadczeniu. Reszta jest wielką niewiadomą. Trzecia Droga chce mieć marszałka Sejmu, ale Koalicja Obywatelska nie chce oddać tego stanowiska. Dlaczego? Bo marszałek ma bardzo duże kompetencje. Może jednoosobowo decydować, jaka ustawa znajdzie się w porządku ustaw, a jaka wyładowuje w zamrażarce. Tym samym może teoretycznie paraliżować działania premiera i rządu. W kręgu Trzeciej Drogi można usłyszeć uspokajające głosy: „Donald musiał wysoko zaliczyć to, że jedna z jego strategii negocjacyjnych, w zanzadru ma inne scenariusze i cele, które chce osiągnąć w sytuacji, gdy ostatecznie odpuści i zgodzi się, że marszałek powinien być od nas”.

Wydaje się bardzo prawdopodobne, że wicepremierem oraz kluczowym ministrem od gospodarki będzie Kosiniak-Kamysz. Pozostała układanka stoi pod dużym znakiem zapytania. Giełda nazwisk pojawiających się w mediach pokazuje oczekiwania poszczególnych polityków, ale te przewidywania niekoniecznie muszą się spełnić. Tym bardziej że nie jest jeszcze jasny podział odpowiedzialności za poszczególne dziedziny pomiędzy Koalicją Obywatelską, Trzecią Drogą i Lewicą. Bez ustalenia, kto będzie marszałkiem Sejmu, negocjacje tkwią w martwym punkcie i taki podział jest niemożliwy.

Opozycja zakłada, że Duda będzie przedłużał procedurę powołania rządu i desygnuje na premiera Mateusza Morawieckiego, Morawiecki nie da rady, następnie inicjatywę przejmuje Sejm i wskaże Tuska. Jeżeli Pałac Prezydencki postawi na taki scenariusz, to nowy rząd powstanie dopiero w grudniu. Dzięki temu PiS pożyje sobie dłużej na państwowej kropłownicy – ale opozycja będzie pod mniejszą presją czasu i do stanie oddech na negocjacje. ●



TO SĄ PIS OSTATNIE PODRYGI

Andrzej Duda i kariera międzynarodowa? Przecież pogrzebał demokrację i robił to dla PiS

Bartosz Wieliński

W Klubie „Wyborczej” Bartosz Wieliński rozmawia z Agatą Kondzińską, Justyną Dobrosz-Oracz i Pawłem Wronskim o tym, jaki będziemy mieli rząd, kto w nim będzie zasiadał, jak zachowa się prezydent albo nowa totalna opozycja. No i jaki będzie program, a jakie rozliczenia.

Minął ponad tydzień, odkąd udało nam się obronić demokrację. Uratowała nas gigantyczna mobilizacja, Polki, młodzi ludzie, którzy nie chcieli żyć w nacjonalistycznym skansenie. Ale wybory za nami. Prezydent Andrzej Duda zaczął rozmawiać o przyszłym rządzie, na pierwszy ogień poszli politycy PiS.

Zabrakło Jarosława Kaczyńskiego, pojawił się niejaki Rafał Bochenek i zastanawiam się, czemu prezes Kaczyński nawet w takiej sytuacji upokarza głowę państwa.

AGATA KONDZIŃSKA: Mnie nie zaskoczyła taka decyzja Kaczyńskiego, bo zachowuje się tak od dawna. Pamiętamy, jak nie podawał ręki Andrzejowi Dudzie, prezydentowi, albo nie chciał stanąć do wspólnej fotografii, gdy dołączył do rządu Mateusza Morawieckiego. No a Bochenek zapewne był po to, żeby natychmiast pojechać na Nowogrodzką i powiedzieć, co tam się zdarzyło, wyjść do dziennikarzy w Sejmie i opowiadać, że PiS prowadzi kularowe rozmowy. Tylko ja nie wiem, z kim te rozmowy, bo opozycja złożyła jasną deklarację, że z nikim innym sojuszy zawierać nie będą.

A może oni jeszcze nie wiedzą, że przegrali te wybory.

A.K.: Myślę, że już wiedzą, dlatego potrzebują czasu, żeby przygotować się do przejścia do opozycji, żeby poczyścić gabinety, wysprzątać szuflady.

Z racjonalnego punktu widzenia prezydent powinien powierzyć misję tworzenia rządu kandydatowi wskazanemu przez demokratyczną koalicję, ale prezydentem jest Andrzej Duda.

JUSTYNA DOBROSZ-ORACZ: Na co liczy PiS? Na to, że ten rząd w ogóle nie powsta-

nie. Że liderzy opozycji pokłócą się, zanim w ogóle zaczną rządzić. Politycy PiS podchodzili do mnie i analizowali, kto jaką miał minę, że Donald Tusk się cieszył za mało, a Holownia za dużo. Jakąs satysfakcję czerpią z tego, że być może to się wszystko rozwali, zanim się zacznie. Uważam, że tak nie będzie, bo są dwa bezpieczniki. Frekwencja wyborcza, która zadziałała, nawet gdyby tam byli jacyś Robespierzy i chcieli wyprowadzić wojsko na ulice, jak niektórzy się martwili. I wielka odpowiedzialność, która spoczywa na opozycji. Ona wie, że ma jedną, jedyłą szansę, że patrzy na nią cała Europa, że to jest przykład dla wszystkich innych, w których się rodzą autorytaryzmy albo kielkują, że tę demokrację liberalną można obronić. PiS będzie zohydzało, będzie opóźniać, żeby nie oddawać telewizji rządowej. Żeby jednak do marca wszyscy opowiadali androny, że opozycja nie zdaje egzaminu...

Aż do marca!?

J.D.O.: Nawet jak w grudniu opozycja przejmie władzę, to wymiana kadr nie pójdzie jak z płatka. Więc oni liczą, że im bardziej to opóźnią, tym większe szanse na to, żeby zohydzić tę opozycję już na samym początku.

Przed nami kolejne wybory, samorządowe. Czy PiS w ogóle do nich dotrwa jako monolit? Przecież w tej partii się gotuje.

PAWEŁ WRONSKI: Chcielibyśmy widzieć Jarosława Kaczyńskiego idącego na emeryturę, wyjście Zbigniewa Ziobry ze swoim klubem, ale powoli. Na razie PiS ma bardzo dużo narzędzi w ręku, prezydenta, który będzie prowadził swoją grę do końca. To, że na ministra został nominowany Marcin Mastalek, wieloletni przyjaciel prezydenta i osoba, która jest znienawidzona przy Nowogrodzkiej, to wcale nie oznacza rozbicia tego obozu, ale zgłoszenie przez ośrodek prezydencki, który – uwaga – będzie trwał do 2025 roku, zgłoszenie aspiracji do przejęcia władzy nad całą tą postpisowską albo pisowską prawicą. Prezydent mówi: ja tu jestem, ja jestem tym słupem, wokół którego macie się zbierać. Nie liczymy na to, że PiS rozpadnie się jak armia Saurona, tylko po pierwsze, PiS będzie trwał, po drugie, PiS w Polsce ma wyborców, jest zjawiskiem w Polsce trwałym. To, co nam się udało zrobić w naszym kraju, to wymknięcie się z takich mechanizmów, o których mówił Timothy Snyder, takich preautorytarnych, że w którymś momencie rządy dysponujące pieniędzmi unijnymi, dobrą propagandą, możliwością przekupywania wyborców i możliwością dostosowywania reguł wyborczych i urządzaniem pseudoreferendów, pseudowyborów mogą w Europie Środkowej trwać i że to jest taki proces, w którym będzie szła cała Europa. Myśmy powiedzieli: nie, u nas to może się udać.

Podkreślmy słowo „może”, bo jeszcze nie jest powiedziane.

P.W.: Tak, bo demokracja jest zadaniem. I jeśli w kraju nie będzie demokratów, to nie będzie demokracji. Ale powiedzmy sobie szczerze, że tę kampanię, te wybory dla opozycji wygrał Jarosław Kaczyński. Nikt tak bardzo ludzi nie wkurzył jak on. Co będzie, jak Jarosława Kaczyńskiego zabraknie, dalibóg nie mam pojęcia.

A.K.: Jest Zbigniew Ziobro.

Oglądam relacje ze spotkania czterech liderów opozycji, o którym już mówiliśmy, i patrzę na pasek TVP Info: czterej jeźdźcy opozycji – tak zostało to podpisane. Czterech jeźdźców...

A.K.: Nie apokalipsy, ale...

Wiadomo, że chodzi o apokalipsę, czyli boją się na Woronicza tego, co ich czeka.

A.K.: Myślę, że nie tylko w telewizji rządowej, ale również w innych instytucjach jest już taka obawa, że wraz z nowym rządem dojdzie do wymiany przynajmniej najważniejszych prezesów spółek i skończy się to upartyjnienie państwa. Trochę się chciałam nie zgodzić z moim kolegą Pawłem Wroniskim i wykażę się naiwnością, bo Paweł powiedział, że prezydent nie jest niczym zobligowany, ale arytmetyka sejmowa jest nieubлагana. I jeśli powierzy misję tworzenia rządu Mateuszowi Morawieckiemu, który tego rządu nie robi, to prezydent też będzie w Sejmie, kiedy premier będzie prosił o wotum zaufania. Ja wiem, że ten urząd już jest ośmieszany w ostatnich latach, ale czy to nie będzie też ośmieszenie urzędu prezydenta i czy Andrzej Duda musi sobie to robić?

J.D.O.: Duda ma przyszłość przed sobą, a Morawiecki – moim zdaniem – już zakończył działalność polityczną, to znaczy jeszcze ostatnie podrygi będą, ale jest skończony jako lider. Po stronie PiS mimo zwycięstwa, i to jest paradoks, mamy samych przegranych. Bo jak ja słyszę niektórych moich kolegów, którzy mówią o tym, że Zbigniew Ziobro zachował 18 szabel, że to jest zwycięstwo, to przepraszam, ale to jakieś bzdury. To Ziobro namawiał Kaczyńskiego do radykalnego kursu, to on zablokował pieniądze z UE. To jego ludzie w tzw. Trybunale Konstytucyjnym nie chcieli ustawy, co też doprowadziło do tego, że opozycja mogła mówić, że cały konflikt z Unią jest na barkach PiS i. I trzecia sprawa – to pan Ziobro wziął Bąkiewicza na listy, co się skończyło kompromitacją. Tu nie ma żadnego wygranego. Ziobro to doskonale wie i nie będzie wojował, nie wyjdzie z klubu, bo nie ma instrumentów.

A.K.: Nie ma pieniędzy nawet. Gdzie on ma iść?

J.D.O.: Dlatego karty w tej grze ma tylko Andrzej Duda. Tylko on jeszcze może jakąś partię rozegrać.

Ale jest jeszcze młodym człowiekiem, kończy pracę za półtora roku i coś musi ze sobą ciekawego robić. Może zostać rektorem szkoły ojca Rydzka albo szefem jakiejś mało liczącej się fundacji i żyć jak emeryt, prowadzić skromną działalność, a może zostać wysoko postawionym urzędnikiem, plotkuje się, że ma zakusy na ONZ, ale tego nie osiągnie, jeżeli nie będzie miał poparcia rządu za półtora roku czy za rok, kiedy będą robione przymiarki pod obsadę tych stanowisk. Jak on może planować swoją przyszłość, robiąc rządowi tego typu rzeczy?

P.W.: Wyobrażasz sobie prezydenta Dudę, jakieś stanowisko i karierę międzynarodową? On pogrzał zupełnie przypadkowo coś, co było jego największym atutem, jakąś możliwością zapisania się w historii, historyczną rolę. Zrobił to dla PiS. A teraz nic nie musi. Może być arbitrem, może być mężem stanu. A on opowiada, że „tonący brzydko się chwytą”, jedzie po Zelenskim, wspiera idiotyczną kampanię PiS...

A sytuacja jest taka, że mamy opozycję, która składa się z wielu partii: Platfor-

ma, Nowoczesna, Inicjatywa Polska, Zieloni, PSL, Polska 2050, SLD, Wiosna. Agata i Justyna, powiedzcie mi, jak to się będzie trzymać razem. Takiego wielkiego rządu jeszcze u nas nie było.

A.K.: Jestem tutaj akurat optymistką. Opozycja dostała tak wielki kredyt zaufania, że nie wiem, co musiałoby się stać, żeby go zmarnowała. I na razie wydaje się, że ambicje niektórych liderów partii będą wygaszone. Być może za dwa lata, za trzy... Każda władza deprawuje, nie ma tutaj wyjścia.

J.D.O.: To będzie koalicja, w której każdy każdego będzie trzymał za nogę, więc może nikt nie uderzy się w głowę. Bo ktokolwiek by odszedł, to sypie się rząd. Czy to będzie Polska 2050, która ma 33 posłów, czy PSL... Obie stanęły naprawdę przed hi-

z tym pewien problem. Tusk jest przede wszystkim pragmatykiem, przestał być ideologiem. I on dobrze wie, że w odpowiednim momencie nie został włączony guzik, trzeba coś dać ludziom po czasie wyrzeczeń i kryzysu. Zwróćmy uwagę na to, że Tusk mówi: cięć nie będzie, to, co zostało obiecane, zostanie dane. I to jest potencjał tego rządu na przyszłość. Bo w Polsce istnieje duża grupa emerytów, osób w jakiś sposób uzależnionych od państwa, którzy głosują na PiS ze strachu, myśląc, że przyjdzie Tusk i im zabierze. Więc tutaj nie mówmy o liberalizmie, tylko mówmy o polityku, który musi kierować państwem, biorąc pod uwagę uwarunkowania. Czyli Donald Tusk rozumie, że zaskaniem pasa nie wygrywa się wyborów.

J.D.O.: Nie, on to rozumiał od początku, jak



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Oni chcieli wdeptać dziennikarzy, robili z nas wrogów narodu. I nie zapomnimy o tym

storyczną szansą. I jak napięcie opadnie, ten szampan przestanie się łać, to się dogadają. To jest układanka na przyszłość, żeby jej nie zmieniać co pięć minut. Więc może czasem lepiej, żeby rozmowy trwały trochę dłużej, niż żeby postanowić coś na szybko i za trzy miesiące będzie balagan.

Donald Tusk wraca do punktu wyjścia.

Jaki to będzie polityk?

P.W.: Myślę, że to polityk, który przestał się oglądać na jakieś różnorodne dziwne kierunki w polityce, które utrudniają rządzenie. Mam nadzieję, że wybierze młodych, dynamicznych ludzi, którym się będzie chciało, a jeśli zainwestuje w jakieś starsze osoby, to żeby wykorzystać ich doświadczenie do rozmontowania tego, co PiS namontował w Polsce przez osiem lat. Myślę, że nie będzie umierał za stanowisko marszałka Sejmu. A jeśli Szymon Hołownia zostanie marszałkiem Sejmu, też musi pamiętać, że to jest funkcja wymagająca znajomości procedur, to nie jest proste czasami.

I gigantyczna odpowiedzialność.

P.W.: Był taki marszałek, który z marszu ruszył do prowadzenia obrad Sejmu, nazywał się Maciej Płażyński. Od razu zyskał sobie przydomek „przerwa”, bo jak mu się kitłała procedura, to ogłaszał przerwę, żeby sprawdzić regulamin i dowiedzieć się, co ma w tym momencie robić.

Rozmawiałem z Tuskiem przed marcem w czerwcu, pytałem go, co zmieniło w nim bycie szefem Rady Europejskiej, i napomknął, że stał się bardziej wrażliwy socjalnie. Czy widzisz taką transformację, że ten rząd już nie będzie liberalny, tylko socjalliberalny?

P.W.: Czy myślimy w ogóle przetwarzali termin „współczesny liberalizm”, bo ja mam

tylko wrócił w 2021, bo pierwsze, co powiedział, to, że nie zabierze żadnej 13. emerytury itd. I że błędem było wydłużenie wieku emerytalnego.

P.W.: No tak, i sam się przyznał, przeprosił, ale zostało zamontowane w umysłach ludzi takie stwierdzenie, że Tusk to oszczędności, cięcia.

A.K.: Powrót Donalda Tuska ma jedno, kluczowe znaczenie, jeśli chodzi o politykę międzynarodową. Widzieliśmy ostatnio zdjęcia, jak Orbán podaje dłoń Putinowi, zbrodniarzowi. I to jest sojusznik władzy, która właśnie odchodzi. I myślę, że to jest naprawdę kluczowe, że jeśli coś Donald Tusk jeszcze zobaczył w Brukseli, to właśnie to, jak bardzo niebezpieczne są ruchy nacjonalistyczno-populistyczne, które odgradzają się w Europie. Te sojusze, które Jarosław Kaczyński i Morawiecki budowali z Le Pen, z VOX. Gdzie my byśmy dzisiaj byli? To powoduje, że Polska może być w innym miejscu, jeśli chodzi o geopolitykę.

A jak wprowadzić zmiany, by ich rozliczyć? Czy już widać odwilż, np. w Sejmie?

J.D.O.: Chodzimy po korytarzach marszałkowskich, bo jest anarchia i straż marszałkowska nas o nic nie pyta.

To jak przywracać demokrację w Polsce? Metodami stosowanymi przez PiS? Czy można nadużywać służb specjalnych tak, jak oni to robili? Pytam o metodę.

J.D.O.: Toczy się dyskusja w opozycji, jaką taktykę obrać, bo to nie jest proste rozwiązanie, nie ma szans, żeby oddać prezydenckie wetta do 2025. PiS się zabezpieczyło, zabezpieczył się Ziobro, przekazano różne kompetencje z prokuratora generalnego na prokuratora krajowego, którym jest pan Dariusz Bar-ski, jego bliski współpracownik. To jest wę-

zeł gordyjski. Nie wiem, jak go do końca rozwiązać, bo nawet widzę, że sędziowie Iustitii i wielu innych organizacji sprzeczą się o to, jak przywrócić praworządność w sytuacji, kiedy nie ma wszystkich instrumentów. I teraz tak, można iść na skróty, chociażby w przypadku TVP, już jest dyskusja wewnątrz opozycji, czy jednym rozporządzeniem ministra skarbu można zlikwidować spółkę i powołać na nowo, ale Lewica mówi: nie, nie możemy tymi metodami, bo będzie wielki krzyk. Te dyskusje będą się toczyły.

A Trybunał Julii Przyłębskiej?

P.W.: Pytanie, czy Trybunał będziemy zdobywali czołgami, czy piechotą. Nie wiem. Nie znam wszystkich rozwiązań. Jest wiele możliwości, może referendum nad istnieniem TK? Bo PiS stworzyło taki system patologiczny, że instytucja, która miała służyć praworządności, stała się tej praworządności zaprzeczeniem i zaczęła bronić władzy. Instytucja, która miała bronić mediów i oddzielać ich od polityki, mówię o KRRiT, stała się de facto ostatnią cenzurą. Może w ogóle zrobić wielkie referendum w sprawie aborcji, trybunału, KRRiT, paru innych rzeczy, może to nabije frekwencję, skoro aż tylu ludzi poszło do wyborów... A ja myślę, że tak najlepiej to jest bez przerwy powtarzać, że należy działać radykalnie i należy wszystko wyczyścić do dna, obojętnie, czy się stosuje metody prawidłowe, czy nieprawidłowe, przynajmniej drugą stronę to przestraszy.

A.K.: Nie zgadzam się z tymi nieprawidłowymi metodami.

P.W.: OK, wyrzucam słowo „nieprawidłowymi”.

A.K.: Czy można być demokratą tylko na czas obalania niedemokratycznej władzy? Nie można. Albo jesteście demokratami, albo nie. Jeśli mają być rozliczenia – i być powinny, bo społeczeństwo potrzebuje tych rozliczeń – to wszystko musi się odbywać w granicach prawa.

J.D.O.: Nie da się stajni Augiasza wyczyścić zwykłą miotłą. Pewne metody dojścia na skróty będą niezbędne, bo inaczej nic się nie zmieni, a jak się nic nie zmieni, to całe odium spadnie na opozycję.

P.W.: Instytucje państwa, które powinny się cieszyć szacunkiem, być wzorem dla innych, zostały ośmieszone i stały się symbolami absolutnego bezprawia i kompromitacji. Niepotrzebnie użyłem słowa „nieprawidłowe”, bo oczywiście chodzi tutaj o działania, które odbywają się na granicy prawa, ewentualnie odbywają się jakimś sposobem, pomysłem, przemysłem, wykorzystaniem różnorodnych możliwości. Chciałbym jednak zwrócić uwagę na tego rodzaju sytuację, jaką mieliśmy w 1989 r. Pamiętam, jak powstawał rząd Tadeusza Mazowieckiego, wówczas padło hasło, że ten rząd nie przetrwa, bo sama konstrukcja jest dziwaczna, prezydentem został Wojciech Jaruzelski, który, co ciekawe, zachował się tak, że podpisywał wszystkie reformy i chyba inaczej będzie się zachowywał Andrzej Duda, ale życzyłbym mu, żeby w tej kwestii zachowywał się jak Jaruzelski. Ale wszyscy wtedy mówili: ten PRL, ci komuniści mają wszystko, nadal mają telewizję, nadal mają prasę, mają wszystkie służby, to jest niemożliwe, aby to się udało. I co? I to się jakoś udało. No więc skoro wtedy się udało w warunkach po stokroć gorszych, to może się uda i teraz.

J.D.O.: Jeden poseł z KRS, poseł PiS, powiedział mi: „Wiesz, kogo my tam wybraliśmy? Takich, którzy jak rząd się zmienia, to pierwsi nas do pierdła będą wsadzać”.

Serce rośnie. A teraz pytanie: gdybyście mieli wskazać nowemu rządowi, czym się powinien zająć w pierwszej kolejności, poza oczywiście odbudową demokracji i instytucji demokratycznych w Polsce, to jakie widzicie priorytety dla nowej władzy?

A.K.: Powiem jak kobieta: chciałabym, żeby prawa kobiet znów były respektowane w tym kraju, i mam nadzieję, że żadna partia konserwatywna i jej stanowisko nie zwyciężą w tym rządzie.

J.D.O.: Na pewno priorytetem jest KPO i jego odblokowanie. Druga sprawa – zgadzam się z Agatą w kwestii symbolicznej, ponieważ ten rząd obaliły też kobiety i to dla nich jest ważne, bo nie chodzi o kwestie światopoglądowe, chodzi o taki symbol czy przygotowanie rozporządzeń, żeby kobiety w końcu mogły chodzić do ginekologa, mogły iść do szpitala bez stresu i bez przerażenia w oczach, że mogą z tego szpitala nie wyjść, bo ktoś stwierdzi, że ważniejsze jest ratowanie płodu, nie matki.

A.K.: Problemu wyprostowania edukacji – to też jest wyzwanie.

P.W.: Uważam, że na początku najłatwiej będzie przygotować jedną ustawę, którą – przypuszczam – podpisze prezydent, ponieważ wielokrotnie mówił, że zależy mu na jasności, przejrzystości procesów wyborczych i to się należy naszym wszystkim wyborcom, tym dzielnym, młodym ludziom, którzy do trzeciej w nocy stali w kolejkach. Trzeba, po pierwsze, doprowadzić do tego, aby głos w Polsce był głosem równym, żeby nie było tak, że w niektórych miejscach nadal jest zbyt mało mandatów, a w innych jest zbyt wiele. Po drugie, żeby w miastach można było zrobić więcej komisji wyborczych, a nie tylko koncentrować się na małych miejscowościach, gdzie obliczono próg do dwustu ludzi, gdzie i tak ludzie do tych komisji w ogóle nie przychodzili. Żeby ludzie za granicą, polscy patrioci, nie musieli jeździć z całego świata, tylko mogli swój głos wysłać korespondencyjnie pocztą, żeby liczenie tam nie było zagrożone terminem 24 godzin. To na początek. Ale to jest taki symbol uczciwości i przywracania normalności. Tym ludziom, którzy dali z siebie wszystko 15 października, to się po prostu należy.

A teraz chciałem zapytać o te objawy odwilży wobec dziennikarzy. Justyna mówiła, że w Sejmie teraz jakieś dziwne porządki panują, nikt was nie goni, nie spycha, możecie podejść...

J.D.O.: Po prostu postanowiliśmy w okresie przejściowym odebrać to, co nam zostało zabrane.

P.W.: Wchodzimy już w kuluary.
J.D.O.: W kuluary nie, bo jeszcze są zamknięte drzwi, jest pusta sala, jest remont, ale tak, chodzimy po korytarzach, tzw. korytarzu marszałkowskim, i Ryszard Terlecki był bardzo zdziwiony, powiedział nam nawet: „Co, już żeście się rozzuchwalili?”. Ale stwierdziliśmy, że po prostu „przywracamy demokrację w Sejmie”.

A jest odwilż w kontaktach z PiS?

A.K.: Wciąż czekam na tę prawdziwą odwilż, bo z przyjemnością wspominam czasy, kiedy PiS było w opozycji za rządów Donalda Tuska i niektórzy z polityków potrafili, i to jest ważne, dzwonić w sobotę, żeby coś powiedzieć albo donieść na innego kolegę, albo żeby opowiedzieć, kto jest winny, więc telefon trochę już się odblokował, przyznaję. Na razie Jarosław Kaczyński trzyma towarzystwo w jedności, bo w ten sposób może utrzymać weto prezydenta w Sejmie.

P.W.: Wszyscy moi dawni znajomi z PiS są już gdzieś indziej, najczęściej po drugiej stronie politycznej. Jeden z pisowców zadzwonił, ale miał inną zupełnie sprawę. Natomiast chciałbym przypomnieć, że PiS, jak był w opozycji, to był bardzo miłą partią. Wystawiał cukierki, przynosił pączki, zapraszał na konferencje prasowe, kaczusie dawali gumowe, a poseł Cymański pięknie śpiewał.

J.D.O.: Ale już nie zaśpiewa, bo się nie dostał.

A.K.: My sobie żartujemy, ale przecież o to chodzi, że ta nasza praca to jest informacja dla wszystkich naszych czytelników, widzów, słuchaczy i pamiętamy też bardzo dobrze, chociaż PiS chciałoby, żebyśmy nie pamiętali, że oni też próbowali dokonać zamachu na naszą pracę, chcąc wyrzucić media z Sejmu, reglamentując wejście, wyznaczając miejsca.

P.W.: Marszałek Kuchciński otoczony baldachimem niemal i szablami przez straż marszałkowską.

A.K.: Wtedy wszyscy protestowaliśmy, oprócz oczywiście telewizji reżimowej, bo ona i tak wchodzi, gdzie chce.

J.D.O.: Dwa tygodnie walczyłam o to, żeby naczelni podpisali list w obronie dziennikarstwa, pamiętam, sam poseł PiS powiedział do mnie: idziecie jak barany na rzeź. My tu się trochę na końcu rozluźniliśmy, bo wszyscy jesteśmy przemęczeni i finiszem kampanii, i całym tygodniem, więc próbujemy odreagować. Fakty są takie, że PiS liczy na to, że teraz to się w jeden dzień zmieni i że te relacje są nagle w stanie ocieplić. Nie. Oni chcieli wdeptać dziennikarzy, jeszcze dwa tygodnie temu robili z dziennikarzy wrogów narodu. I nie zapomnimy o tym, dlatego że przekroczono wszystkie możliwe normy. Od momentu, kiedy chcieli wyrzucić dziennikarzy z Sejmu, po ataki na dziennikarzy. Każda konferencja zaczynała się i kończyła obrażaniem dziennikarza, wyzywaniem nas, mówieniem, że jesteśmy na pasku Rosji, Putina, Sputnika.

ka. Jeżeli PiS liczy i myśli, że teraz po prostu będzie pełniło funkcję opozycji pod kłosem, to się naprawdę grubo myli. Te czasy nie wrócą. A widzę po dzisiejszym panu Bochenku, że on myśli, że nic się nie stało, normalna polityczna gra, że ktoś po prostu atakuje drugiego człowieka, szczuje na niego i stosuje przemoc.

Wydaje mi się, że jest pewna grupa pracowników mediów – nie dotyczy to tylko mediów publicznych – którzy byli takimi odbiornikami przekazów dnia z PiS. Co się z nimi stanie?

P.W.: Nie wyobrażam sobie dalej systemu, w którym istnieją media nazywane mediami publicznymi, które mają innym ludziom, naszym współobywatelom, robić wodę z mózgu, to jest po prostu broń psychologiczna. Jak się spojrzysz na niektóre audycje, to jest to pranie mózgów. Jeśli chcą to robić, to niech robią za swoje pieniądze.

Symetryści zostaną?

A.K.: U nas w redakcji nie ma.

P.W.: Jak to nie ma?

A.K.: A kto?

P.W.: Są i uważam, że bardzo dobrze, że są, ponieważ oni nas denerwują, a nie bardziej nie skłania do refleksji.

A.K.: Nie znam symetrystów w „Gazecie Wyborczej”. Nie wiem, kogo Paweł ma na myśli, natomiast myślę, że jako dziennikarze dożyliśmy czasów, które postawiły nas w roli, w której niekoniecznie chcielibyśmy być. Bo dziennikarze muszą być niezależni, muszą być obiektywni, a PiS spowodowało, że też musieliśmy zająć tę stronę demokratyczną. Po prostu opowiedzieć się. Sama wiele razy gdzieś w dyskusjach spotykałam się z dziennikarzami, którzy zła nie nazywali złem. Jeśli coś jest złe, jeśli ktoś łamie konstytucję, jeśli ktoś osłabia wszyst-

kie filary naszego państwa... My jesteśmy wciąż młodą demokracją, mamy dużo do zrobienia w społeczeństwie obywatelskim. Okazało się w ostatnich wyborach, że wychodzi nam to całkiem nieźle, bo ludzie się zmobilizowali, ale po ośmiu latach! ●

Zapraszamy do Klubu „Wyborczej”

• Na rozmowy o najważniejszych bieżących problemach Polski, Europy i świata.

• Gościliśmy w nim m.in.: Swiatłanę Cichanouską, Anne Applebaum, Julię Mendel, Timothy'ego Snydera, Donalda Tuska, Wacława Radziwiłowicza, Katarzynę Kłosińską i Michała Rusinka, Adama Bodnara, Adama Wajraka, Jacka Dukaja, ekipę dziennikarzy śledczych oraz reporterów sejmowych „Gazety Wyborczej”, himalaistę Nimsdaia Purję, a także opozycjonistów rosyjskich.

Pakiet klubowy „Wyborczej” można kupić pod adresem: **Wyborcza.pl/prenumerata**
Nagrania i zapisy spotkań dostępne są dla klubowiczek i klubowiczów na stronie **Wyborcza.pl/klub**

wyborcza | magazyn wyborczej WOLNA SOBOTA

REDAKCJA: ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00; **E-mail:** redakcja@wyborcza.pl
Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: ioda@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik;
PIERWSZY ZASTĘPCA:
REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Jarosław Kurski;
ZASTĘPCY: Piotr Stasiński, Mikołaj Chrzan, Roman Imielski, Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński
WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczeorek, Marcin Kącki, Jan Cywiński
GRAFICY: Dariusz Filipek (prowadzący), Tomasz Lebiada, Jacek Konarowski
FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska

WYDAWCA: Agora SA, ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa;
NIP: 526-030-56-44
Biurow reklam i ogłoszeń: reklama@agora.pl; 22 555 55 55,
faks: 22 555 54 44
DYREKTOR WYDAWNICZY:
Wojciech Bartkowiak
DRUK: Agora SA



Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34248365

BRALCZYK

o sobie

POWIEM WAM PRAWDĘ O SOBIE.
MOJĄ PRAWDĘ, RZECZ JASNA, OSOBISTĄ NAWET.

JERZY BRALCZYK

Takiego Bralczyka nie znacie. Profesor w szczerej (o ile to w ogóle możliwe – zastrzega) rozmowie z Pawłem Goźlińskim i Karoliną Oponowicz opowiada o tym, jak to się bywało cudownym dzieckiem, pełnym kompleksów nastolatkiem, samotnym ojcem w Szwecji, tropicielem absurdów propagandy, gwiazdą uniwersytetów i mediów, redaktorem konstytucji, ale też niepewnym siebie synem, bratem, ojcem, dziadkiem i mężem.

CZYTASZ W PAPIERZE? ZAJRZYJ NA



WOLISZ EBOOKI / AUDIOBOOKI? ZAPRASZAMY NA **publio.pl**



AUDIOBOOK CZYTA **ADAM FERENCY**

Czy nowy minister kultury odwoła dyrektorów muzeów i teatrów, których powołał Piotr Gliński?

Arkadiusz Gruszczyński

Ilustracja Jacek Gawłowski

ZALATWAMY TO KULTURALNIE

Bilans ośmiu lat rządów PiS w kulturze jest niejednoznaczny. Piotr Gliński zwalniał dyrektorów, cenzurował, odbierał dotacje instytucjom, twórcom i projektom „lewackim”, dosypywał narodowcom. Ale dał podwyżki kadrom kultury i uratował Państwowy Instytut Wydawniczy.

Czy nowy minister kultury odwoła dyrektorów muzeów i teatrów, których powołał Gliński? Czy wszystkim artystom należy się ubezpieczenie społeczne? A co z tymi, którzy przez ostatnie osiem lat służyli władzy? Co zrobić z Narodowym Instytutem Wolności, który przekazał Robertowi Bąkiewiczowi miliony złotych? Pytania się mnożą, odpowiedzi są skomplikowane.

niej znaleźć, Iwony Śledzińskiej-Katarasińskiej, związanej z kulturą od wielu lat.

Ale to, kto zostanie nowym ministrem, jest w pewnym sensie nieważne. Bo przed każdym staną te same niebagatelne wyzwania.

300 tys. – tylu mamy w Polsce artystów i artystek. To 2 proc. wszystkich pracujących. Do tej grupy zaliczamy nie tylko malarzy i aktorów, ale też słabo opłacanych pracowników instytucji kultury. Wśród partii nowej koalicji rządowej panuje konsensus w sprawie włączenia wszystkich artystów do systemu ubezpieczeń społecznych. Wszystkie ugrupowania zgadzają się też, że reformy wymaga cały system kultury, od dużych muzeów aż po małe domy kultury w mniejszych miejscowościach. Ale i tak najciekawszym, przynajmniej z doraźnej perspektywy, pytaniem jest to, czy nowy minister odwoła nominatów Piotra Glińskiego pracujących w muzeach i teatrach.

Ostatnie osiem lat można podsumować mniej więcej tak: minister kultury z jednej strony wymienił dyrektorów najważniejszych i największych instytucji kultury, na czele z Zachętą, Starym Teatrem w Krakowie czy Instytutem Adama Mickiewicza.

Z drugiej – jeśli wierzyć sygnałom docierającym z licznych rządowych instytucji – pracownicy dostali duże podwyżki, obiecywane przez wszystkie poprzednie rządy. Mamy więc do czynienia z degradacją artystyczną i programową wielu muzeów czy teatrów, a jednocześnie – z poprawą warunków zatrudnienia i generalnie z nową jakością pracy. Z zastrzeżeniem, że nie wszędzie jest tak bajkowo.

Czy wśród dokonań Glińskiego można znaleźć jeszcze inne pozytywne przykłady? Uratowany przez ministra PIW jest chwalony również przez krytyków literackich z opozycyjnej strony, choć w jego ofercie znajdziemy wiele dzieł zebranych Bronisława Wildsteina czy Antoniego Libery, czyli literatów ideologicznie legitymizujących władzę. Zasłużony PIW pełni jednak misję jak za dawnych czasów, wydając klasyków oraz pozycje ważne, lecz nierentowne, a na pewno niekomercyjne, jak wznowienie Jerzego Andrzejewskiego, książki Itala Calvina czy wiele nieznanych w Polsce dzieł literatury azjatyckiej.

Gliński dofinansował też budowę Muzeum Historii Polski i porozumiał się z Rafałem Trzaskowskim w sprawie przekazania warszawskiemu ratuszowi pełnej kontroli nad Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Warszawie. Trzeba również pamiętać o tym, że nigdy wcześniej nie było tak wysokiego budżetu na kulturę jak za czasów rządów PiS.

A jednocześnie minister kultury stosował cenzurę przewencyjną, dotował organizacje nacjonalistyczne, powołał bez konsultacji z redakcją nowego redaktora kultowego miesięcznika „Dialog”, do CSW Zamek Ujazdowski wsaadził alt-prawicowego ideologa. A jeśli gdzieś się nie wtrącał wprost, to kreował atmosferę – minister i jego ideologiczne zaplecze wiele razy podkreślali konieczność korekty programów publicznych instytucji kultury. Według nich w czasach III RP w muzeach i teatrach była nadreprezentowana lewicowa sztuka zaangażowana, więc teraz dla odmiany mieliśmy oglądać sztukę krytykującą lewicę, feministki, demokrację liberalną, ale wzmacniającą martyrologię. W najlepszym razie – klasyczną, bezpieczną, akademicką, dostojną. Nic w tym złego, ale też nic ciekawego.

Zaś niektóre z instytucji resort wprost rozjechał. W gdańskim Muzeum II Wojny Światowej, jednej z najciekawszych placówek muzealnych w Europie, zamontował swojego dyrektora, który do nowatorskiej w polskich realiach, bo rzucającej narodowe traumy na szersze, europejskie tło wystawy, postanowił dodać tradycyjne elementy martyrologiczne. I tak np. w części o prześladowaniu Żydów pojawiły się wątki męczeństwa Polaków czy tablica o św. Maksymilianie Kolbom.

W tym samym czasie Gliński wywołał międzynarodowy skandal, kiedy nie wręczył nominacji Dariuszowi Stoli, który wygrał konkurs na prowadzenie Muzeum Historii Żydów Polskich „Polin”. Krążył też wokół nieprawomyślnych teatrów. Doczekał do końca kadencji Jana Klasy w Starym Teatrze w Krakowie, a następnie powołał na jego następcę Marka Mikosa i również nieznanego Michała Gieletę, przedstawiając go – ku zaskoczeniu wszystkich ludzi znających się choć trochę na współczesnym dramacie – jako międzynarodową sławę. Resort nie przyznał dotacji zasłużonemu festiwalowi Malta w Poznaniu, nie reagował na demontaż Polskiego Radia, z prężnego Instytutu Książki uczynił słabą i nieliczącą się na świecie ideologiczną jaczekę, a do Instytutu Teatralnego wysłał



Liderzy nowej koalicji rządowej negocjują podział stanowisk w ministerstwach. Media żyją tym od blisko dwóch tygodni, mało kto pyta, kto dostanie kulturę w spadku po PiS.

Moi rozmówcy z Nowej Lewicy przypuszczają, że koniec końców im przypadnie kierowanie Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego. Na giełdzie nazwisk pojawiają się Paulina Matysiak i Małgorzata Prokop-Paczkowska, a także Agata Diduszko-Zyglewska. Ta ostatnia kierowała komisją kultury w warszawskiej radzie miasta. Z kolei w Koalicji Obywatelskiej słyszę, że do MKiDN wybiera się zastępczyni prezydenta Warszawy Aldona Machnowska-Góra, która kilka dni przed wyborami zorganizowała konferencję o przyszłości kultury. Z Sejmu wypadł Krzysztof Mieszkowski, były dyrektor Teatru Polskiego we Wrocławiu, więc kto wie, być może on podejmie się zadania uporządkowania narodowej kultury po rządach narodowo-konserwatywno-socjalistycznej prawicy. A przecież w Sejmie nie ma też, więc trzeba coś dla

żonę znanego dziennikarza „niepokornego” i korespondenta TVP w Niemczech Cezarego Gmyza. Za jej kadencji zapanowała atmosfera prowincjonalnego domu kultury.

O tym, co po sobie dokładnie zostawił Gliński, można przeczytać w pierwszym numerze „Dialogu Puzyny”, który przygotowali redaktorzy i redaktorki niezgadzający się z nowym szefem „Dialogu”.

Stan polskiej kultury instytucjonalnej po ośmiu latach rządów Prawa i Sprawiedliwości właściwie jest katastrofalny – mówi Beata Chmiel, liderka ruchu społecznego Obywatele Kultury, która razem z Agnieszką Holland jest ministrami kultury w gabinecie cieni Kongresu Kobiet.

Problemem nie jest jednak – do czego przywykliśmy przez lata po 1989 roku – niski budżet na kulturę. – Pieniądzy wydaje się być więcej niż kiedykolwiek wcześniej, choć udział wydatków na kulturę w budżecie państwa spadł według GUS z 1 procenta w roku 2015 do 0,71 procent w 2022. Ale fundusze ministra ale są złe dzielone i źle dystrybuowane. Dla tej władzy priorytetem jest propaganda i budowanie zaplecza partyjnej polityki historycznej. A dla nas – powrót do myślenia o kulturze jako o polityce społecznej, przypomnienie politykom o nieodzownym połączeniu polityki kulturalnej z systemem oświatowym i wprowadzenie do programów edukacji powszechnej, począwszy od przedszkola, edukacji kulturalnej, artystycznej, medialnej, obywatelskiej i antydyskryminacyjnej – wylicza Chmiel.

– Musimy zbudować takie szkolnictwo, które pozwoli na rozwinięcie umiejętności twórczych, krytycznych, medialnych, cyfrowych, społecznych i obywatelskich. Co oznacza nie tylko włączenie w system wielostopniowego kształcenia kompetencji kulturowych i komunikacyjnych dzieci i młodzieży lekcji bibliotecznych i praktycznego uczestnictwa w kulturze, ale też uzupełnienie programu o prowadzone przez artystów i artystki dobrowolne zajęcia pozalekcyjne, warsztaty muzyczne, teatralne, taneczne, plastyczne, literackie. Co będzie korzyścią obopólną, bo stanie się dla artystów dodatkowym źródłem dochodu – opowiada Chmiel. – Taki system będzie oczywiście wymagał stałego kształcenia kadr, i na potrzeby szkolnictwa powszechnego, i szkół artystycznych, oraz programów stypendialnych dla artystów na uzupełniające kształcenie kompetencji pedagogicznych. To da im dodatkowe możliwości pracy, a przy okazji podniesie emerytury, zasiłki, renty.

W nowej ustawie o kulturze należy twardo zapisać, że minister, ale też prezydent miasta, wójt **nie mają prawa ingerować w program domu kultury czy teatru**

Skoro przy świadczeniach jesteśmy – środowisko kultury zgodnie domaga się włączenia artystów do powszechnego systemu ubezpieczeń społecznych. Składki byłyby pokrywane z opłaty reprograficznej, pobieranej od każdego sprzedanego smartfona i tabletu. Nad szczegółami już pracował resort kultury, jednak wycofał się ze względów ideologicznych. Gliński odkrył, że na nowych rozwiązaniach skorzystałby również krytycy władzy.

Przykład ubezpieczeń społecznych, które zostały zapisane również w programach Koalicji Obywatelskiej i Nowej Lewicy, pokazuje epokową zmianę podejścia do finansowania kultury. 10 lat temu powszechnie uważano, że kultura powinna sama siebie zarabiać, 20 lat temu zamykano teatry i galerie sztuki, 30 lat temu znacząco uszczuplono budżety na kulturę. Patrzone wówczas z podziwem na USA, gdzie jest mocno rozwinięty prywatny mecenat.

Dzisiaj spoglądamy raczej na Niemcy, które nie oszczędzają na kulturze. Środowisko kultury odpowiada również celnie na zarzuty „wspierania darmożjadów” czy „dawania kasy malarzom, którzy tworzą niezrozumiałe bohomyzy”: opłata reprograficzna ma być nieodczuwalna dla kieszeni zwykłych ludzi, budżet państwa nie dopłaci do emerytur ani grosza, a przecież, umówmy się, że dyskryminowanie, bądź co bądź, dużej grupy zawodowej jest niezgodne z konstytucją.

I najważniejsze: demokratyczne państwo prawa nie robi rozróżnienia na „naszych” i „waszych” artystów. Liberalna demokracja działa inaczej, bardziej równościowo niż nieliberalna demokracja Jarosława Kaczyńskiego.

Beata Chmiel mówi również o sytuacji osób zazwyczaj niewidzialnych, czyli o pracownikach w publicznych i niepublicznych instytucjach. – Nowy lub nowa minister kultury nie tylko musi poprawić ich sytuację ekonomiczną, zapewniając godziwe warunki, ale musi też przywrócić godność zawodową animatorek, kuratorek, bibliotekarek, pracowników i pracowniczek obsługi technicznej, organizacyjnej i księgowej instytucji kultury i sztuki, którzy w galeriach sztuki, muzeach, teatrach, domach kultury i bibliotekach otrzymują głodowe wynagrodzenie, często pracując w warunkach prekariatu. Kadry kultury jako grupa zawodowa są na rynku pracy traktowane najgorzej. Pamiętam oczywiście o pracownikach oświaty, opieki społecznej i publicznej ochrony zdrowia, ale ludzie kultury są nie tylko w ostatnim okresie, ale też faktycznie w całej historii Polski po 1989 roku traktowani najgorzej. Bezwzględnie i bezkarnie wykorzystuje się ich pasje, talenty i oddanie misji publicznej, którą wypełniają często za psi grosz.

Ale i tak tym, co środowisko kultury zaprzęta najbardziej, jest pytanie: czy będzie można odwołać choćby dyrektorów Zachęty i CSW Zamek Ujazdowski.

– Odpowiedź nie jest prosta, ponieważ dotyczy zasadniczego problemu demokratów zderzonych z systemem pozostawionym przez skorumpowaną władzę. Widzimy to ostatnio na przykładzie Słowenii, gdzie po wygranych przez demokratyczną koalicję wyborach parlamentarnych, prezydenckich oraz referendum w sprawie mediów publicznych w instytucjach kultury zasadniczo nic się nie zmieniło. Bo demokraci szanują zasady, które nie pozwalają odwołać dyrektora instytucji kultury prawidłowo powołanego na podstawie istniejących przepisów prawnych – mówi Chmiel.

W Polsce będzie podobnie. Ustawa o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej zakłada odwołanie dyrektora instytucji publicznej w pięciu szczególnych przypadkach i żaden z nich nie zakłada oceny poglądów politycznych. – Nawet PiS w ciągu tych ośmiu lat właściwie przestrzegał zasad autonomii instytucji kultury i jednak rzadko zwalniał dyrektorów w sposób niezgodny z przepisami. Dlatego w każdej instytucji musi zostać przeprowadzony audyt i ocena naruszeń prawa. Musimy rozstrzygnąć na przykład, czy szerzenie mowy nienawiści na terenie instytucji kultury pod pozorem prezentowania działalności artystycznej jest wystarczającym powodem do rozwiązania umowy z dyrektorem – mówi Chmiel.

Ocenie też trzeba będzie poddać nowe instytucje i instytucje powołane przez ostatnie osiem lat, łącznie z Narodowym Instytutem Wolności. – Z ostrożnością należy podchodzić do pomysłu ich likwidacji, a już szczególnie zamykania muzeów lub teatrów założonych w miejscowościach, w których do tej pory nie było często żadnej instytucji kultury poza – i to nie wszędzie – biblioteką albo domem kultury. Nie można pozbawiać mieszkańców instytucji tylko dlatego, że jest powołana przez władzę PiS. Należy je chronić jako dobro cenne i rzadkie i trzeba je po prostu oddać mieszkańcom – zaznacza Beata Chmiel.

Ale kultura to nie tylko duże instytucje czy biblioteki, które w pierwszej kolejności należałoby dofinansować. To także organizacje pozarządowe zajmujące się produkcją wydarzeń artystycznych. Alina Gałązka z Teatru Komuna Warszawa mówi, że najważniejszą potrzebą trzeciego sektora w Polsce są pieniądze na koszty stałe. To fundusze, z których opłaca się czynsz, wypłaca wynagrodzenia pracownikom administracyjnym czy reguluje rachunki za prąd.

– W organizacjach pozarządowych mamy sytuację odwrotną niż w instytucjach publicznych. Muzea i miejskie teatry mają pieniądze na koszty stałe, ale często brakuje im na nowe wystawy czy spektakle, a organizacje pozarządowe zdobywają sprawnie fundusze na projekty artystyczne, ale trudno im na przykład wynająć duży lokal – opowiada Gałązka.

Piotr Gliński teoretycznie zrobił sporo dla organizacji pozarządowych, szczególnie tych zajmujących się kultu-

ra lokalnie. Powołał choćby Narodowy Instytut Wolności, który ma za zadanie opiekować się społeczeństwem obywatelskim.

– Szkoda tylko, że duże fundusze, którymi dysponuje, są przekazywane organizacjom nacjonalistycznym. Jednak jeśli chodzi o mechanizmy systemowe, to NIW w teorii jest dość potrzebną instytucją, ponieważ ma wspierać finansowo trzeci sektor w sposób trwały i systemowy – mówi Alina Gałązka.

Pytam więc, czy po przejęciu władzy przez opozycję należałoby zlikwidować NIW. – W pierwszej kolejności należałoby przeprowadzić tam audyt i zweryfikować zadania – odpowiada.

Moja rozmówczyni podaje przykład warszawskiego samorządu, który nie tylko wspiera finansowo pojedyncze projekty kulturalne, ale też od kilku lat przeznacza dosyć duże pieniądze na wieloletnie programy dotacyjne, w tym na koszty stałe dla organizacji pozarządowych, które wygrały w konkursach. – Dobrze byłoby przenieść ten system na skalę ogólnopolską: albo jako dodatkowy program ministra, albo jako ważną część działalności NIW, albo jako rodzaj subwencji kulturalnej dla samorządów, które najlepiej wiedzą, jakie organizacje należy wspierać – proponuje Gałązka.

Wśród postulatów tej części środowiska pojawia się też propozycja zmiany ustawy o prowadzeniu działalności kulturalnej, a konkretnie – jej zapisu o możliwości startu organizacji pozarządowej w konkursie na prowadzenie teatru czy muzeum.

– W tej chwili samorządy mogą powierzyć prowadzenie teatru takiej organizacji tylko na drodze ustawy o zamówieniach publicznych, co ma się nijak do profilu ich działalności. Wiele organizacji śmiało mogłoby ze świetnymi programami startować w takich konkursach – przekonuje Gałązka. Dzisiaj organizator musi wybrać: czy robi konkurs na prowadzenie teatru otwarty dla osoby prywatnej albo prawnej. Nie może więc porównać programów z obu stron.

Aco z domami kultury, które działają w każdej gminie w Polsce? Czy tam też jest oczekiwana zmiana? Na te pytania odpowiada Marcin Jasiński, dyrektor Staromiejskiego Domu Kultury w Warszawie.

Najpierw zwraca uwagę na autonomię instytucji kultury. – To słowo nie pada ani razu w tekście ustawy o organizowaniu i prowadzeniu działalności kulturalnej. Jednak w ostatnich latach widzieliśmy wielokrotnie działania wykraczające poza prawo oraz ideologiczne, propagandowe i medialne naciski rządzących na instytucje. Dlatego ustawa wymaga korekt niepozwalających na swobodną interpretację przepisów. I klarownych rozporządzeń wykonawczych, a także innych przepisów, które często pozostają w sprzeczności z duchem ustawy – mówi Jasiński, a ja próbuję to przetłumaczyć na ludzki język.

W znowelizowanej ustawie należałoby twardo zapisać, że minister, prezydent miasta czy wójt gminy nie mają prawa ingerować w program domu kultury czy teatru. To zaraż polskich miasteczek i wsi: burmistrz wzywa do gabinetu dyrektora domu kultury i każe mu zorganizować czyjs koncert. Jeśli dyrektor się nie zgodzi, szybko straci stanowisko. Albo dostanie mniejszą dotację. Albo opiszą go w gazetce wydawanej przez urząd.

Jasiński dodaje, że środowisko animatorów kultury na pewno oczekuje podniesienia prestiżu zawodu i godnych plac. – Choćby takich jak w administracji publicznej. Chce dialogu, zauważenia i wsłuchania się w głos tych mniejszych, rozmowy o praktykach, lukach systemowych i wspólnej pracy nad ewentualną reformą uwzględniającą trzeci sektor, freelancerów i całą rzeszę animatorek i animatorów bez stałego źródła dochodu – wylicza.

Podsumowując: środowisko kultury ma szczegółowy plan naprawy systemu. Nowy minister będzie miał więc ułatwione zadanie, nie będzie musiał powoływać nowych zespołów i zatrudniać doradców, ponieważ dosłownie każdy element nowego pejzażu kultury został szczegółowo zdiagnozowany.

Na pierwszym miejscu listy są jeszcze większe zagwarantowanie autonomii instytucji, dosypanie pieniędzy nie tyle do abstrakcyjnego systemu, ile do kieszeni konkretnych osób, wsparcie trzeciego sektora i połączenie kultury z nowoczesną edukacją.

Część środowiska, które stało się ofiarą polityki kulturalnej rządu PiS, nie szuka więc zemsty, nie chce rozwiązywać instytucji założonych przez Piotra Glińskiego. Ale nie chce też powrotu do słabego wynagradzania pracowników instytucji kultury. W wyobrażeniu artystów i pracowników instytucji kultury nie ma więc mowy o tym, by wrócić do stylu zarządzania sprzed 2015 roku, kiedy na masową skalę zatrudniano ludzi na umowy śmieciowe.

Jedno jest pewne. Środowisko kultury będzie uważnie obserwowało działania nowego ministra, ktokolwiek nim zostanie. ●

Adam Michnik poleca

Tłum nie rozumie ni w ząb,
co to jest patriotyzm, racja stanu, suwerenność

Jarosław Bratkiewicz*

Polska PiS-u 15 października cofnęła się o krok, o dwa. Ale trwa. Szczerezy kły, parska i furczy ze złości. I niepodobna jej opisać bez alegorii. Może z bajek Ezopa lub La Fontaine’a? Orwell podszeptuje przypowieść o folwarku zwierzęcym. Atoli sięgnijmy do Kiplinga...

Już w latach 2006-07 w polskiej polityce, ponad powagą spraw i celów państwowych, rozhuściła się iście małopoludzia czereda. Czyli rządzący PiS i nabożnie otaczający tę partię „lud pi-sowski”.

Uprawiana przez nich polityka godnościowa i suwerenistyczna, huczna i awanturnicza, przypominała – żywcem wzięte z „Księgi dżungli” Rudyarda Kiplinga – poczymania ludu małpiego (Bandar-log). Który „wrzeszczał przez cały dzień, wychwalać się, iż jest ludem wielkim, zdolnym do czynów niezwykłych”. Naprawdę zaś był „głupi, zły, niechlujny, bezczelny, nie posiadał odrobiny wstydu, a pałał jednym tylko pożądaniem: żeby inne ludy puszczy zwracały nań uwagę. (...) Najczęściej po całych dniach wyl przeraźliwie, śpiewał piosenki (...), wyzywał na bój wszystkie ludy kniei”.

Bandarlogową swawolnością i zawadiactwem wyróżniała się w nowożytnych dziejach Polski sarmacka szlachta. Jako archetyp, z którego dzisiaj urealniło się zjawisko pisowstwa.

Grubiańskie i obskuranckie jestestwo „ludu pisowskiego” całkiem zgrabnie – może dzięki pokraczności i pierwowzorowi, i odzworowania – wpasowuje się w sarmacki etalon, wzorzec. Albowiem większość szlachty doby sarmatyzmu tylko z trudem można podciągnąć pod standardy arystokratyczne. W krajach na zachód od Rzeczypospolitej elity feudalne grosso modo legitymowały się wykształceniem, były obyte w świecie: europejskim oraz pozaeuropejskim, kolonialnym, przysposobione do fachowej obsługi maszynierii państwowej.

Szlachta sarmacka zaś, wielokrotnie przewyższająca liczebnością stan feudalny na zachodzie Europy, wykazała się miernymi cnotami państwowotwórczymi. Od połowy XVII wieku warcholiła na sejmikach i zrywała sejmy, rokoszowała w skali państwa i wadziła się po sąsiedzku, biesiadowała i piła na umór. Polska nierządem stała, bo tak ją wykoślawił sarmacki grunt socjokulturowy, jałowiejący od nieuctwa, ciemnoty i praśnego narcyzmu szlachty.

Na tym gruncie uformował się, wedle określenia Antoniego Kępińskiego, histeryczny typ osobowości. Uwidoczniło się to w postawach godnościowych, zamasyzowanych, koturnowych. Ilustrowała to skłonność szlachty do „strojenia min”, pokazowego srożenia się. W parze z tym szła chwiejność

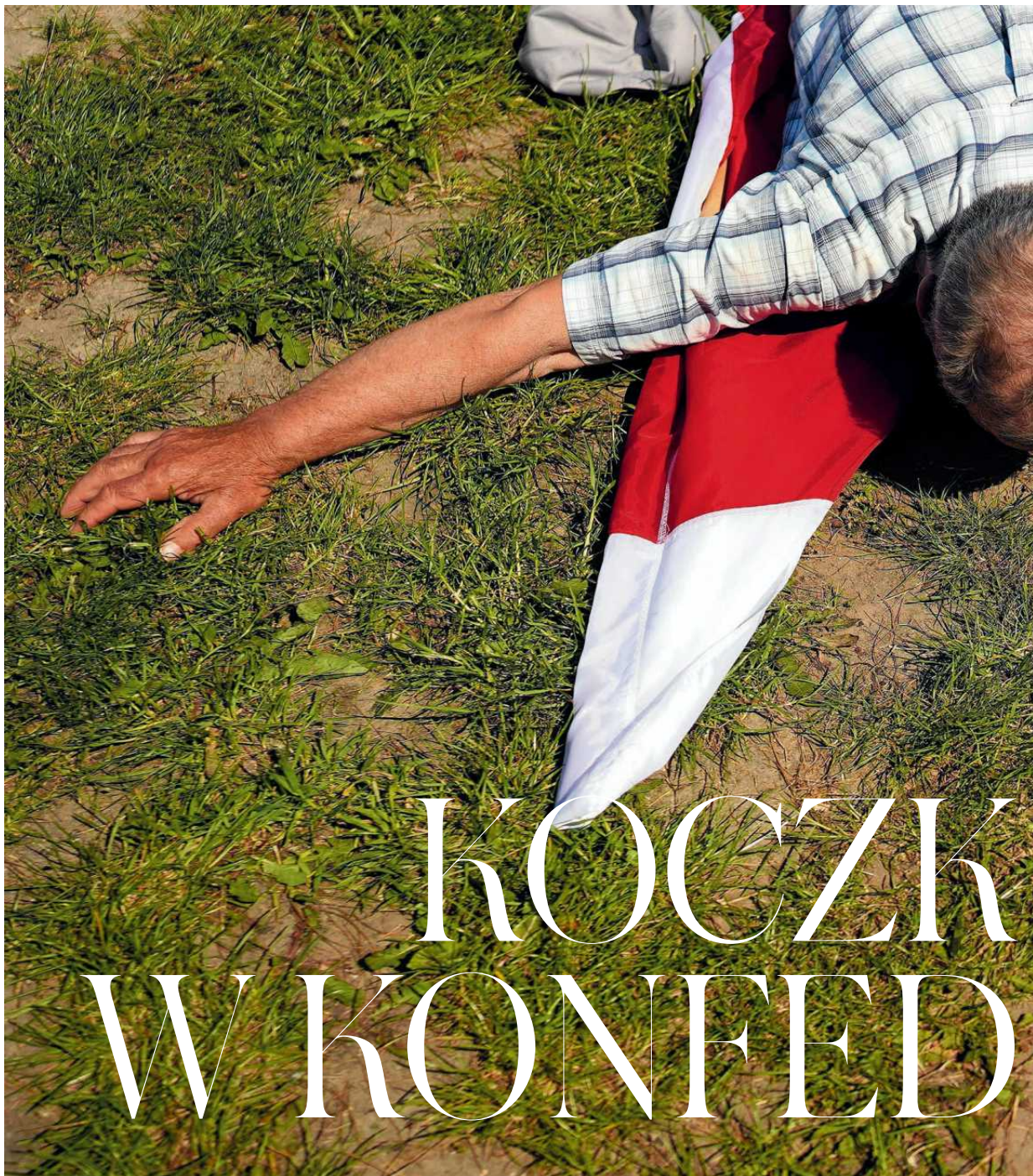
nastrojów, kiedy początkowa bravura przeradzała się pod wpływem błahych okoliczności w panikę – co nadawało tej postawie znamiona psychopatycznej labilności, „taneczności” (skirtotymiczność). Całość zwiędzała ciemnogród szlachty i dewocja.

Pomrocność umysłowa szlachty, którą piastowały szkoły jezuickie z ich antyscjentystycznym i kontrreformacyjnym odrętwieniem, stawiała ją w jednym rzędzie z syndromem „umysłowości prymitywnej”. Antropolog Lucien Lévy-Bruhl w „La mentalité primitive” dowodzi, że przewód poznawczy „ludzi prymitywnych”, inaczej niż logiczne myślenie człowieka Zachodu, przedziera się przez labirynty magii i okultyzmu.

Świat nadzmysłowy, wedle umysłowości prymitywnej, aktywnie wpływa na bieg i kształt spraw doczesnych. „Ludzie prymitywni uzewnętrzniają zdecydowaną niechęć do rozumowania, do tego, co logicy nazywają »dyskursywnymi operacjami myślowymi«”. Odrzucając rozumowanie, preferują zapamiętywanie zjawisk i wydarzeń, skoro porządkuje je (wiąże w ciągi kauzalne) wyłącznie magiczną nieobliczalność transcendencji. Umysłowość prymitywną Lévy-Bruhl nazwał „prelogiczną” i „mistyczną”.

Dla umysłowości tej teofania uobecnia się na co dzień, emanuje z niej niepojętość i groza, a zarazem sakralizuje się jako wiarygodny drogowskaz. Ludy o mentalności prymitywnej tworzyły swoje cywilizacje na nawarstwieniach pamięci dziejowej – atoli skrzywionej przez nieustanne wtręty teofaniczne – a więc na mitach i na obrzędach „rekonstruujących” owe mity. W rezultacie uwijały się przez dzieje w jakimś nieodpartym przymusie rytualnego odtwarzania zmitologizowanych i archetypowych wyznaczników własnej tożsamości. Ukłepywanie taką miarą tradycji doprowadziło do powstania społeczeństw tradycyjnych jako aktorów historii przednowożytnej.

Populiści są z reguły
ćwierćinteligentami,
ludźmi jednej książki
lub broszury. **Nienawidzą
więc intelektualistów,
których znamionuje
umysłowość krytyczna
i racjonalny dystans**



KOCZK WKONFED

Okres unowocześnienia, zapoczątkowany przez cywilizację zachodnią, mimo postępującego procesu globalizacji tylko powierzchownie oddziałał na olbrzymie polacie poza światem Zachodu. Mentalność tradycjonalistyczna, jako cywilizowany odpowiednik umysłowości prymitywnej, nadal determinuje kulturę i obyczaj Azji i Afryki, a także Europy Wschodniej.

Jak pisał Mircea Eliade, „rzedzą znamienne dla społeczeństw tradycyjnych jest (...) przeciwstawienie swego zasiedlonego terytorium obszarowi nieznanemu i nieokreślonymu, który je otacza: ich

okolica to »świat«, kosmos; reszta to już nie kosmos, to coś w rodzaju »zaświatu«, obszar obcy, bezładny, zamieszany przez poczwary, demony, obcych” (przekład Anny Tarkiewicz).

W Polsce i w Europie Wschodniej owa dwudzielnosc percepcji otoczenia czerpie z gnostycyzmu, charakterystycznego dla orientalnego chrześcijaństwa. Gnostyci pierwiastek w pisowskiej teorii i praktyce sprowadza różnorodność świata do konwulsyjnych starć dobra i zła.

Wedle pisowców zło się czai w naszym bliskim otoczeniu: w Niemczech, Unii Europejskiej, Rosji, wśród transnarodowych „lewaków” i „pe-dalów”. Polska „typu pisowskiego”, a więc Rzeczpospolita sarmacka oraz sanacyjna II RP, zbierała ciągi od „sił zła”, wyraźnie przytłaczających ją materialnie i bezspornie lepiej zorganizowanych. Toteż Polska PiS-u chaotycznie się zbroi, choć swą polityką – tyleż czupurną, co bezmyślną – sama ściągą zagrożenia na swą głowę. Skłóciwszy Polskę ze wszystkimi znaczącymi partnerami międzynarodowymi, pisowcy – jak na osobowości histeryczne przystało – parady z mocarstwową gębą, wyrażają Berlinowi, Brukseli, Moskwie, Pradze, a nawet Kijowowi.

Werble wybijały PiS-owi implematywu odwetu. Za rozbiory, przegrane wojny i powstania, za przystąpienie Polski do Unii i za „męczeńską śmierć” Lecha Kaczyńskiego. Umysł tradycyjny obwinia w swych porażkach wszyst-

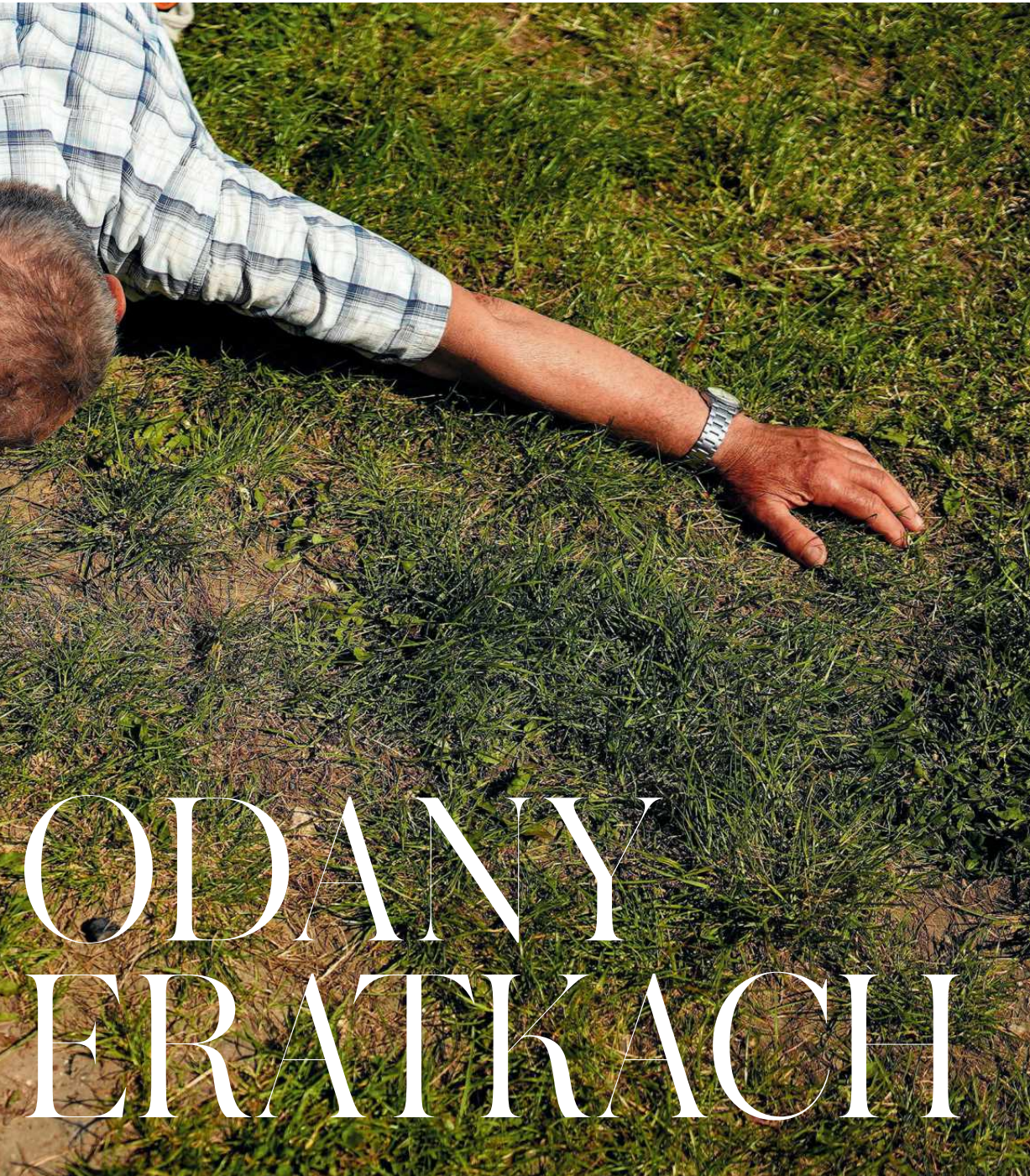
kich dookoła, byle nie własną durnotę i niezgultstwo.

A przy tym rządy PiS-u przebrały rzecz najważniejszą – wiarygodność sojuszniczą Polski. Ona to bardziej niż formalne zapisy traktatowe pobudza sojuszników do przyścia z pomocą w godzinie próby. Sojusze i struktury integracyjne Zachodu mają dzisiaj charakter nie tyle geopolityczny, ile cywilizacyjny, służą nade wszystko obronie wspólnych wartości kulturowo-politycznych. Choć i w 1939 r. czynnik wiarygodności cywilizacyjnej ważył: Londyn i Paryż miały wtedy duże wątpliwości, czy iść w sukurs krajowi nad Wisłą, którego referencje europejskie i demokratyczne pozostawiały wiele do życzenia.

Ponieważ „mentalité primitive” uniemożliwia pisowcom ogarnięcie powyższego, uciekają się – aby sobie objaśnić, czemu wszystko im wychodzi leworęcznie i na opak – do paralogizmów i przywołań okultystycznych. A wtedy wiadomo: winna jest siła nieczysta. Węsząc „zdradę” i tropiąc „przeniewierstwo”, PiS przemierzył całe morze szaleństw politycznych na „Statku głupców” (pędzla Hieronima Boscha).

Na statek ten udało się PiS-owi zamustrować bez mała pół Polski: wszystkie sieroty po PRL-u, które sens ekonomiki widzą w posunięciach administracyjno-redystrybucyjnych. Wypatrują „trznastek”, przydziałów i deputatów, wolny rynek pojmują jako pchli targ, a demokrację jako piwiarnianą pyskówkę. Znalazły się tam oferty, lebiegi i strachajły czasów

FOT. GRZEGORZ SKOWRONEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



ODANY ERATKACH

PRL-owskich, nadrabiające teraz patriotycznym zadęciem to, jak ongiś przymilały się do komunistycznych szafarzy dóbr, realizując kartki na mięso. Na pokładzie są też rozgorączkowane ofiary późnego urodzenia, teraz nieustraszenie idące z biało-czerwoną opaską i kosą na sztorc na zwidy i mami dla postkomunizmu, które upozorowała pisowska ideologia.

Zło postkomunizmu pisowcy sztafirują zgodnie z populistycznymi kliszami, gdzie góruje stare bolszewickie hasło: „Precz z inteligencją!” („Dolój inteliigencjiu!”). Populiści są z reguły ćwierćinteligentami, ludźmi jednej książki lub broszury i gnostyckiego przejrzenia. Nienawidzą więc intelektualistów, których znamionuje umysłowość krytyczna i racjonalny dyktans.

Stąd dzisiaj po stronie pisowskiej harcują niedouk i gbur w barwach narodowych. Wrogość, którą wylewają na inteligencję: „salon”, „jelyty”, „yntyligencję” – jak ją usiłują buraczanie wykpiwać – dorównuje nienawiści, jaką zachłystywał się lud sowiecki w zetknięciu ze światem Zachodu: elegancim, wynalazczym, przedsiębiorczym, zdobywczym. W ten sposób ludy eurazjatyckie rekompensują sobie własne zacofanie, nieudaczność i gnuśność, które się stają, dzięki obrzędowej tromtadracji i pijaństwu, szczerymi cnotami: naszymi, rdzennymi, od pluga.

Tajemny układ postkomunistyczny, który mackami ponoć oplóti Polskę, mimo nadludzkiego wysiłku pisowskich służb jawnych, tajnych i dwupłciowych, okazał się

na tyle sekretny, że zatracił znamiona realności. Urealniły się natomiast niebotyczne przekręty (jak planowane przez Jarosława Kaczyńskiego wieżowce na Srebrnej) i nadużycia patriotycznych ascetów z PiS-u, z ich nalanymi sadłem facjatami. W tym zresztą Polska prowincjonalna widzi walor pisowstwa: siły swojskiej, która „kradnie, ale się dzieli” ze zwykłymi ludźmi.

Mentalność prymitywną (tradycyjną) zasypała dziś w postmodernistycznym świecie bezładna faktografia. Tradycjonalista ni w ząb nie pojmuje, co z czego wynika i ku czemu wiezie, sięga tedy do wyjaśnień okultystycznych. Typowej dla Zachodu oświeceniowej zdolności wiązania faktów w naukowe syntezę bieg dziejów oszczędził znacznej części Polaków – tych „najprawdziwszych”, „najbardziej patriotycznych”.

Umysłowość tradycyjna ustanawia powiązania przyczynowo-skutkowe między faktami na mocy gnostyckich przeczuć i olśnień. Tak jak objawiają się one ludziom „ubogim duchem”. Utkane przez mistykę i okultyzm więzi kauzalne płaczą się w fantastycznych zgola konfiguracjach. Z nich wykwitają teorie spiskowe, które wmawiają Polakom obecność złowieszczych sił transcendentnych („obcych”) w naszej codzienności politycznej.

To są te proste prawdy, które „wszystko wyjaśniają” – jak za komuny – i które PiS wkłepuje w gło wy swego elektoratu. Inkryminu-

je czołowce Koalicji Obywatelskiej agenturalne powiązania: z Rosją, RFN, zachodnim „lewactwem”. Takie „młoty na czarownicy” jak komisja ds. wpływów rosyjskich miały podjąć wysiłek na miarę świętej inkwizycji – czy raczej czystek stalinowskich. Gdyż tylko w czasach Stalina tropiono z tak paranoicznym zacietrzewieniem „obcych agentów” i „wrogów ludu”. W Polsce pisowskiej w tę rolę ubrano „hordę rusofilów” i „prounijny Werwolf”.

Piszący te słowa do niedawna przymierzany był, by znaleźć się pod lupą P.T. komisji jako absolwent Moskiewskiego Państwowego Instytutu Stosunków Międzynarodowych, MGIMO, i z racji insynuowanych mu przez pisowców rozbójnictw politycznych z okresu, gdy sprawował w MSZ wysokie funkcje. To, że oskarżenia „patriotów i niepodległościowców” pod moim adresem będą „straszne i śmieszne”, zwiastują moje połączenia z hejterami pisowskimi na Facebooku, które obrazują maniakalno-prześladowczy sposób widzenia świata przez PiS. Przypomina to groteskę z teatryku Zielona Gęś, toteż pseudonimuję autorów przytoczonych wyimków nazwiskami postaci z rzeczonego teatryku Galczyńskiego.

Alojzy Gzęgżółka na FB bulgocze powątpiewaniem, czy piszący te słowa, który „studiował w kacapów”, mógł działać w latach 80. w podziemiu wydawniczym. „W samym Kręgu [znanym wydawnictwie podziemnym – J.B.] co pan robił? (...) Są na to jakieś pa-

piery w IPN?” – indaguje ów patriotyczny inkwizytor. „To wszystko nieco tajemnicze zważywszy, że studiował pan na MGIMO. (...) Pomijając jakość i metodologię, MGIMO było w tamtym czasie miejscem werbunku i kuźnią kadr. (...) Nikt przyzwoity z mojego pokolenia nie uczestniczył wówczas w takiej farsie jak studia na tej »cywilnej Woroszyłówce« (...). To akt opowiedzenia się po stronie wroga”.

Gzęgżółka opowiedział się po stronie zawsze i bogobojnie służnej – studiował w Akademii Teologii Katolickiej.

Hermenegilda Kociubińska, z zawodu i pasji to albo szefowa magla, albo odgrywa ważną rolę w warzywniaku. Już w pierwszych jej słowach łoskocze niagara z mydlinami. Bratkiewicz to „wyjątkowa szuja, prostak i cham, który uważa się za zbawcę Polski, super inteligenta, a de facto to ojko-bok [chyba: ojko-fob – J.B.], zdrajca, zaprzaniec, sprzedawczyk, re-negat... Wystarczy poczytać jego »dzieła«, komentarze, jak wyraża się o Polsce, historii Polski, jej dokonaniach”.

I dalej: Bratkiewicz „nienawidzi postawy oddania własnej ojczyźnie i gardzi taką postawą (...) Jest [mu] wszystko jedno, czy Polska będzie szanowana, czy rządzona przez takie kundle, dla których nie ma znaczenia, czy możemy prowadzić politykę niezależną i samodzielną, zgodną z naszymi polskimi interesami. (...) To, co Bratkiewicz, Tusk, Sikorski robili przez tamte 8 lat PO/PSL, można ocenić tylko w kategoriach sprzedawczyków – a co robiliście, to wy najlepiej wiecie, a jest szansa, że i my dowiemy się z dokumentów »Reset«”.

Rzeczywiście, nie żywię „oddania” Polsce, gdzie rządzi PiS. Bo „lud pisowski” oddał ją w pacht – za „chleb” (500 plus, trzynastą emeryturę itp.) i za „igrzyska” (szcucie na proeuropejskie elity) – rozjuszonym koczko-danom: w konfederatce, koloratce i z karabelką. Uważam, co więcej, że Polska pod rządami PiS-u utraciła szacunek w świecie zachodnim niczym tandetny cyrk z moczarnymi podnoszącymi tekturowe sztangi i treserami świń przemalowanych na tygrysy. Zyskała poważanie tylko na straganach na lewo i prawo od Hermenegildy.

Proszę zauważyć, że argumentacja wyżej przytoczonych pisowców opiera się na frazesach i epitetach, które sufluje PiS (łącznie z trudnym słowem „ojko-fob”). A „oddani Polsce” zwykli ludzie te podpowiedzi mniej lub bardziej udolnie wyjęzyczają w przestrzeni publicznej. Rozpościera się zatem przed nami rytuał plemienny – wystarczy, że szaman wysepleni słowa: „patriotyzm”, „interes Polski”, „polityka niezależna i samodzielna”, a tłum pisowski roztańczony wokół totemu podejmie je i wykrzyczy w trójnasób. Nie rozumiejąc ni w ząb, co to jest patriotyzm, racja stanu, suwerenność. Cóż, „mentalité primitive”.

Patriotyzm to nie rzewność i nie miłość do PiS-u. Patriotą dla mnie jest Kazimierz Wielki, a nie zwolennicy unii z Litwą; Stanisław August, a nie Karol Radziwiłł „Panie Kochanku”; książę Drucki-Lubecki, a nie Maurycy Mochnacki; Eugeniusz Kwiatkowski, a nie Edward Rydz-

-Śmigły; Lech Wałęsa, a nie Jarosław Kaczyński. Polskę pisowską uważam za anachronizm, który na pył historii niechybnie przemielą mechanizmy globalizacji. Walka o tożsamość polską wymaga gruntownego unowocześnienia Polski, wyrwania się z otepiałości w tradycjonalizmie.

Brak patriotyzmu zarzuca-no mi w reakcji na mój artykuł w „Wyborczej” (15-16 kwietnia 2023) o stosunkach z Niemcami, z których – mimo dramatycznych perturbacji w dziejach – przyszła do Polski cywilizacja zachodnia. Owo dziedzictwo europejskie Polska jagiellońsko-sarmacka, włączając w to II RP, roztrwonila. A w 1938 r., przez Trzecią Rzeszę komplementowana jako „mocarstwo”, dołączyła do haniebnej akcji rozczłonkowania Czechosłowacji (jedynej wtedy państwa demokratycznego w naszym regionie).

II RP – silna, zwarta, gotowa – pod buławą osobistości przywódczej stanowi totem Polski pisowskiej. Dlatego jej bałwochwalcy podnieśli krzyk w mediach, że historycy w Rosji eksponują dziś fraternizację Polski sanacyjnej z Rzeszą, a „niejaki pan Bratkiewicz na łamach »Gazety Wyborczej« powtarza tezy rosyjskiej propagandy” (dixit Stanisław Żaryn).

W podobnym duchu usiłował mnie przygwoździć Witold Jurasz z Onetu, mówiąc, że zwrot, iż Polska „szakaliła” przy ciele Czechosłowacji zagryzanej przez Niemcy, przekalkowałem z narracji putinowskich propagandystów. Ty-le że to nie Putin i nie jego polityka historyczna, lecz Winston Churchill zmetaforyzował zajazd na Za-olzie jako współudział w „ograbieniu i zniszczeniu Czechosłowacji”, co Polska uczyniła „z żarłocznością hieny”.

Takie czasy... I „lud pisowski”, skupiony w trzódkę, którą PiS wypuszcza na wypas, pasterzą zaś księża dobrodzieje, wywdziecza się Kaczyńskiemu – jak kilkadziesiąt lat temu komunie – za dobrodziejstwa zapomóg oraz gościńców socjalnych i zwłaszcza za pog-nębienie „salonu” i „mądrali”. Jest mu tak wdzięczny, że nie wie, w co prezesa całować.

Ale teraz wiadomo: miejsce najwłaściwsze, po kopniaku wyborczym 15 października, puchnie i sinieje. I aż prosi się o pieszczoty pisowskiego Bandar-logu. ●



FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jarosław Bratkiewicz

• ur. w 1955 r., politolog, były dyplomata. Absolwent MGIMO. Działał w podziemnej „Solidarności”. Od 1992 r. w MSZ, w latach 1996-2001 ambasador na Łotwie, a w latach 2010-15 dyrektor polityczny ministerstwa.

NASZA EUROPA

Salman Rushdie:

ZNAM DOBRY PRZEPIS
NA ZEMSTĘ

Najlepszą reakcją na ataki na pisarza, wsparciem go,
jest zawsze czytanie jego książek

Martin Scholz

welt

Dobrze znów cię widzieć”, mówi Salman Rushdie, zbliżając się sprężystym krokiem. Spotykamy się już po raz dziesiąty w ostatnich 25 latach, ale tym razem możliwość przeprowadzenia z nim wywiadu wydaje się wyjątkowo szczęśliwą okolicznością. Prawe szkło w jego okularach jest przyciemnione – to najbardziej widoczny ślad po zamachu z sierpnia ubiegłego roku. Rushdie otarł się o śmierć, gdy – podczas publicznej dyskusji odbywającej się w spokojnej miejscowości pod Nowym Jorkiem – radykalny islamista zadał mu kilka ciosów nożem. Sprawca, urodzony w Kalifornii syn libańskich imigrantów, zradykalizował się podczas podróży na Bliski Wschód. Przez długi czas nie było jasne, czy Rushdie przeżyje atak. Przeżył, ma się dobrze i znów pisze, nawet intensywniej niż przedtem. Spotykamy się na Manhattanie, w biurze agencji literackiej, która go reprezentuje. Rushdie jest już spakowany przed wylotem do Frankfurtu, gdzie ma odebrać Pokojową Nagrodę Niemieckich Księgarzy za pozostawanie „jednym z najbardziej zagorzałych orędowników wolności myśli i słowa”. Po-

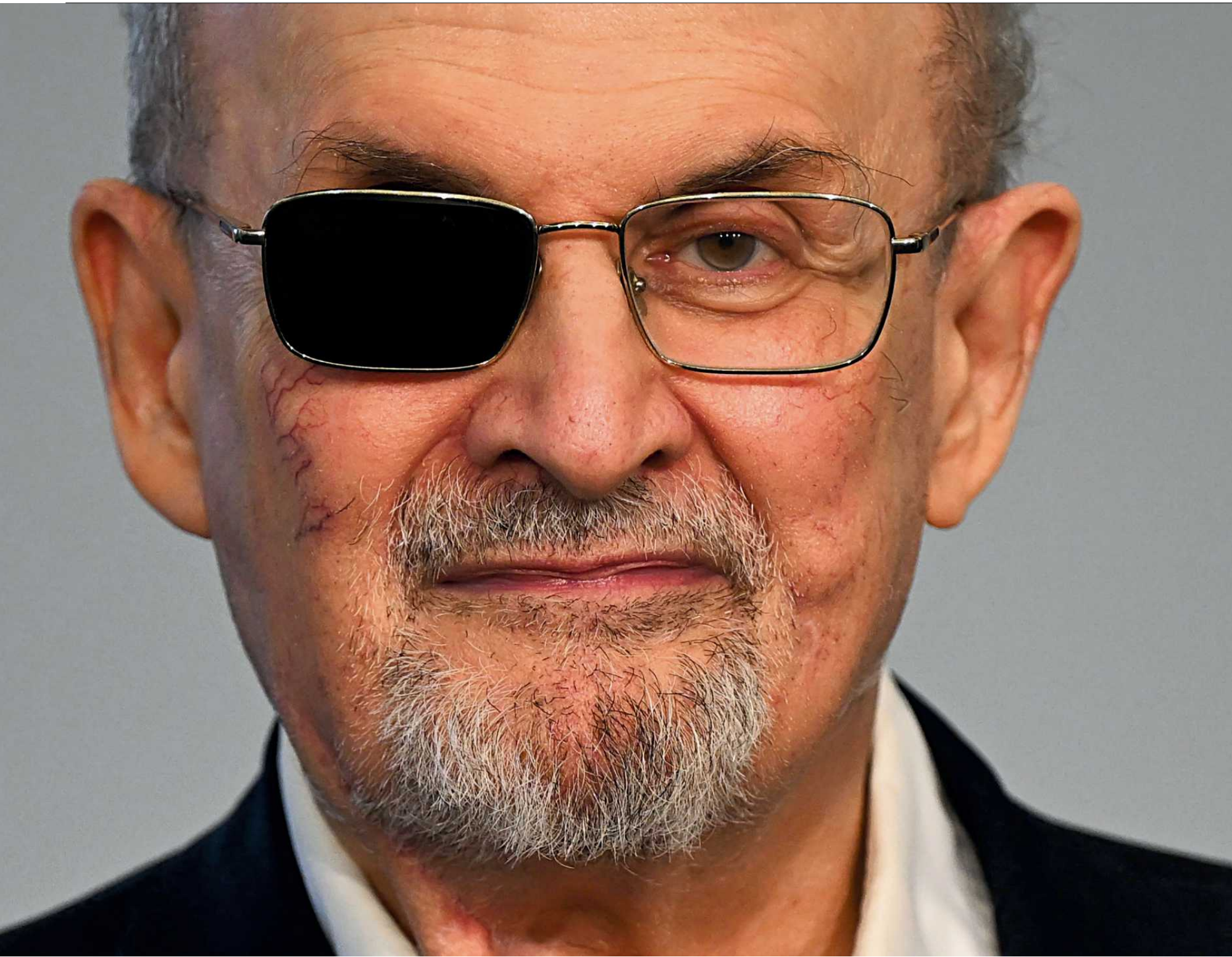
nownie wraca pytanie, dlaczego Akademia Szwedzka od ponad 30 lat nie odważyła się przyznać Nobla wielkiemu indyjsko-brytyjskiemu pisarzowi. Po zamachu m.in. Günter Wallraff i Bernard-Henri Lévy przekonywali, że nikt nie zasługuje na Nobla bardziej niż Rushdie. Ale Rushdie zdaje się wcale nie potrzebować kolejnych laurów. Pierwsza nasza rozmowa miała miejsce w 1999 r. w Hamburgu, jeszcze z wszystkimi szykanami wymaganymi przez ochronę pisarza, na którego teokratyczny reżim w Iranie wydał wyrok śmierci, ponieważ uznał jego powieść „Szatańskie wersety” za bluźnierczą. Przez ponad dekadę Rushdie musiał się ukrywać, zmieniać miejsce pobytu, stałe pod ochroną państwa brytyjskiego. Groźby ze strony różnych grup islamistycznych oferujących nagrody za zabicie pisarza nie ustały jednak i potem. Rushdie nauczył się z tym żyć.
...
Wszystkie z tych kilku wywiadów, których udzielił pan po ubiegłorocznym zamachu, zaczynały się od tego samego pytania... – O tak, wszyscy chcą wiedzieć, jak sobie radzę. Otóż mam się całkiem dobrze, pomijając utratę jednego oka.
Chodzi raczej o to, jak udaje się panu nie stracić odwagi do życia, radości z życia. Przypomniałem sobie niedawno o jednej z pańskich pasji, o której często mówił pan z niemal dziecięcą radością.

– Naprawdę? Co to takiego?
Niedawno tego samego dnia ukazały się dwie nowe piosenki zespołów, z członkami których utrzymuje pan przyjacielskie relacje – „Sweet Sounds Of Heaven” Stonesów i „Atomic City” U2. Która lepiej poprawia pana nastrój? – Zdecydowanie mogę powiedzieć, którą wolę. „Sweet Sounds of Heaven” z Lady Gą to jedna z najlepszych piosenek Stonesów. Kiedy wydawali nowe albumy w ostatnich dekadach, często myślałem: „Wszystko fajnie, ale te dawne jednak są lepsze”. A teraz proszę: nagrywają coś, co może rywalizować z ich klasykami. I to po 17 latach przerwy – jak to dobrze, że Keith Richards i Mick Jagger wciąż nie skasowali swoich numerów w komórkach. A nowa piosenka U2 jest... w porządku. To znaczy, ja ich nadal kocham, jednym z moich marzeń obecnie jest, żeby pojechać do Las Vegas i zobaczyć ich w tej nowej odlotowej hali zwanej The Sphere.
Przed zamachem bywał pan często na koncertach, nawet pisał pan o nich. Teraz to nadal możliwe? – Tak, ostatnio byłem na występie Bono w Beacon Theatre w Nowym Jorku, gdzie prezentował swoją autobiografię. Dobry koncert, miał wokół kapitalnych muzyków, w tym jakąś niesamowitą harfistkę. W tygodniach po ataku Bono odwiedził mnie w szpitalu ze swoją żoną Ali, przynieśli mi specjalnie ułożoną playlistę na Spotify. A ponieważ długo nie mogłem ni-

czego czytać, dobrze było mieć coś do słuchania.
Otrzymawał pan ogromne wsparcie, gesty solidarności... – Dotarło to do mnie dopiero później. Bardzo mnie to poruszyło, naprawdę. Ale wcześniej długo skupiałem się po prostu na przetrwaniu.
W pierwszych oświadczeniach, kilka tygodni po ataku, pana agent literacki i przyjaciel Andrew Wylie napisał, że jak na okoliczności radzi pan sobie nieźle, to znaczy poczucie humoru pozostało nienaruszone. Jakim cudem nie opuszcza pana humor? – Są dwa rodzaje ludzi: z poczuciem humoru i bez. Kiedy należysz do tych pierwszych, to nie da się go usunąć, ono cię dosłownie współtworzy jako człowieka. Mnie na przykład zawsze z trudem przychodziło czytanie nawet skądinąd dobrych książek, jeśli ich autorzy nie mieli poczucia humoru. Nie chodzi mi tu o to, że powinni non stop sypać dowcipami. Ale ja zawsze potrzebuję w literaturze jakiegoś mrugnienia okiem. OK, udało mi się jakoś przebrnąć przez „Czarodziejską górę” Tomasza Manna. To dla mnie ważna książka. Podobnie zresztą jak „Śmierć w Wenecji”. Uważam je obie za tym świetniejsze dokonania, że Mann nie miał poczucia humoru – ale geniuszu starczyło mu z nawiązką, by nadrobić ten brak. Na drugim biegunie jest np. „Błaszany bębenek” – choć Grass podejmuje tam najmroczniejsze tematy, to opowiada zawsze

NASZAEUROPA

FOT. ARNE DEDERT/AP



ze szczyptą humoru, ironii, dystansu. I to właśnie pozwala wciągnąć się w ten ponury i obcy świat.

Dla mnie komedia zawsze była ważna. I mogę powiedzieć, że o wiele trudniej jest rozśmieszyć ludzi, niż doprowadzić ich do płaczu. Sentymentalność jest łatwizną.

Latami udawało się panu unikać fizycznego ataku. Jak zmieniło się pańskie życie po sierpniu 2022?

– Niewiele. Podstawowy problem to poruszanie się z tym jednym ślepym okiem po zatłoczonych chodnikach. Zwłaszcza w tym mieście, gdzie ludzie cały czas patrzą wyłącznie w swoje telefony.

Mówił pan niedawno, że wciąż nie jest pewien, czy przyjdzie na proces zamachowca...

– Nie ma jeszcze daty procesu. Żarna sprawiedliwości obracają się tutaj bardzo powoli. To było jednak dość głupie z jego strony, że nie przyznał się do winy, w końcu ponad tysiąc osób widziało, jak mnie zaatakował, a większość z nich miała przy sobie iPhone’a, jest więc wiele nagrań. Ujmę to tak: jeśli przyzna się do winy, nie będzie procesu, tylko wyrok. Nie wiem jeszcze, co z tym zrobię.

Wątpił pan też, że powróci do udziału w wydarzeniach publicznych. Co się zmieniło w tej kwestii?

– Podchodzę do tej sytuacji bardzo świadomie, rozsądnie. To znaczy będę zwracał szczególną uwagę na kwestie bezpie-

■
*Z trudem
przychodzi mi
czytanie nawet skądinąd
dobrych książek,
jeśli ich autorzy
nie mają poczucia humoru.
Nie chodzi o to,
że powinni non stop
sypać dowcipami.
Ale ja potrzebuję
w literaturze jakiegoś
mrugnięcia okiem.
O wiele trudniej
jest rozśmieszyć ludzi,
niż doprowadzić ich
do płaczu*

czeństwa. Miałem sporo szczęścia. Jestem sprawny, ale przez chwilę wyglądało na to, że nie dam rady. Więc rozumiem pan, że czuję się bardzo szczęśliwy, że siedzę tu dzisiaj. Chciałbym móc celebrować jeszcze przez jakiś czas takie sytuacje.

Grafik ma pan znów zajęty: niecały rok po ataku wpadł pan na galę PEN America w Nowym Jorku, przyjął zaproszenie od brytyjskiej rodziny królewskiej na zamek Windsor, leci pan odebrać nagrodę do Niemiec...

– No, nie mogę się doczekać.

Nie boi się pan?

– Musimy o tym gadać? Jestem pewien, że wszyscy będą bardzo ostrożni, długo to ustalano. Byłem na Targach Książki we Frankfurcie już dwa razy. Za każdym razem napawało mnie to optymizmem, ten widok buzującego rynku książki. To nie jest umierająca branża, ona kwitnie.

W minionych latach często pan narzekał, że świat postrzega pana trochę jak maskotkę wolności słowa, a mniej jako pisarza. Nagrodę Niemieckich Księgarzy otrzymuje pan ze względu na swoją „niezłomność, afirmację życia i wzbogacanie świata radością opowiadania historii”.

– No tak, ja też zwracam uwagę na moje książki, ponieważ uważam, że są one bardziej interesujące niż cokolwiek innego, w czym brałem udział lub czego doświadczyłem. Oczywiście, można mieć zdanie odrębne. Ale większość z 21 książek, które napisałem, to powieści. I wolę być zapamiętany z opowieści, które w nich snuję.

Proszę mnie dobrze zrozumieć: jestem wdzięczny za współczucie i wsparcie, które ludzie mi okazali. Ale najlepszą reakcją na ataki na pisarza jest zawsze czytanie jego książek, w każdym razie to dla mnie naj-

lepsza zemsta. Uwierzcie mi, kiedy zostałem pisarzem, nigdy nie przyszło mi do głowy, że kiedykolwiek napiszę autobiografię.

Ma pan na myśli „Josepha Antona”, gdzie opisuje pan lata obowiązywania fatwy, co oznaczało życie pod ochroną policji?

– Po prostu nigdy nie zakładałem, że sam mogę stać się tematem opowieści. Zawsze myślałem: moim tematem jest świat, chcę używać własnej wyobraźni, by pisać o tym świecie, wymyślać rzeczy nieistniejące – ale nie moją własną historię.

W języku niemieckim istnieje wyrażenie Überlebenskünstler, człowiek, który pokonuje wszelkie przeciwności. Pasuje do pana?

– Nie sądzę, żebym był czempionem survivalu. Przynajmniej na pewno nie o to chodzi w mojej pracy. Część z niej zawsze dotyczyła tego, skąd pochodzę – Indii, Pakistanu i Anglii. „Szatańskie wersety” to w zasadzie powieść o Londynie. Wszyscy przywykli sądzić, że traktuje zasadniczo o islamie, ale w rzeczywistości ten fragment, który dotyczy islamu, jest małym kawałkiem.

To jest jedna z tych książek, na temat których ma się opinię, czy się ją przeczytało, czy nie. Nawet zamachowiec Hadi Matar przyznał, że przeczytał tylko kilka stron.

– No właśnie. A to właściwie powieść o tym, jak wyglądał Londyn w latach 80. „Szatań-

skie wersety” – moja wielka angielska powieść. Jeśli jej lektura jeszcze przed wami, sugeruję tak właśnie do niej podejść. Dzięki dziwnym zbiegom okoliczności w moim życiu miałem dostęp do wielu odmiennych kultur – Indii, Anglii, później Ameryki. Moim przywilejem jest móc wykorzystać to wszystko w moich opowieściach.

Trzy powieści poprzedzające najnowszą, „Victory City”, rozgrywały się w USA, częściowo zapowiadały Trumpa, a następnie opisywały świat zdominowany przez fałszywe wiadomości i polaryzację. Teraz jednak powraca pan do Indii. – To prawda, że „Dwa lata, osiem miesięcy i dwadzieścia osiem nocy”, „Złoty dom Goldenów”, a zwłaszcza „Quichotte” były w zasadzie powieściami amerykańskimi, choć różniły się znacznie zastosowanymi narracjami. Próbowałem zrozumieć, co działo i dzieje się w USA w ostatnich dekadach. Ale po ostatniej z nich byłem już jednak trochę zmęczony Ameryką.

Ostatnie lata były dziwnym, dość mrocznym okresem w amerykańskiej historii. Nie chciałem już o tym pisać, po prostu dlatego, że już niewiele da się w tej kwestii wyjaśnić. Ale teraz obaj siedzimy sobie tutaj na Manhattanie, podczas gdy helikoptery krążą nad tą częścią miasta od rana tylko dlatego, że Trump jednak zdecydował się dziś rano stawić w sądzie.

I żeby mógł rozpocząć się proces przeciwko niemu. Jest tu oskarżony o zawyżanie aktywów swojej firmy, aby uzyskać lepsze warunki pożyczek i ubezpieczeń. – I jaka jest pierwsza rzecz, którą robi, gdy pojawia się w sądzie? Nazywa sędziego łajdakiem, a czarną prokuratorkę – rasistką. Pyszne.

Metoda obelg i kłamstw Trumpa została dobrze udokumentowana, przeanalizowana i skomentowana. Czy ta historia nigdy się nie skończy?

– Jestem ostrożnym optymistą, spodziewam się, że tym razem sprawiedliwości stanie się zadość. Ponieważ to, co zarzuca mu wiele aktów oskarżenia w kilku stanach, wydaje się niepodważalne. Oskarżenie w Nowym Jorku to sprawa cywilna, nie może za to trafić do więzienia. Ale skoro już wiemy, że ma mniej pieniędzy, niż twierdzi, może być mu trudno zapłacić grzywnę w wysokości ćwierć miliarda dolarów. Może więc stracić kontrolę nad swoim imperium biznesowym, może nawet będzie musiał sprzedać ukochaną Trump Tower. Pozostałe zarzuty w Waszyngtonie i Georgii są znacznie poważniejsze. Podżegał do zamieszek w stolicy. Odmówił zrobienia czegokolwiek, by obronić Kapitol przed rozwścieczonym tłumem. Pozwolił, by trwało to godzinami, liczył na jakąś rewolucję. Jeśli to nie była próba zamachu stanu, to czym to było?

Szacuje się jednak, że 40 proc. wyborców w USA nadal by na niego głosowało. – Ameryka jest pełna wariatów, ale zwracam uwagę, że nie jest w tym sensie wyjątkowa – to samo dzieje się obecnie w wielu innych krajach na świecie. W Argentynie do II tury wyborów przeszedł właśnie facet w swoim populizmie wyprzedzający Trumpa o kilka długości. A w tych moich Indiach nacjonalistyczny premier Modi odnosi miażdżące zwycięstwa w wyborach powszechnych, ale jednocześnie w wyborach regionalnych jego ultrahinduistyczna partia BJP jest tu i tam pokonywana przez partie regionalne. Więc powstał pomysł ponadregionalnej koalicji, która mogłaby odsunąć Modiego od władzy.

Prawie 80 proc. ludności Indii to hinduiści, a Modi zdołał przekonać znaczną część tej populacji, że jego nacjonalistyczno-religijna szajba jest słuszna, zaś świecka zasada Indii, zapisana w konstytucji, jest błędna. Dlatego też obecnie trwa kampania mająca na celu oczernianie ludzi takich jak Gandhi. Chcą nawet stawiać pomniki mordercom Gandhiego! Świat wywrócił się do góry nogami. Ale Indie zawsze były dla mnie domem i źródłem mojej wyobraźni. Po pisa-

Jeśli amerykańscy studenci chcą zostać pisarzami, to najchętniej science fiction lub fantasy – to ich forma eskapizmu, ponieważ wszyscy boją się tego, co w ogóle wolno i powinno się pisać w dzisiejszych czasach

niu o USA przez prawie dziesięć lat chciałem wrócić do domu jako autor „Victory City”.

W której to powieści opowiada pan o pełnych nadziei, lepszych czasach w przeszłości. W królestwie Widżajanagar, które istniało w południowych Indiach od XIV do XVI w.

– Byłem tam jako młody człowiek, w Hampi, gdzie można zobaczyć ruiny z tamtych czasów. To zapierało dech w piersiach, było co najmniej tak imponujące jak Tadž Mahal.

W książce to królestwo nazywa się inaczej, a zostało stworzone przez poetkę, czarodziejkę i prorokinię w jednej osobie, która prowadzi kampanię na rzecz równości i tolerancji, ale często przegrywa swoje bitwy.

– Pampa Kampana, bo takie nosi imię, jest moją bratnią duszą, na pewno podobnie jak ja czerpie siłę z pisania. Ale jest kimś więcej niż poetką, jest twórczynią. Została namaszczona przez siłę wyższą i faktycznie tworzy to nowe magiczne królestwo. Jest wielu autorów, których bardzo

południowoindyjskie imperium to wyraża na aluzja do Wakandy... Ale w Widżajanagarze rzeczywiście były kobiety generałowie, kobiety kupcy, prawniczki etc.

A więc powieść feministyczna?

– Wie pan, wielkie indyjskie eposy, takie jak „Mahabharata” czy „Ramajana”, to niesamowite dzieła, ale ich bohaterami są sami mężczyźni. Oczywiście są w nich kobiety, nawet królowe, ale są tylko pomniejszych postaciami. Chciałem to trochę naprawić. Przeprowadziłem przy okazji sporo badań na temat historycznego królestwa Widżajanagar. Czy to się komuś dziś podobają, czy nie, równość była znacznie bardziej zaawansowana 600 lat temu.

Ale dziś mało kto o tym wie. Dziś na każdy tysiąc turystów, którzy odwiedzają Tadž Mahal, tylko jeden pojedzie także do Hampi. Kiedy sam pojechałem tam po raz pierwszy, byłem zirytowany, ponieważ do tego czasu nie wiedziałem o istnieniu tego zapomnianego imperium. „Jak to możliwe, że nic o tym nie wiem?” – pomyślałem. – Przecież urodziłem się i po części wychowałem w Indiach. A to ewidentnie ważna część historii tego kraju – i ja nie mam o tym pojęcia!”

Skąd wzięła się ta pańska ignorancja?

– To dlatego, że północ Indii w zasadzie ignoruje południe. Do dziś wielu ludzi w południowych Indiach uważa, że północ jest kolonialistą, a hindi jest uważany za język kolonizatorów. Moja rodzina pochodzi z północnych Indii, a edukację odbyłem w Bombaju – z punktu widzenia tego miasta Widżajanagar to zapomniana historia. Fajnie było opowiedzieć ją na swój własny sposób. Jak mówią: ci, którzy zapominają o przeszłości, są skazani na jej powtarzanie.

Poza tym my, na Zachodzie, i tak stajemy się kulturą bez pamięci. Dziś mało kto pamięta, co wydarzyło się przedwcześniej. A wielu młodych ludzi, jak słyszę od kolegów, którzy uczą kreatywnego pisania na Uniwersytecie Nowojorskim, nawet nie czytają już powieści. Czytają sporo, ale na Instagramie – a mimo to nadal chcą zostać pisarzami. Najchętniej science fiction lub fantasy – to ich forma eskapizmu, ponieważ wszyscy boją się tego, co w ogóle wolno i powinno się pisać w dzisiejszych czasach. To jest powód, dla którego nie uczę „kreatywnego pisania”, nigdy nie chciałem. Zamiast tego podjąłem świadomą decyzję o prowadzeniu seminariów dla studentów dziennikarstwa na NYU.

Ponieważ czytają więcej książek?

– Mówię im na początku moich kursów: będziecie musieli czytać jedną książkę tygodniowo. I czasami widzę jedną lub dwie zaskoczone twarze. Ale studenci dziennikarstwa są zazwyczaj starsi, mają więcej doświadczenia, niektórzy z nich pracują. I większość z nich już wiele przeżyła – i o tym napisała. Jeden z nich prowadził badania o dżihadyzmie na granicy z Turcją.

Inni pojechali w okolice Czarnobyli, a później stworzyli prezentację w wirtualnej rzeczywistości, ale z dokumentalnego materiału filmowego. Zwróciłem na to uwagę.

W ciągu ostatnich 50 lat literatura faktu przeżyła ogromny rozwój. Interesuje mnie, gdy autorzy badają prawdziwe historie, a następnie spisują je, ale w stylu właściwie powieściowym. Dobrym przykładem jest „Killers Of The Flower Moon” [Czas krwawego księżyca], na podstawie której Martin Scorsese właśnie nakręcił film. Zabójstwa rdzennych Amerykanów z ludu Osedżów w latach 20. XX w. zostały zbadane przez dziennikarza, a następnie spisane niczym powieść.

Wróci pan do prowadzenia tych zajęć?

– Tak. Mój kontrakt trwa jeszcze dwa lata. Co może być groźnego w siedzeniu w pokoju z 15 inteligentnymi ludźmi i rozmawianiu o książkach?

Ale pisze pan nową książkę – właśnie o zamachu. Tytuł już znamy: „Nóż”, ma się ukazać dokładnie 16 kwietnia.

– Stop, jeśli czegoś naprawdę nie znoszę, to mówienia o książkach, nad którymi wciąż pracuję. Pamiętam, czytałem kiedyś wywiad z Garcíą Márquezem, przeprowadzony, gdy pisał „Jesień patriarchy”. Dziennikarz zapytał go, nad czym pracuje. „Powieść o dyktatorze – Márquez na to – wszyscy musimy kiedyś napisać powieść o dyktatorze”. Dziennikarz drażył, Márquez w końcu wyznał: „Przez długi czas nie wiedziałem dokładnie, jak to się skończy. Ale potem odkryłem, że cała powieść składa się ze spowiedzi sądownego dyktatora”. Ciekawe, pomyślałem, bo nie ma to absolutnie nic wspólnego z książką, którą znamy.

Czyli oniryczną, surreálną wręcz opowieścią wykraczającą daleko poza życie jednego despoty...

– I dzięki temu nauczyłem się nie mówić o nieukończonych sprawach.

Czy praca nad tą książką jest również formą terapii?

– Zawsze wzbraniałem się przed traktowaniem pisania jak wizyty u terapeuty. Ale fakt, jest to jakiś sposób poradenia sobie z tym. Dla mnie to konieczne: reagowanie na przemoc za pomocą sztuki.

Jak „Joseph Anton”?

– Nie. „Joseph Anton” to gruba książka, dotyczy ponad dekady mojego życia, a sięga też do dzieciństwa. I opowiadał w niej o sobie w trzeciej osobie, co było sztuką dystansującą, by choć spróbować pisać o sobie obiektywnie. Ta nowa książka to coś zupełnie innego. Opowiada o konkretnym momencie. Będzie krótka i bardzo intensywna. ●



LENA
LEADING — EUROPEAN
NEWSPAPER — ALLIANCE

KROWY, KTÓRE WYGINĘŁY

FOT. PIOTR SKÓRNIKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Wieś z dramatów Myśliwskiego definitywnie umarła wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej

Arkadiusz Gruszczyński

Główny bohater „Drzewa”, dramatu opublikowanego po raz pierwszy w 1989 roku, wszedł z samego rana na drzewo rosnące obok domu. Na szyi miał uwiązany stryczek, nie chciał jednak się powiesić, cel miał inny: ochronić stare drzewo, zasadzone najpewniej w czasach, „kiedy chłopcy wolne się stały”. Siedzi więc na gałęzi, a wokół niego pojawia się plejada wyrazistych postaci. Są robotnicy z piłami, którzy chcą wyciąć drzewo pod budowę nowej drogi, jest inżynier, który chce „świat do wiochy doprowadzić”, milicjant trzymający kajdanki na gwoździu pod świętym obrazem, dyrektor, który upatrzył sobie drzewo, a konkretniej: deski z niego, na boazerię w swoim domu. Pośród żywych przewijają się umarli – szpicel, którego zabił jeden z partyzantów, bo nie szło już z nim wywiązać od tradycji, szanującej przeszłość, kultuwującej pamięć o zmarłych. Obawia się, że modernizacja małych miejscowości – w tym przypadku budowa asfaltowej drogi – zniszczy to dziedzictwo. Zderzenie dwóch światów reprezentowanych przez starego człowieka i inżyniera doskonale opisuje przepaść między wsią a miastem, między centrum a prowincją, między planami układanymi w Warszawie a życiem zwykłych ludzi. Wieś z dramatu Myśliwskiego nie chce się modernizować: strażacy jeżdżą do pożarów pożyczonymi furmankami, w domach ogląda się co prawda telewizję, ale z czarno-białych odbiorników, nie ufa się za bardzo systemowi edukacji ani „tym z miasta”.

Z jakiego powodu stary człowiek broni swoim własnym ciałem drzewa? Główny bohater jest symbolem wsi przywiązanej do tradycji, szanującej przeszłość, kultuwującej pamięć o zmarłych. Obawia się, że modernizacja małych miejscowości – w tym przypadku budowa asfaltowej drogi – zniszczy to dziedzictwo. Zderzenie dwóch światów reprezentowanych przez starego człowieka i inżyniera doskonale opisuje przepaść między wsią a miastem, między centrum a prowincją, między planami układanymi w Warszawie a życiem zwykłych ludzi. Wieś z dramatu Myśliwskiego nie chce się modernizować: strażacy jeżdżą do pożarów pożyczonymi furmankami, w domach ogląda się co prawda telewizję, ale z czarno-białych odbiorników, nie ufa się za bardzo systemowi edukacji ani „tym z miasta”.

TEJ WSI JUŻ NIE MA

Andrzej Mencwel w książce „Toast na progu” opisuje wieś z dramatów Wiesława Myśliwskiego, która definitywnie umarła wraz z wejściem Polski do Unii Europejskiej, a mówiąc precyzyjniej: wraz z wysokimi dopłatami dla wyspecjalizowanych rolników mających po kilkaset hektarów ziemi. Mencwel opowiadał mi kilka lat temu, że „w każdym gospodarstwie prowadzono wiele upraw rolnych i hodowano wiele przychówku”. – Od gołębi po krowy i konie. Na dodatek sprawowano wiele rzemiosł, bo było to konieczne. Każdy w nim miał wtedy swój obowiązek, jak tylko podrośli i zaczął chodzić, karmienia kur lub pasienia gęsi. A dziadek, który ledwo ziapał, też musiał obrządzać. Nie mówiąc o rodzicach i dorosłych dzieciach, wprzężonych w cały ten agregat. Takiej wsi już nie ma, dominanta jest zupełnie inna – snuł swoją opo-



wieść. Tej wsi nie ma, mogę wam to zaświadczyć z całą odpowiedzialnością.

W mojej rodzinnej miejscowości nie ma ani jednej krowy. Nikt nie hoduje już świń, kilka osób ma kurki, znalazłaby się kaczka. Nie ma „indywidualnych rolników”, są obszarnicy. Nie ma cyklu rocznego, który był wyznaczany prawami natury. Pamiętam, że jeszcze w latach 90. moi dziadkowie wczesną wiosną siali zboże, w czerwcu kosili trawy dla krów, w wakacje szło się na żniwa, a jesienią – zbierać kartofle. Zima tylko pozornie wiązała się z odpoczynkiem: zwierzęta nie mają wakacji, codziennie trzeba było wokół nich posprzątać. Tej wsi nie ma.

„Drzewo” mówi jeszcze o czymś ważnym, dzisiaj szczególnie istotnym, a mianowicie o szacunku dla przyrody. Bohater Myśliwskiego mówi z czułością o drzewach, które porastają świat, i obawia się, że w przyszłości będzie się je wycinało na masową skalę. „Jak zabraknie przy drogach, to będą ścinał nad rzekami, na miedzach i przy chałupach”.

MOMENTY PRZEJŚCIA

O Myśliwskim często mówi się, że jest wybitnym prozaikiem, zapomina się jednak, że dosyć regularnie publikował dramaty, wystawiane na wielu scenach w Polsce. Te wydane przez krakowski Znak mówią w gruncie rzeczy o czymś istotnym dla kondycji ludzkiej, a być może kluczowym dla kondycji polskiej. Myśliwski uparcie opisuje momenty przejścia.

W dramacie „Złodziej” pojawienie się w ubogiej, wiejskiej chacie tytułowego przestępcy zmusza małą rodzinę do zwieżeń. Akcja rozgrywa się w trakcie wojny, między słowami pojawiają się zapowiedzi „nowej Polski”, a także rozliczenie z przeszłością i fantazjami młodych o czymś innym, lepszym, nowocześniejszym. W „Kluczniku” spotykamy wieś, która nie jest w stanie poinformować hrabiego o nowych porządkach. Stary arystokrata siedzi więc w pałacyku, nie zdając sobie sprawy,

że jego majątek zostanie lada dzień podzielony między chłopów. Ci ostatni między sobą wybierają pola i lasy. W „Drzewie” obserwujemy napięcia, jakie niesie ze sobą nowoczesność, a w „Requiem dla gospodyni” poznajemy ludzi uczestniczących w stypie. Problem w tym, że nikt z nich nie czuwa przy ciele zmarłej, co było wielowiekową tradycją, dzisiaj kompletnie zapomnianą.

Spadkobiercami Myśliwskiego są współcześni pisarze, historycy i artyści, którzy próbują na nowo opowiedzieć o wiejskiej tożsamości Polaka i Polki. We „Wszystkich naszych strachach”, filmie Łukasza Gutta i Łukasza Rondudy poznajemy Daniela Rycharskiego, który w rodzinnej miejscowości próbuje nie tylko oswoić sąsiadów ze swoją homoseksualnością, ale też na nowo opowiedzieć o tym, czym była i jest dzisiaj wieś. W filmie widać chociażby nastolatków, którzy z nudów przesiadają na przystankach, mają za mało odwagi, żeby wyjechać do miasta na studia, zostają więc na miejscu z poczuciem klęski i rozczarowania.

Z kolei w filmie „Plan tysiącletni” Agnieszka Polska zwróciła uwagę na niezwykle moment w powojennej historii polskiej wsi, czyli na proces elektryfikacji. Doprowadzenie prądu do najmniejszych miejscowości było epokowym wydarzeniem, które na zawsze odmieniło życie milionów ludzi.

CHŁOPOMANIA

Jedni uważają, że jesteście świadkami nowej chłopomanii, nagle wszyscy zaczęli odkrywać w sobie wiejskie korzenie, na terapiach nazywamy mechanizmy związane z wielowiekowym niewolnictwem naszych przodków, pojawiają się co jakiś czas prace socjologiczne opisujące rynek pracy w kontekście pańszczyzny.

Monika Strzępka i Paweł Demirski walczą temat Jakuba Szeli w teatrze, Złote Lwy w Gdyni dostają filmy opowiadające o polskiej prowincji, Adam Leszczyński

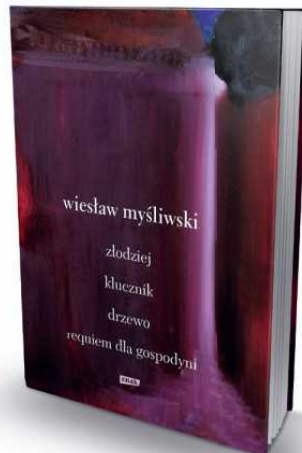
ski pisze „Ludową historię Polski”, „Chamstwo” Kacpra Pobłockiego trafia do finału Nagrody Literackiej „Nike”, a „Chłopki” Joanny Kuciel-Frydryszak sprzedają się do tej pory w nakładzie 200 tysięcy. Grzechem w dobrym towarzystwie wśród młodej inteligencji w Warszawie jest nie znać tych filmów, sztuk teatralnych i książek. Ciekawe, czy za kilka lat będziemy w taki sam nerwowo wręcz sposób opisywać klasę średnią, która w latach 90. była jedynym punktem odniesienia debaty publicznej, a w ostatnich latach została dosyć mocno przeczołgana przez pravicowy rząd.

Nurt powieści wiejskiej istnieje w Polsce od lat i ma się nadzwyczaj dobrze. Obok Myśliwskiego trzeba pamiętać o Marianie Pilocie czy Zycie Oryszyn, której debiutankie i queerowe „Najady” opublikowano raz jeszcze kilka lat temu. O polskiej wsi pisze poetka Małgorzata Lebda.

Pytanie jest inne: w jaki sposób dzisiaj można pisać o polskiej wsi, jakie procesy tam obecnie zachodzą, z czym związane jest życie na wsi? Na pewno rację ma Andrzej Mencwel, że drobne rolnictwo zniknęło bezpowrotnie, choć coraz więcej ludzi decyduje się na uprawy ekologiczne, co można z jednej strony postrzegać jako fanaberię mieszcuchów, z drugiej – pokazuje być może przyszłość wsi w kontekście skutków katastrofy klimatycznej. Na wsiach, które sąsiadują z miastami, mieszka sporo ludzi, którzy nie mają żadnego związku z ziemią. Wieś traktują jak sypialnię, co wywołuje lokalne konflikty między starymi a młodymi, co samo w sobie jest niezwykle kuszące do opisanego. Wieś to także nowe pieniądze, bogactwa i konta pełne euro, co skutkuje poważnymi nierównościami ekonomicznymi. Więcej mają teraz obszarnicy niż biedni emeryci. Trzeba też pamiętać, że nadal w wielu wsiach jest po prostu ubogo, ludzie pracują w specjalnych strefach ekonomicznych, w dużych sklepach czy na budowach i nie przynoszą do domów zbyt dużych pensji. Jedno się nie zmienia: nadal sporo młodych ucieka do miasta.

Konflikty międzypokoleniowe, niejednoznaczny stosunek do natury, nieufność do władzy i obcych – to wszystko znalazłem w dramatach Wiesława Myśliwskiego. ●

„Dramaty. Złodziej, Klucznik, Drzewo, Requiem dla gospodyni” Wiesława Myśliwskiego ukazały się nakładem wydawnictwa Znak



TO NIE JEST PODRÓBA, TO JEST REPLIKA

Moskwianie z trudem znoszą sankcje.
„Żeby naprawić cartiera, muszę jechać do Europy”

Redakcja „Nowej Gazety. Europa”

Kiedy po inwazji Rosji na Ukrainę zagraniczne firmy zaczęły opuszczać rosyjski rynek, moskwianie rzucili się do zmiatania zagranicznych towarów z półek. Półtora roku później są już całkiem dobrze przystosowani. Czy raczej rynek przystosował się do nich: pojawiły się nowe sposoby importu luksusowych ubrań, gadżetów i produktów spożywczych lub alternatywy dla „starych” marek.

– To nie jest podróbka, to replika – zza regarów dobiega głos chłopaka. Grupa nastolatków dyskutuje o ubraniach. Właścicielem „repliki” jest chudy chłopak z lokami. Ciuchy, jakie ma na sobie, nie są efekciarskie, na pierwszy rzut oka wręcz skromne, ale stylowe i porządnej jakości.

buty to spory wydatek. – Przez jakiś czas marka Reebok nie była dostępna, a gdy się znów pojawiła, to w większości przypadków rzeczy są produkcji chińskiej, a nie wietnamskiej – wyjaśnia Jelena. Wietnamskie buty były droższe, ale to przekładało się na ich jakość. – Chińskie bardzo szybko się rozkleiły.

Na domiar złego skończyły się jej zapasy ulubionego dezodorantu Adidas, a odpowiednika jeszcze nie znalazła.

– Ja zamawiam buty na Wildberries i wszystko z nimi w porządku – opowiada Andriej. Internetowe platformy handlowe wyprzedają resztki i wybór stał się znacznie mniejszy.

Po wybuchu wojny niektóre rosyjskie przedstawicielstwa zagranicznych marek zmieniły właścicieli. Na przykład rosyjskie sklepy Zara zostały wykupione przez firmę

FOT. ULF MAUDER/AP



W sieci fast foodów
Wkusno i Toczka

• Marzec 2022 w jednej z moskiewskich ekskluzywnych galerii handlowych

nuggetsy są bardziej
miękkie, niż były
w McDonald’s,
a w cheeseburgerze
jest mniej sosu

Po lutym 2022 mieszkańcy Moskwy musieli na nowo nauczyć się ubierać. Wiele znanych marek ze wszystkich kategorii cenowych opuściło rosyjski rynek: od popularnych H&M, Marksa & Spencera, Adidas i Puma po luksusowe, takie jak Louis Vuitton i Gucci.

Nim Jelena kliknęła „kup” w sklepie internetowym Wildberries, sprawdziła swoje nowe buty Reebok za pomocą aplikacji Honest Mark, która „chroni przed podróbkami, brakami i wzrostem cen”. Specjalny kod zawiera dane o składzie produktu, kraju pochodzenia czy dacie ważności i może być uzyskany tylko przez oficjalnie zarejestrowane firmy.

– Nie były podróbkami, ale nie służyły mi długo – skarży się dziewczyna. Dla świeżo upieczonej absolwentki nowe

Fashion And More Management DMCC ze Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a na metkach zamiast „Zara” widnieje „MAAG”. „Ubrania są tworzone przez innych projektantów i w innych fabrykach, ale w stylu znanym fanom marki Zara” – czytamy na stronie firmy.

W internecie opinie o sklepie są różne, ale przeważają te negatywne: „No, na pewno nie jest to Zara”, „Szmaty na poziomie bazaru”, „Drogo. To całkiem inny sklep”, „Brak ciekawych modnych rzeczy. Wygląda tak, jakby wszystko zostało zrobione w pośpiechu, ale też nie do końca byle jak”.

Timofiej nie rozumie tych problemów. Przecież zamiast przepłacać za erzace, każdy może skorzystać, jak on, z pośrednictwa SDEK. To białoruska firma kurierska, do której

należy platforma SDEK Shopping oferująca „towary znanych marek z zagranicy po cenach niższych niż w Rosji”. Dostarcza głównie towary z Chin, ale kto potrzebuje naprawdę jakościowych produktów, nie będzie rozczarowany – za pośrednictwem Białorusinów może kupić choćby obuwie sportowe prosto z USA.

Jewgienij, redaktor portalu lifestylowego, uważa, że „zasadniczo niewiele się w Moskwie zmieniło”. Większość marek można znaleźć w internecie, choć czasami trzeba chwilę poszukać, a niekiedy trochę dopłacić w stosunku do przedwojennych cen. Niektóre globalne internetowe outletry wciąż działają w Rosji, a jeśli jakieś marki w nich nie ma, to od czego są pośrednicy, którzy kupują towary od producenta za granicą i odsprzedają je w Rosji.

Większość drobnych importerów działa z Kazachstanu i Kirgistanu, więc popularny system dostaw online Boxberry, który obsługuje sporo takich transakcji, ostrzega, że istnieje ryzyko „kupna podróbek ze znanych chińskich stron internetowych”. Kto nie chce ryzykować, może skorzystać z usługi Boxberry „Pomoc przy zakupie”: klient wybiera produkt z zagranicznego sklepu internetowego, towar jest dostarczany do magazynu Boxberry, który znajduje się w USA, Turcji lub Indiach, a stamtąd do Rosji. Pro wizja wynosi 10 proc. wartości zamówienia, ale nie mniej niż 1000 rubli (około 40 zł).

Pośrednicy i platformy handlowe dostarczają nie tylko popularne ubrania, ale też elektronikę – jeśli komuś marzy się laptop czy smartfon inny niż chiński. Ale towary premium i luksusowe wciąż kupuje się jak niegdyś – offline.

– Oczywiście pewna liczba sklepów została zamknięta – mówi Jewgienij. – Moją osobistą traumą jest odejście Banana Republic, bo kupowałem ich spodnie przez ostatnie pięć lat. Dotąd nie udało mi się znaleźć miejsca, w którym można by je dostać. Niemożliwe jest już pójście do butiku Prady i kupienie prezentu od ręki, teraz trzeba zamawiać z wyprzedzeniem lub kupować w Europie. Albo inny problem: zepsuł mi się zegarek i nie mogę go naprawić w ramach gwarancji, bo nie ma Cartiera. Muszę albo jechać do Europy, albo poszukać niegdyś autoryzowanego punktu, który nadal obsługuje Cartiera.

Rosjanie stracili również wiele ulubionych produktów spożywczych. – Zniknęła kawa Paulig – narzeka Jelena. – Jej miejsce zajęła Poletti, ale smak nie ten sam, a cena wyższa.

Razem z Timofiejem wchodzimy do sklepu spożywczego na obrzeżach Moskwy i krążymy, przyglądamy się półkom z napojami gazowanymi i energetycznymi.

– W takich miejscach można znaleźć coś ciekawego łatwiej niż w dużych marketach – wyjaśnia Timofiej. Czasem coś zostało ze starych zapasów, czasem pojawi się coś z prywatnego importu. Na przykład coca-colaę do takich sklepów sprowadzają z Uzbekistanu i Kazachstanu, choć smak czasem różni się od tego z rosyjskich rozlewni.

Tym razem nie znajdujemy nic, tylko substytut zagranicznych marek, napój gazowany o nazwie Dobryj.

– Trudno jest wygodnie żyć bez coli – narzeka Timofiej. – Na szczęście z restauracjami i ich asortymentem jest lepiej.

– Jakość jedzenia jest taka sama, i to nie jest tylko moja subiektywna opinia. Może z czasem będzie gorzej, ale do tej pory nie było większych zmian. Chociaż nie, kłamię: w sieci fast foodów Wkusno i Toczka nuggetsy stały się bardziej miękkie, niż były w McDonald’s, a w cheeseburgerze jest mniej sosu.

To jednak – twierdzą moskwianie – bardziej kwestia oszczędnego podejścia samej firmy niż odcięcia zaopatrzeniowców od półproduktów.

Według Jewgienija najgorzej jest z rozrywką. – Spiracone hity „Oppenheimer” i „Barbie” dotarły do nas z dużym opóźnieniem, i to nie wszędzie. Wszyscy się martwią zakazem francyz filmowych. I jest problem z kupowaniem gier na Steamie.

Jest problem, bo globalny sklep dystrybuujący online najbardziej hitowe gry nie przyjmuje już płatności rosyjskimi kartami. Jest też kłopot z ciekawą wizytą w muzeum, bo urwała się współpraca z zachodnimi muzealniami i do Rosji nie przyjeżdżają już słynne dzieła ani głośne wystawy.

– Ale system konsumpcji i kultury jest rekonstruowany, więc nie widzę powodów do paniki. Odzyskamy dostęp do prawie wszystkiego, tylko zajmie to trochę czasu – mówi Jewgienij, wzruszając ramionami. ●

Wyszukała Wiktoria Bieliaszyn,
przełożyła Patrycja Eiduka

W Rosji zamknięto wszystkie wolne media. Redakcja „Nowej Gazety” straciła wpływy z subskrypcji, ale pracuje nadal z zagranicy jako „Nowaja Gazieta. Europa”. Dziennikarze i redaktorzy portalu zwracają się do polskich czytelników z prośbą o wsparcie.

BORN IN THE USA

Pan Smith nie dojedzie do Waszyngtonu*

Sto lat temu Demokraci i Republikanie wspólnie budowali autostrady i linie kolejowe, dziś wspólnie budują tylko lotniskowce.

Maciej Jarkowiec

Jest taki obraz Homera Dodge’a Martina, amerykańskiego mistrza pejzażu z drugiej połowy XIX wieku: „Kopalnia żelaza, Port Henry, New York”. Przedstawia odkrywkę – jężory oranżowej rudy przecinają skalne zbocze, wpadając do jeziora.

Plótno powstało w 1862 roku, w czasie wojny między Północą a Południem. Martin chciał sztuką podnosić morale Unii, dlatego uwiecznił najważniejsze złoże, z którego czerpano surowiec do budowy linii kolejowych. Wojska Północy pociągami transportowały żołnierzy, żywność, broń, konie, leki, ewakuowały rannych. Sieć kolejowa na Południu była skąpa, Konfederacja polegała więc na parostatkach – wolniejszych od pociągów, droższych w eksploatacji, bardziej zawodnych, niezdolnych dotrzeć na wiele pól bitewnych i mniej ładownych. W dużej mierze dzięki kolei Unia wygrała wojnę, a państwo Stanów Zjednoczonych przetrwało.

Niedługo później w Nowym Jorku rozpoczęto budowę metra, które w pierwszej połowie XX wieku będzie największym systemem podziemnej kolei na świecie i przyczyni się do wzlotu metropolii.

W czasie II wojny amerykański oficer nazwiskiem Dwight Eisenhower będzie podziwiał sieć autobahnów wybudowanych przez Hitlera i kilka lat później, gdy zostanie prezydentem, zarządzi budowę największej siatki autostrad świata.

A w styczniu 1959 roku pasażerskie odrzutowce firmy Boeing oznaczone numerem 707 rozpoczęły rejsy z Los Angeles do Nowego Jorku. Podróż przez kraj skróci się z trzech dni i trzech nocy do pięciu i pół godziny.

Tempo, z jakim ludzie i towary przemieszczają się z miejsca na miejsce, jest jednym z ważniejszych mierników cywilizacyjnego zaawansowania. Sprawny transport pozwala na rozbudowę rynków i ich wydajną obsługę. Zwiększa to produkcję i konkurencję. Napędza gospodarkę. W drugiej połowie XX w. Ameryka wyrosła na dominującą potęgę również dzięki najnowocześniejszej infrastrukturze transportowej świata. Rozwój podróźnej infrastruktury zbiegł się w czasie ze zmianami społecznymi, w wyniku których kolejne grupy zyskiwały coraz więcej swobody. Amerykańskie drogi, koleje i połączenia lotnicze odgrywały niebagatelną rolę w cementowaniu narodowej tożsamości – z ich pomocą idea wolności nabierała nowego, przestrzennego wymiaru. Coraz szybszy transport dawał poczucie, że kraj ze zwielokrotnioną prędkością pędzi w stronę ideału wolności dla wszystkich.

Aż nagle tempo siadło.

Średnie czasy dojazdu do pracy, przelotu przez kontynent czy przejazdu samochodem między największymi metropoliami są dziś od kilkudziesięciu procent wyższe niż w połowie lat 70. Jako powody wymienia się coraz większe korki na autostradach, obwodnicach i w korytarzach powietrznych. Coraz większy tłok i zwiększone kontrole na lotniskach. Oraz to, że w ostatnim półwieczu USA coraz mniej inwestowały w transportową infrastrukturę i technologię.

Transport może być ilustracją zmieniającej się geopolitycznej dynamiki – rosnącej siły Chin i słabnących Stanów.

Ostatni plan wydatków Chin na infrastrukturę opiewa na 2,3 biliona dolarów rocznie. Amerykanie zamierzają wydać 1,2 biliona – ale w ciągu pięciu lat. W badaniu Światowego Forum Ekonomicznego USA – nadal najbogatszy kraj świata – uplasowały się dopiero na 12. miejscu, jeśli chodzi o jakość i wydajność sieci transportowej.

Amerykańskie koleje, dzięki którym kiedyś kraj rozciągnął się od Atlantyku po Pacyfik, wylądowały na 48. miejscu zestawienia. Chiny ma-

ją dziś 139 tys. kilometrów linii kolejowych – największy system na planecie. W 70 proc. jest zelektryfikowany, w porównaniu z 2 proc. elektryfikacji w USA. Najszybszy pociąg świata, chiński Maglev, osiąga prędkość nawet 400 km/h. Sieć szybkich kolei oplata całe Chiny. W USA szybka linia jest jedna – Acela łącząca Nowy Jork z Waszyngtonem. Maksymalna prędkość na tej trasie wynosi 260 km/h, ale średnia już tylko 106. Pięćdziesiąt lat temu odcinek ten można było przejechać pociągiem o 20 minut szybciej.

Co prawda dystanse, które Chińczycy najczęściej przemierzają po torach, Amerykanie pokonują samolotami. Jednak ze względu na korki na drogach dojazdowych do przestarzałych lotnisk i czas potrzebny na odprawę podróże chińskimi kolejami są szybsze i bardziej komfortowe niż lotnicze w USA.

Gdy od czasów Eisenhowera Ameryka prawie w ogóle nie kładzie nowych autostrad, Chiny wydają na ten cel kilkaset miliardów dolarów rocznie.

Gdy 45 proc. Amerykanów nie ma dostępu do transportu publicznego, osiem z piętnastu największych światowych systemów metra jest w Chinach. Największy – w Szanghaju. Zaszczurzone, rozpadające się i coraz bardziej powolne metro nowojorskie już w latach 60. straciło tytuł najwspanialszego na planecie.

Główny powód zastoju jest polityczny. Po wojnie kraj pruł do przodu, bo panowała ponadpartyjna zgoda co do finansowania infrastruktury i technologii przez rząd federalny. W erze Reagana w umysłach części klasy politycznej i społeczeństwa zagnieździł się strach przed nadmiernymi jakoby wydatkami państwa. Rząd miał zostawić pole do działania biznesowi. Skończyło się na tym, że dziś kompromis co do potężnych państwowych inwestycji regularnie udaje się zawierać tylko w sferze obronności. Lotniskowce? Owszem. Tramwaje? Broń Boże.

Choć inżynierowie od ćwierćwiecza bili na alarm, że kraj wymaga remontu generalnego, ustawa o infrastrukturze przeszła dopiero dwa lata temu. Do projektu administracji Bidena udało się przekonać niektórych republikanów. Nadal jednak 230 z nich (łącznie w Senacie i Izbie Reprezentantów) głosowało przeciw.

W przyszlorocznej kampanii prezydent miał zamiar chwalić się pierwszymi efektami. Nie wiadomo, czy takie będą, bo prace przy naprawie dróg, mostów i budowie nowych wleką się z powodu braku siły roboczej i sporów na linii Waszyngton – władze stanowe. Eksperci twierdzą, że skuteczność ustawy będzie można ocenić dopiero za 10-15 lat. A nie ma pewności, czy w ogóle tyle przetrwa. Kongres może nie przedłużyć finansowania, a przyszła republikańska administracja wstrzymać realizację.

Chińczycy na pewno nie będą się oglądać za siebie. ●

* „Pan Smith jedzie do Waszyngtonu” – słynny film Franka Capry z 1939 r. o młodym polityku prowincjuszu, który wprowadza w stolicy ożywczy ferment

„Rewolwer obok Biblii. W co wierzy Ameryka” – książka reportersko-eseistyczna, w której Maciej Jarkowiec płynie statkiem angielskiej ekspedycji kolonialnej z XVI wieku, podróżuje przez Kolorado, odwiedza kosmopolityczny Nowy Jork i Dolinę Krzemową, gdzie już dziś można kupić wieczne życie – dostępna na Kulturalnysklep.pl oraz w formie e-booka na Publio.pl



FOT. SANTIAGO LLANQUIN/AP



Pięćdziesiąta rocznica wojskowego zamachu gen. Augusto Pinocheta, który obalił prezydenta Salvadora Allende, nie stała się okazją do pojednania dawnych wrogich obozów. Nie było nawet zgody dzisiejszych polityków, by z życia publicznego wykreślić przemoc.

Prezydent Gabriel Boric usiłował doprowadzić do uroczystej deklaracji wszystkich sił politycznych, że Chile potępia zamachy i dyktaturę oraz zobowiązuje się do szanowania demokracji. Ale nowa skrajna prawica i dawna prawica umiarkowana zbojkotowały obchody, bo nie zgadzają się z rządzącą lewicą – ani by jednoznacznie potępić zamach Pinocheta, ani by pozytywnie ocenić rządy Salvadora Allende.

KRAJ ROZJECHANY HISTORIĄ

Co więcej, coraz bardziej prawdopodobna klęska, by zastąpić dawną, choć już wcześniej zdemokratyzowaną, konstytucję junty wojskowej nową, uzgodnioną przez polityków i swobodnie przyjętą przez naród, pokazuje, że pole porozumienia sił politycznych oraz opinii publicznej jest coraz węższe.

Wojna domowa być może krajowi nie grozi, ale skrajne obozy na lewicy i na prawicy patrzą na siebie wilkiem i dyszą żądzą odwetu, a środek usiłuje bezradnie powstrzymać kurczenie się swoich szeregów i zdolności przekonywania opinii publicznej.

REWIZJA KULTU

Dla prawicy to Salvador Allende i jego pełzająca rewolucja socjalistyczna w latach 1970-73 byli współodpowiedzialni za pucz wojskowy, a armia tylko ratowała kraj przed komunizmem. General Pinochet jest dla niej wciąż zbawcą kraju, nawet jeśli zapędził się nieco w okrucieństwie wobec swoich przeciwników oraz, co się okazało już po jego śmierci, ukrył w bankach zagranicznych kilkadziesiąt milionów dolarów.

Rzecznik skrajnie prawicowej Partii Republikańskiej Luis Silva tuż przed obchodami rocznicy puczu określił Pinocheta „wielkim mężem stanu”, rzecznik prawicy nieco bardziej umiarkowanej obwiniał Salvadora Allende jako „głównego odpowiedzialnego za doprowadzenie wojska do koniecznej interwencji”, a pewna prawicowa posłanka nazwała „bujdami” relacje o gwałtach na kobietach w kazamatkach tajnej policji i armii z czasów dyktatury, choć tu warto przypomnieć, że na do- brze udokumentowanych gwałtach i tortu-

Chilijczycy odrzucili rewolucyjną, lewicową konstytucję, potem prawicową i tęsknią za Pinochetem

Maciej Stasiński

rach za czasów dyktatury jest oparty film „Śmierć i dziewczyna” Romana Polańskiego na kanwie sztuki Ariela Dorfmana.

Rewizja kultu Pinocheta jako sprawiedliwego, choć srogiemu władcy ustępuje zatem jego rehabilitacji.

Lewicowa koalicja wspierająca prezydenta Borica pucz i dyktaturę potępia bezwzględnie i na żadną współodpowiedzialność Allende, wyniesionego do rangi świętego świętego męczennika, się nie godzi.

Jednak z rozpędu dzisiejsza lewica odrzuca także, zdawałoby się, dawno dokonaną samokrytykę wybitnych przedstawicieli socjalistów, którzy uznali, że za rządów Allende w latach 1970-73 lewica, owszem, była współodpowiedzialna za rozbiście społeczeństwa i pogrzebanie demokracji.

Przejawem wycofywania się z tej samokrytyki było wymuszenie przez partię komunistyczną dymisji szefa obchodów rocznicy obalenia Allende, wybitnego dziennikarza i socjalisty Patricio Fernandez. Zbrodnią Fernandez był rzekoma „relatywizacja” i „negacjonizm” puczu i dyktatury, których miał się dopuścić w rozmowie radiowej.

Tymczasem Fernandez powiedział tylko: „Historycy i politolodzy będą dalej dyskutować, dlaczego i w jaki sposób doszło do zamachu stanu. Ale my powinniśmy umieć zgodzić się co do tego, że to, co nastąpiło po zamachu, jest nie do przyjęcia w żadnej cywilizowanej umowie. Jeśli uważasz, że dla zrealizowania twoich celów dopuszczalne jest prześladowanie, wyeliminowanie, unicestwienie tego, kto uważa inaczej, wszelkie pokojowe współzycie staje się niemożliwe”, ale dla skrajnych lewicowców młodego pokolenia to, nie wiedzieć czemu, skandal.

GORĄCY ODDECH PRZEMOCY

Dzisiejsi cierpiący na zanik pamięci lub wiedzy lewicowi „prorocy przeszłości” nie chcą uznać, że choć Salvador Allende stał się symbolem chilijskiej demokratycznej drogi do socjalizmu „con pan y vino”, który odrzucał dyktaturę proletariatu, jednopartyjny ustrój i likwidację swobód obywatelskich w Związku Sowieckim, a także wzdurzał się przed przemocą państwa dla ustanowienia socjalizmu, do czego namawiał go Fidel Castro, to nie zdołał powściągnąć rewolucyjnych żywiołów w łonie własnej koalicji Jedność Ludowa, które tego właśnie, czyli rewolucyjnej przemocy, się od niego domagały.

Przez trzy lata rządów uparty demokrat Allende czuł bowiem na plecach coraz gorętszy oddech rewolucji.

– Partia Socjalistyczna, organizacja marksistowsko-leninowska, uznaje przejęcie władzy za strategiczne zadanie obecnego pokolenia, którego celem jest państwo rewolucyjne. Rewolucyjna przemoc

jest nieunikniona i uprawniona – głosiła uchwała jego własnej partii w 1967 roku, mimo że on sam głosował przeciw.

Jego socjalistyczne reformy, jak nacjonalizacje banków, górnictwa miedzi czy reforma wymiaru sprawiedliwości, ocierały się o legalność albo, jak reforma rolna, przebiegały w praktyce z użyciem przemocy ze strony zapalczywych rewolucjonistów. Do rewolucyjnego przewrotu namawiał go osobiście i nieraz czołowy jastrząb jego obozu, szef jego własnej partii socjalistycznej – Carlos Altamirano.

Najbardziej wojownicze zastępy MIR-u (Ruchu Rewolucyjnej Lewicy) domagały się zbrojnej insurekcji i piętnowały go za „burżuazyjne odchylenie”.

Allende zaś sprzeciwiał się konsekwentnie, bo sądził, że uda mu się obłaskawić „młodych zapaleńców idealistów” i odwieść ich od zniesienia burżuazyjnego państwa w drodze insurekcji:

– Nie chcemy przemocy, nie potrzebujemy jej, wiemy, że zmiana kapitalizmu przy poszanowaniu prawa, instytucji i wolności politycznych wymaga od nas pewnych ograniczeń w gospodarce, polityce i sprawach społecznych. Chilijczycy dobrze wiedzą jakich – mówił niedługo przed puczem.

W świetle ujawnionych dokumentów amerykańskich jest oczywiste, że rząd Allende miał od początku przeciw sobie administrację USA Richarda Nixona i CIA inspirowane spiski i strajki wewnętrznej opozycji oraz głuchy sprzeciw prawicy i potężnej gospodarczej oligarchii. Równie jasne jest jednak też, że był osaczany przez własnych hunweybinów rewolucji, wśród których umiarkowaniem wyróżniali się komuniści.

Chrześcijańska demokracja bez powodzenia namawiała Allende do złagodzenia

najbardziej radykalnych reform i odcięcia się od ekstremistów:

– To oznaczałoby wojnę z młodzieńcami z MIR-u i zerwanie koalicji Unidad Popular. Podnieśliby bunt i musiałbym wobec nich użyć siły. A tego nie zrobię – odpowiedział prezydent senatorowi Gabrielowi Valdewowi.

Dygnitarzy Kościoła oraz przywódców chadecji upewniał, że „póki żyję, dyktatury proletariatu nie będzie”, i wierzył do końca, że jego finezja pozwoli pogodzić rewolucję z reformą.

Carlos Altamirano 9 września 1973 roku wzywał Allende do uczynienia z Chile „drugiego bohaterskiego Wietnamu”.

Ostatecznie znalazł się w pulapce, z której wyjść nie umiał. Nierozwiązywalny problem stanowiło to, że socjalizm nie mógł zostać zaprowadzony, i to pokojowo, przez prezydenta, którego w 1970 roku poparło tylko 36 proc. wyborców, a który po trzech burzliwych latach zachował z tego zapewne znacznie mniej zwolenników.

Salvador Allende upierał się, że chce osiągnąć to samo, co Fidel Castro i Che Guevara na Kubie, ale „innymi metodami”. Jednak cel i metody nie dały się pogodzić.

Allende chciał się jeszcze ratować plebiscytem narodowym, czy naród popiera jego rządy. Ale nie zdążył. Od świtu 11 września samoloty zaczęły bombardować pałac La Moneda i kilka godzin później Allende się zastrzelił.

Prawica, bogaci Chilijczycy i armia dylemat, jak zachować kapitalizm metodami demokratycznymi, rozstrzygnęli zamachem stanu, niszcząc demokrację na 17 długich lat.

Dzisiejsza lewica nie chce uznać tego, że także ona chciała rozwiązać kwadraturę socjalizmu i demokracji przemocą, tyle że nie zdążyła. Najpierw powstrzymywał ją prezydent socjalista Allende, a potem rozgromiła ją armia i jej cywilni sojusznicy na prawicy.

„Szturm na pałac La Moneda, śmierć Allende i dyktatura Augusto Pinocheta były ciężką traumą. Żałobna pamięć trwa już od pół wieku. Dyskusja nie dotyczy tylko prezydenta i zamachu, ale transformacji demokratycznej i polityki pamięci obecnego prezydenta lewicy Gabriela Borica – pisze historyk Rafael Rojas. – I te żaloby i potyczki o pamięć będą się toczyć dalej poprzez książki historyczne, świadectwa, w sferze intelektualnej oraz politycznej, gdzie każdy jej uczestnik czuje się w obowiązkuając stanowisko”.

Zgody co do oceny przeszłości zatem nie ma.

BUNT ULICY

Co więcej, około 1/3 dorosłych Chilijczyków usprawiedliwia dzisiaj zamach stanu. Skrajną prawicę, która Pinochetą jawnie rehabilituje, poparło w ostatnich wyborach 44 proc. wyborców.

Co się stało? Przecież zbrodnie dyktatury są dowiedzione, tajna policja DI-NA i armia zabiły ok. 3,2 tys. osób, aresztowały i torturowały ponad 40 tys. osób, zgwałcono 3,5 tys. kobiet. Kilkuset oprawców zostało za te zbrodnie skazanych, 129 odsiaduje wyroki, a rozliczenia trwają. W ostatnich 30 latach, gdy od 1990 roku rządziła w Chile koalicja chadeków i socjalistów, a potem prawica i znowu lewica, to właśnie demokracja przywróciła krajowi prędko i stały wzrost, Chile rozwijało się o 5-7 proc. rocznie i szybciej niż wiele innych krajów na kontynencie. PKB zwiększył się z 2,4 tys. dolarów na głowę w 1990 roku do 16 tys. w 2018 roku. Bieda się kurczyła: za 5 dolarów dziennie w 2000 roku żyło 30 proc. obywateli, a w 2018 – ledwie 6,5 proc.

Skąd zatem rehabilitacja Pinocheta? Odpowiedź nie jest prosta. Gdy parlament i rządy nie nadążały z demontażem spadku po Pinochecie, buntowała się ulica. Od polityki stopniowo odpływało młodsze pokolenie niepamiętające puczu i dyktatury, za to żądne sprawiedliwości i lepszych szans w życiu. W latach 2008-16 podwoiła się liczba obywa-

teli, którzy nie utożsamiali się z partiami lewicy lub prawicy, a frekwencja w wyborach spadła poniżej 50 proc. (na początku transformacji wynosiła ponad 95 proc.!).

W ostatnich kilkunastu latach przetoczyło się przez Chile kilka buntów przeciw nierównościom społecznym. Bunt studentów przeciw systemowi edukacji opartemu na kiepskiej edukacji publicznej dla większości oraz dobrej, ale drogiej i dla nielicznych na prywatnych uczelniach, poparło 12 lat temu 80 proc. Chilijczyków.

Na czele tamtej rebelii młodego pokolenia, które zażądało cofnięcia drastycznej prywatyzacji służby zdrowia i szkolnictwa, stanęli studenci Camila Vallejo, Gabriel Boric czy Giorgio Jackson.

Młodzi żądali równych szans w bardzo rozwarstwowym, choć demokratycznym, społeczeństwie. Socjalizmu się nie domagali, raczej tego, by kapitalizm zaczął służyć społeczeństwu. Młodzi przywódcy weszli jako nowa lewica do parlamentu, ale ferment rozrastał się dalej pod i wybuch nastąpił w 2019 roku, kiedy potężne i gwałtowne rozruchy zatrzęsły krajem. W ciągu kilku tygodni w Santiago de Chile watahy wściekłych młodych ludzi zniszczyły większość stacji metra, zdemolowały i spłądowały mnóstwo sklepów i zakładów, niekiedy naraz maszerowało ulicami po milion ludzi. W starciach z policją zginęło 20 osób.

REWOLUCYJNA KONSTYTUCJA

Tę czerwoną kartkę klasa polityczna, od prawa do lewa, wydawała się przyjmować do wiadomości z pokorą. Prezydent Sebastian Piñera zasięgnął rady wszystkich partii politycznych. Uzgodniono, że czas na nowy początek, czyli nową konstytucję, która sprostą wyzwaniom. Pomysł poparło w referendum 80 proc. głosujących. Ja także myślałem wówczas, że Chilijczycy zagłosowali nogami i kamieniami przeciw państwu jako megakorporacji, w której skazani są na wyścig szczurów, i chcą nowego ustroju.

W dodatku większość domagała się, by nową ustawę ustroju napisali nowi ludzie, spoza establishmentu. Wybrano konwencję konstytucyjną, w której nowi delegaci mieli większość, po połowie kobiety i mężczyźni, byli w niej także dyskryminowani dotąd tubylcy (Mapucze).

Ale w tym nastroju entuzjazmu mało kto zwrócił uwagę, że konwencję wybrało 43 proc. obywateli, a 57 proc. wyborców zostało w domach. A konwencja uchwaliła projekt tak radykalny, że aż przstraszył się go nawet prezydent Gabriel Boric. Ogłaszała bowiem Chile państwem wielonarodowym, dawała mniejszościom autonomię i samorząd prawny, znosiła senat, w jego miejsce powoływała izbę terytorialną ludów tubylczych, nakładała na państwo obowiązek gwarantowania praw do edukacji, ochrony zdrowia, ubezpieczeń, emerytur, mieszkania i dostępu do podstawowych dóbr.

Legalizowała przerywanie ciąży i ustanawiała równouprawnienie kobiety i mężczyzn.

W przeciwieństwie do ultraliberalnego ustroju odziedziczonego po Pinochecie to, co publiczne, zyskiwało wyraźną przewagę nad tym, co prywatne.

Przyjęcie konstytucji przez konwencję oznaczało, że wahadło ideowe wychyliło się najdalej na lewo. A nawet zagroziło zaprowadzeniem populistycznego ustroju, który naruszał równość obywateli wobec prawa, burzył jednolity wymiar sprawiedliwości czy wręcz mógł doprowadzić do rozczłonkowania kraju i anarchii.

Wielu ostrzegało, że takiego koncertu życzeń z taką partyturą nie da się zagrać.

Konstytucja okazała się ponadto rozwleka jak powieść, a jej 54 tys. słów składało się na 388 artykułów i tworzyło dzieło trzy razy obszerniejsze niż np. konstytucja Hiszpanii.

W referendum, które miało ją ostatecznie usankcjonować, nastąpiła katastrofa.

Po pierwsze, przed plebiscytem przywrócono obowiązek głosowania zniesiony kilkanaście lat wcześniej.

Po drugie, prawica rozpętała w prasie i mediach społecznościowych kampanię za odrzuceniem nowej konstytucji. Zagrożona odwrotem od ultraliberalnego ustroju, na którym wyrosła, wykorzystwała kryjące się w niej prawdziwe i urojone niebezpieczeństwa, użyła artylerii kłamstw, demagogii i manipulacji i rozbudziła strach Chilijczyków, których znakomita większość albo konstytucji nie przeczytała, albo jej nie rozumiała. Ludzie mieli stracić mieszkania i oszczędności zgromadzone w prywatnych funduszach emerytalnych, tubylcze plemiona miały odebrać im ziemie itd.

Oplaciło się. W plebiscycie 62 proc. obywateli odrzuciło nową konstytucję, a poparło ją, mimo że stał za nią lewicowy rząd Gabriela Borica, tylko 37 proc.

Tylko że razem zagłosowało 86 proc. Chilijczyków! Czyli dwa razy więcej, niż było tych, którzy rok wcześniej wybierali posłów do jej napisania! A zatem większość tych, którzy wcześniej zostawiali w domach, zagłosowała przeciw konstytucji, która miał dać zręby ustrojowe nowemu demokratycznemu Chile, które zrywało ostatecznie z dziedzictwem dyktatury Pinocheta! Klęska rządu i zwolenników nowego początku była zupełna.

Jak to możliwe? Otóż spory ustrojowe, zerwanie z dziedzictwem dyktatury, a także wizje nowego porządku angażowały aktywną w polityce i życiu publicznym mniejszość, a większości albo nie obchodziły, albo ich nie rozumiała. Gdy zaś została do tego przymuszona ponownym obowiązkiem głosowania i zbombardowana propagandową nawałą prawicy, zagłosowała przeciw.

Dlaczego 1/3 dorosłych Chilijczyków usprawiedliwia dzisiaj zamach stanu Augusto Pinocheta?

To zjawisko rosnącej obojętności wyborców wobec kształtu ustroju i spraw publicznych klasa polityczna przepała.

To samo powtórzyło się, gdy kilka miesięcy potem lewicowe władze i prawicowa opozycja próbowały proces uchwalania nowej konstytucji reanimować. Tym razem nie puszczono go na żywioł, ale powierzono wyselekcjonowanemu gronu. Mieli ją napisać eksperci konstytucjonałści, a przyjąć nowa, wybrana w wyborach powszechnych 51-osobowa rada konstytucyjna.

W wyborach rady prawica powtórzyła manewr i całą kampanię wyborczą poprowadziła wokół spraw niemających nic wspólnego z konstytucją. Walila jak w bębny, strasząc wyborców apokalipsą w trzech sprawach: rosnącej przestępczości, narko-biznesu i masowej imigracji (m.in. ze zrujnowanej Wenezueli). To wszystko były zjawiska nowe w Chile i dopiero w ostatnich latach narastające, a rządy socjalistki Bachelet i prawicowca Piñery nie poradziły sobie z nimi. Dopiero teraz prawica proponowała, by drastycznie się z nimi rozprawić. O konstytucji niemal nie było mowy!

PRAWICA ZGARNIA WŁADZĘ

4 maja tego roku triumf prawicy, i to nowej, skrajnej, rehabilitującej dyktaturę Pinocheta, był wstrząsający. Ponownie głosowało 85 proc. upoważnionych, tyle samo, co w plebiscycie, który poprzednią konstytucję pogrzebał, i niemal dwa razy więcej niż w wyborach do poprzedniej konstytuandy lub w pierwszym referendum na temat potrzeby nowej konstytucji.

Ultraprawicowa Partia Radykalna dostała 35 proc. głosów i zdobyła 22 miejsc w radzie. Prawica demokratyczna – 21 proc. i 11 mandatów, a zwolennicy lewicowej koalicji rządowej prezydenta Borica zaledwie 28 proc. i 17 mandatów.

Cała prawica dostała zatem 61 proc. głosów i 33 mandaty w 51-osobowej radzie. Może więc zrobić, co chce, i z tej możliwości korzysta. Chce z konstytucji wykluczyć wymóg parytetu kobiet i mężczyzn w organach władzy, bronić „prawa do życia tego, kto ma się urodzić” (co unieważnia ustawę, która dopuszcza przerywanie ciąży sprzed 7 lat), wymaga automatycznego wydalenia nielegalnych imigrantów, dopuszcza zwolnienie z więzienia skazanych za zbrodnie dyktatury Pinocheta oraz chroni „indywidualną i instytucjonalną klauzulę sumienia” (co oznacza np., że apteka może odmówić sprzedaży środków antykoncepcyjnych).

Na żaden z tych zapisów nie może przystać ani lewicowa mniejszość posłów rady, ani centroprawica, które do niej nie weszła, ale jest poważną siłą w parlamencie.

Rezultat jest taki, że nowa konstytucja przypadnie z kretesem. Już dzisiaj chce ją odrzucić 57 proc. Chilijczyków i tylko 23 proc. chciałoby ją poprzeć.

Przypadnie zatem tak samo jak poprzednia, choć z przeciwnych powodów. Jeśli pierwsza była zbyt zawiła, rozwlekała i radykalnie lewicowa, a nawet anarchizująca, to obecny projekt jest prawicowo-fundamentalistyczny.

Będzie to dla lewicy i centrolewicy, które chciały nowego początku, klęska. Dla

skrajniejszej prawicy wręcz przeciwnie, bo po prawdzie z obecną konstytucją jest jej po drodze. Dzisiejsze Chile nie ma więc wspólnej choćby większościowej oceny najnowszej przeszłości swojego kraju. I nie potrafi się dogadać co do tego, jak ma wyglądać w przyszłości. Więcej: jej polityczne elity są podzielone i skłócone ideologicznie tak samo jak pół wieku temu.

Polityczne bieguny prawicy i lewicy, które w minionych latach zdawały się rewidować swoje ideologiczne katechizmy zarówno w odniesieniu do najnowszej historii, jak i przepisów na jej ciąg dalszy, z powrotem wracają do okopów. A coraz większa obojętna liczba Chilijczyków kolebie się między nimi na populistycznej huśtawce.

Jak na bilans 30 lat udanej demokratycznej transformacji po dyktaturze, brzmi minorowo. ●

Książka Mateusza Mazziniego **„Koniec tęczy. Chile po Pinochecie”** już w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.



Krzysztofa Materny 75 lat

ZAWIADOWCA TŁUMU

Poprosiłem Go, żeby mnie, nikogo, wziął na barana,
i tak stałem się kimś

Janusz Rudnicki

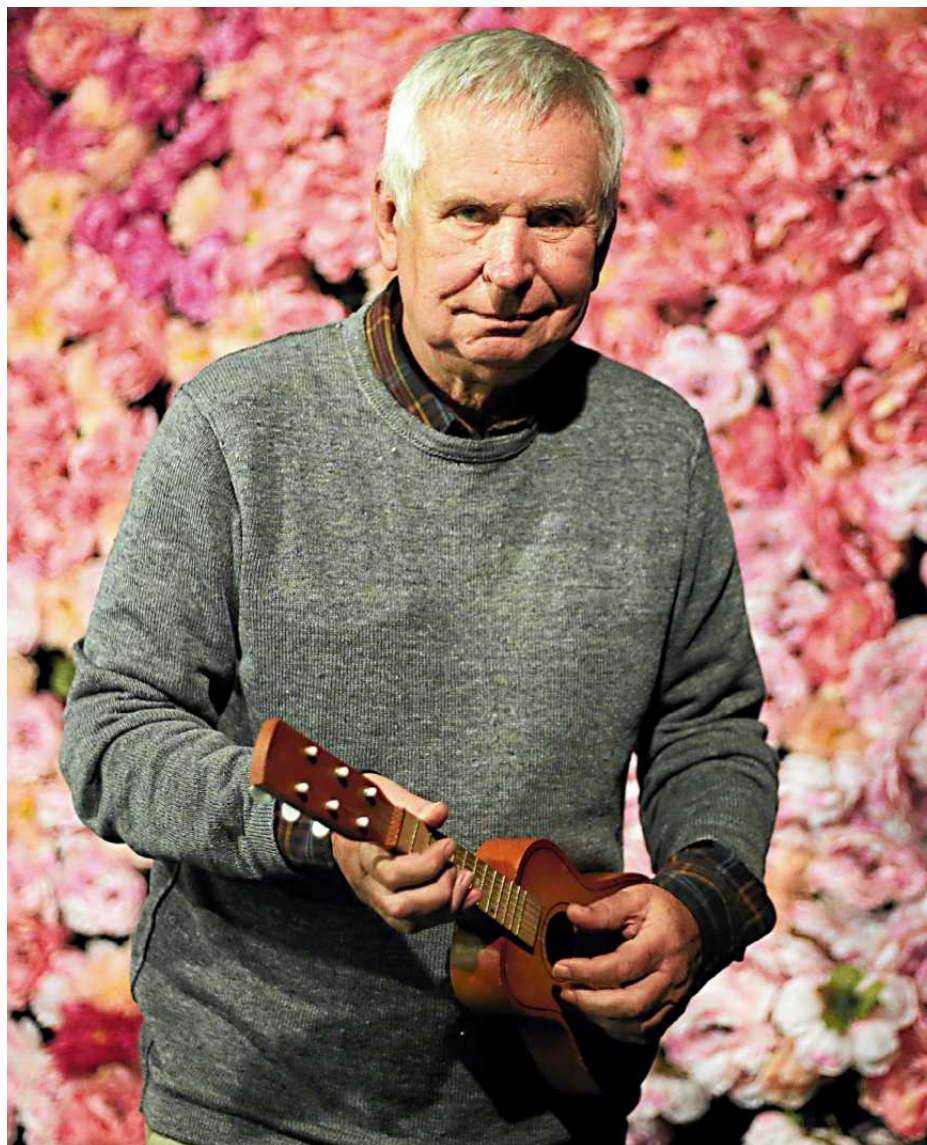
Lróbcie kiedyś eksperyment. Wejdźcie do męskiej toalety i kiedy stać będzie przy pisuarach kilku mężczyzn – im więcej, tym lepiej – krzyknijcie: dzień dobry! Odwróć się, każdy. Jedni tylko głowę, inni zrobią półobrót. To jest tak zaskakujące, jakby w samolocie w czasie lotu wstać nagle i krzyknąć: bilety do kontroli! Tak, tak, oni wtedy też tak się poczują, jakby wszedł jakiś kontroler lub jakby stało się coś, w pierwszej sekundzie wpadną w popłoch i odwróć się, każdy, jedni tylko głowę, inni półobrót.

Tak Go właśnie przed laty poznałem. W Gdyni, na Festiwalu Polskich Filmów Fabularnych. Wszedłem do toalety, w niej pod ścianą kolejno: Materna, Kutz (na palcach), Zborowski, Chyra i Maciej Stuhr. Wszedłem i rzuciłem: cześć, Materna! On robi półobrót, kropiąc Kutza, ten w odruchu odwraca się i kropi Zborowskiego, ten Chyrę, ten Stuhra, a Stuhr mnie, ponieważ w międzyczasie stanąłem już byłem obok niego. Stając się ostatnim ogniem w tym systemie naczyń instynktownie połączonych. Same żarówki i ja, festiwalowa ćma.

Poprawił mnie, w obronie spoliczkowanej godności własnej powiedział: pan Materna. A potem była zaraz gala wręczenia nagród, finał, przejście z hotelu do Teatru Muzycznego, po czerwonym dywanie, przez ulicę. Tłum, reflektory, flesze. I było tak: przy wyjściu z hotelu jeden z umyślnych podawał fotografom pod teatrem przez krótkofalówkę informacje, kto właśnie wychodzi, żeby nie przegapili. Słyszałem, jak mówi, ściszone glosem, przejęty: nikt, nikt, uwaga, teraz, nikt, nikt, teraz Kutz, nikt, Zborowski, uwaga, Agata Buzek, nikt, nikt, Materna, nikt... Tym ostatnim nikim byłem ja. Poprosiłem Go, żeby mnie wziął na barana, wziął i tak stałem się kimś.

Opowiadał mi, jak zarobił pierwszy milion. Za młodu w Jego rodzinnym Sosnowcu zbierał po śmietnikach zużyte waciki do uszu i sprzedawał je dzieciom jako watę cukrową. Nikt się nie dziwił, że czarną, waciki też były czarne, na Śląsku wszystko czarne, tylko węgiel jest biały.

Byliśmy kiedyś razem w Kazimierzu, na festiwalu Dwa Brzegi, ulokowano nas razem, jak Paweł i Gawel w jednym staliśnym domu. Stosunki nasze uległy wtedy ochłodzeniu. Nie wiem, jak było z Wojciechem Mannem, może nie mógł wyjść z jego cienia, no bo „Wojtek daje cień dość duży”, w naszym przypadku zawiniły kotlety schabowe. No bo tak, mięso ze sobą z Warszawy wziąłem, inaczej zepsułoby się, żal. Myślałem, że wyzwie mnie od idiotów, ale On się ucieszył: zrobię schabowe, zaskoczę cię, powiedział. I tak na drugi dzień budzi mnie jakiś łomot, ktoś czymś miarowo mi świtać: to On, człowiek, który zamiast z motyką na słońce to z tłuczkiem porywa się na mięso. Ale dlaczego już teraz? Głowę pod poduszkę chowam, nic to nie daje, łomot bez końca, wstaję więc półprzytomny i idę do kuchni. I tu mnie rzeczywiście zaskoczył, bo Go w tej kuchni nie ma.



FOT. CEZARY ASZKIEŁOWICZ / AGENCJA WYBORCZA.PL

Na Błoniach jest kamień,
że papież zjadł tu
kremówkę,
a obok, że Materna żabę

A ten łomot dalej, ale z zewnątrz, do drzwi wejściowych. Ja wróciłem z bankietu wcześniej, miałem zostawić drzwi otwarte, bo jeden tylko klucz mieliśmy, i nie zostawiłem. Mieszane ma do mnie od tego czasu uczucia.

Wprozie naszej o zawrotny humor tak trudno jak o trufle w lesie. Tak jak tresowane psy wyczulone są na trufle, tak On na odległość ten humor wyczuje.

Jeśli zapadnie mu jakaś proza w gust, a nikomu prawie nieznaną jej autor (Jakub Morawski) mieszka w takim na przykład Hongkongu, wsiądzie w samolot i do niego polecą. Posiedzi z nim nad tekstem dni dziesięć, wróci i zrobi z niego adaptację. Potem wybierze aktorów, którzy opadają karkołomnie trudny do opanowania tekst, i to tak, żeby to język nimi grał, a nie

oni językiem, bo język tu w roli głównej. A potem dojdzie do premiery sztuki „Słownik Ptaków Polskich”. Dwa razy, najpierw w warszawskiej Imce (w roku 2016), a na początku tego roku w krakowskiej Bagateli. Bo tam ma teraz nowe swoje gniazdo ten człowiek, który żyje na wynos, a nie na miejscu.

Czytam raz jeszcze po paru latach Jego „Przed państwem Krzysztof Materna” (Znak 2013). Są miejsca, w których lza mi się w oku, wiadomo, kręci. Przy wspomnieniu o FAM-ie na przykład. Z Kędzierzyna do Świnoujścia autostopem tak długo, że dojechałem o trzy dni starszy. Żyłem o suchych bułkach i mokrych bełtach, spałem pod dziurawym namiotem, ale szczęśliwy byłem jak psi ogon, bo ten festiwal, poezją i muzyką płynący, był dla mnie jak obrzęd inicjacyjny, sam się po nim miano wałem artystą. Do amfiteatru nie chcieli

mnie wpuścić na finał, za młody jeszcze byłem na studenta, przeskoczyłem więc przez płot. Tak, też mam swój płot, jak Wałęsa. I tak jak ten jego ważny jest dla Polski, tak ten mój ważny jest dla mnie. Ja skakałem przez płot, a On był już wtedy „artystą zawodowym”, ba, dyrektorem artystycznym FAM-y, która na całej tamtej peerelewskiej ziemi jałowej była dla mnie ziemią obiecaną.

Jak być zawiadowcą tłumy, jak oswajać publiczność, tego nauczył się przy prowadzeniu koncertów Niemena. Wtedy pojawił, co znaczy potęga mikrofonu, który jak berło króla, przy czym sakramentalne dziś: „kto go ma, ten ma władzę”. Dyrygent nastroju. Kurtuazja, wdzięk, ten uśmiech, raz szeroki, serdeczny, raz stonowany, ironiczny, szelmowski. Ta Jego vis comica. Byłem świadkiem, kiedy jakiś czas temu leżał w szpitalu, a ja leżałem przy nim jako Jego kropiółka, byłem świadkiem więc, jak wszedł lekarz i powiedział: panie Krzysztofie nasz jedyny, znowu ktoś zapadł. Krzysztof westchnął, wstał, włożył szlafrok i za pięć minut wrócił. Zdolność wybudzania ze śpiączki za pomocą zdolności pobudzania do śmiechu.

Mówienie, nigdy za szybko, puenta z precyzyjnym timingiem, a jeśli publiczność niewyrobiona, to ją wcześniej czy później wyrobi, cierpliwy jest. Poza sceną i bez mikrofonu niekoniecznie, ludzie bez właściwości mało Go interesują, zbywa ich.

WPRL-u życie w trasie. Trasa znaczyło wtedy praca. W każdym miesiącu ze dwadzieścia dni. Autobusem do miasta wojewódzkiego, tam hotel i codziennie wyjazdy do miasteczek. Rajem było Katowickie, bo wiadomo, Gliwice, Chorzów i tak dalej. Koncerty dwa razy dziennie, czyli w sumie czterdzieści. Biletów nie było, bo była rada zakładowa, wykupywała je i ten miał bilet, kto go od tej władzy dostał. Trasa z Krawczykiem, raz „wezвано” ich nagle na koncert o godzinie szóstej rano, wyjazd o czwartej, okazało się, że będą „prezenterem dla górników z okazji Barbórki”. Wprowadzono ich na salę prosto ze zmiany, więc zapowiadał Krawczyka do czarnej, umorusanej ściany i jeśli ktoś się tam uśmiechnął, to widział przynajmniej zęby. I teraz tak, Krawczyk wyszedł na scenę cały na białą, w białym mianowicie smokingu, i zaczął koncert do ledwo trzymających się na nogach górników piosenką „Jak minął dzień”. Byłaby to jedna z najlepszych scen filmu „Wodzirej”, gdyby w nim była.

A od sceny, w której opisuje pierwsze spotkanie z Jandą, czyli „jedną z niewielu osób, której inteligencja nie przeszkadza w wykonywaniu zawodu aktorskiego”, mógłby zacząć się „Kiedy Harry poznał Sally”. Przemoknięty i zmarnięty stoi rano pod hotelem we Lwowie i czeka na kogoś. Widok na lwowski pejzaż zasłania Mu autokar. Wszystkie okna ma zamglone. Na jednym zaczyna tworzyć się małe kółko, ktoś w środku chucha. I teraz On widzi najpierw usta, a potem twarz, i dziwny jakiś kapelusik na głowie, zastanawia się: skąd ja znam tę piękną osobę? Spotykają się wzrokiem i wie: to Janda, która już w pełnej charakterystyce czeka na zdjęcia do serialu o Modrzejewskiej.

Organizuje wielki show Copperfielda w Warszawie, w książce wspomina, że jedną ze znanych dwunastu osób, które zniknęły wtedy w finałowym, koronnym triku magika, był Andrzej Mleczko. I że do dzisiaj nikt w Polsce nie wie, jak David ten słynny jego numer organizuje, bo nikt nie zdradził tajemnicy, więc dzwonię do Mleczki i pytam, czy dalej obowiązuje ta przysięga, ale on na to pytanie nie reaguje: „Materna napisał, że ja byłem na scenie i zniknąłem?! Coś mu się... Rzucali ze sceny jakieś pileczki, kto złapie, ten zaproszony, złapałem i natychmiast dałem Monice, ona weszła, nie ja, i zniknęła. Nie tylko ze sceny, z naszego życia też, uciekła z Davidem do Stanów. Wróciła po miesiącu, skruszona, ale nasze małżeństwo to już, wiesz, czar jakby nieco zniknął, prysł. Żyliśmy jak dwie choroby współlistniejące, ale potem czas tę ranę załatwił po swojemu, zagoił”.

On jest z tych, którzy wierzą. W telewizję z misją i edukacją. On uważa, że przeciętny telewizz nie jest głupi, chce tylko, żeby „wskazać mu drogę”, dlatego serwować mu się powinno coś, „co go rozwija, a nie tłamsi”. On jest jak piec „Maternowski”, wierzy, że można wytopić stal z surówki i złomu. Ja bym tu raczej przyjął pozycję sceptyka, chociaż wiem, wiem, łatwiej być Sancho Pansą niż Don Kichotem. Który wierzy, chce wierzyć, że rechoť niosący się na cały kraj podczas nocy kabaretowych to skutek wieloletniego ogłupiania kulturą jarmarczną publiczności, a nie jej samej. Jego boli, On czuje się podwójnie spoliczkowany, poziomem humoru na scenie i entuzjastycznym jego przyjęciem przez widownię. Która myśli, że jako mądra śmieje się z tych głupich, bo przecież o „głupich Polakach” przeważnie ze sceny mowa. Która więc, nie wiedząc o tym zupełnie, śmieje się z siebie samej.

W Jego CV w rubryce „zawód” stoi: wypełniacz niszy. O niszy pisze w książce parę razy. Pisze dobitnie, że robi coś, co jest „w poczuciu humoru niszą”. Że Jego propozycje teatralne, eksperymenty „funkcjonują w niszy”. Że wypełnia niszę i dlatego nie należy do żadnego lobby i nikomu nie zagraża. Jeśli znajdziecie się przypadkiem w kościele, a będą w nim nisze, zajrzyjcie do każdej, w jednej z nich będzie na pewno On. Bo nisze to też wnętrki, w których stoją niszowe figury kultowe.

Zajęcia wojskowe podczas studiów. On jako zakała grupy, same dwójce, nie nadał się do żadnego szeregu. Nie wytrzymał któregoś dnia tego gnębienia przez dowódcę, załamany, ze łzami w oczach, powiedział, że też chce, musi dostać piątkę, za cokolwiek, na przykład za silną wolę, może na przykład zjeść żabę na poczekaniu, bo pełno tu ich wokół. Dowódca na to przystał, On wykonał, po czym natychmiast zwymiotował, po czym po nim bezwzględnie zwymiotował cały prawie pluton. Na krakowskich Błoniach, zaraz obok kamienia papieskiego, na którym wyryte jest, że papież polski w tym a tym dniu i roku zjadł tu kremówkę, leży kamień, na którym wyryte jest, że w tym samym dniu i roku nikomu wtedy jeszcze nieznanu obywatel Krzysztof Materna zjadł tutaj żabę.

Jeszcze niejedną przyjdzie Ci zjeść żabę, mój drogi, zanim dociągniesz do setki. I to pogodnie, bo przecież, to tytuł jednego z Twoich spektakli, „Czas nas uczy pogody”. Z wyjątkiem tego, który właśnie był minął, bo pociągnęliśmy PiS za spłuczkę.

Po przeczytaniu tego wszystkiego zostawię Cię w takim stanie, w jakim chciałbym Cię zastać. ●

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Anna Piwkowska*

Czerwona nitka

*Jesień rozpędza się jesionami znaków, sztormem oranżowych liści,
burzy się we mnie jak ciepłe morze żal za balsamicznym oddechem,
za tym łagodnym wszystkim, które trwało, a teraz szrony, schrony
jeszcze niegotowe, ziemianki i wyrzutnie, wojny i chłody, wody brak,
nie ma miłości i możliwości, biegną wyżlice i barwią się winnice
na czerwono, bo wyżlice mają krew na aksamitnych mordkach;
kaczki słabe i głodne są łupem tak łatwym, jak dzieci i kobiety,
jak rzesze orzechów i żołędzi, no popatrz, popatrz, jak kruszy się świat,
jesień, zima, przedwiośnie, jak przetrwać do pierwszych pierwiosnków?
Rozpalmy ogień, krzeszmy chwile wieczne i nie mów, że to nasze,
niech będzie wszystkie, cudze, inne, obce, niezrozumiałe, ale wspólne.
W lesie jest zimno, w okopach zimno, na łodziach zimno, samotnym zimno.
Chodźcie cienie do naszego ognia, przybywajcie głosy, przemówcie glossy,
adnotacje i komentarze w różnych językach zapisane tam, gdzie nic nie ma,
ani papieru, ani listów, ani książek, ani niebieskich zeszytów, poezji i znaków.
Klinowe pismo cierpienia na sypkim piasku, na grzęzawiskach, czerwona nitka
z dziecięcego sweterka waha się chwilę na kolczastym drucie i ulatuje w wieczność.*

październik 2023

***Anna Piwkowska** – poetka, eseistka i pisarka, członkini Polskiego Pen Clubu. Autorka m.in. wierszy, powieści (także dla młodzieży), książek o Annie Achmatowej i Marinie Cwietajewej.



FOT. PRZEMEK WIERZCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Kardynał jest zatroskany

Jak to możliwe, że laicy i niewierzący zagłosowali niezgodnie z nauką Kościoła

Magdalena Czyż

O d długiego już czasu zastanawiałam się, który hierarcha po wyborczej zmianie pierwszy wyrwie się z propozycją sklejanía pękniętego społeczeństwa. Obstawiałam arcybiskupa Gądeckiego, ale się pomyliłam.

Pierwszy wyrwał się do tego Kazimierz Nycz. W wywiadzie dla KAI warszawski kardynał odpowiada na pytania o miejsce Kościoła w nowej rzeczywistości społeczno-politycznej.

Tomasz Królak pyta: „Czy jednak fakt, że wiele milionów Polaków oddało swój głos na ugrupowania, które – bardziej czy mniej otwarcie – zapowiadały działania kontestujące nie tylko nauczanie Kościoła, ale właściwie antyhumanistyczne, nie stanowi wyzwania dla Kościoła, także jako całej wspólnoty?”.

Odpowiedź kardynała: „Przejmuje mnie to, bo w tej dziedzinie rzeczywiście widać niespójność w myśleniu ludzi. Nie widać zaś tego, co powinno zaistnieć w życiu człowieka, który jako polityk chce realizować nie dekret biskupów, lecz wskazania Ewangelii, bo jest dla niego inspiracją”.

Czytam to i nie mogę przestać się dziwić: jak to jest, że katolicki dziennikarz, a za nim katolicki kardynał dostrzegają niespójność w myśleniu ludzi, którzy zagłosowali na partie prodemokratyczne i antypisowskie, bo te partie miały w programach liberalizację aborcji, a nie widzą niespójności w myśleniu ludzi, którzy głosowali na partię antydemokratyczną, podczas rządów której nie było choćby tygodnia, żeby Polacy nie dowiadrywali się o kolejnej złodziejskiej aferze jej rządu?

Wedle logiki obu panów permanentne złodziejstwo i kłamstwa PiS nie kontestują nauczania Kościoła i nie są antyhumanistyczne. Antyhumanistyczne i kontestujące naukę Kościoła jest jedynie to, gdy ktoś niewierzący i niezwiązany z Kościołem zdecyduje się na usunięcie ciąży.

Obawiam się, że bardzo duża liczba, jeśli nie zdecydowana większość z tych ponad 11 milionów, które zagłosowały na anty-PiS, nie ma i nie chce mieć żadnego z Kościołem związku i zupełnie inaczej definiuje słowo „antyhumanistyczne”. Dla nich antyhumanistyczne jest przyzwolenie na śmierć młodych kobiet na porodówkach. Dobrze by było, gdyby przedstawiciele Kościoła zaczęli brać pod uwagę ten drobny szczegół w swoich rozważaniach na temat nowej rzeczywistości w Polsce.

I jeszcze jeden zastanawiający mnie wątek wywiadu: Królak pyta o ostre podziały w społeczeństwie wywołane działaniami polityków i o to, kto teraz społeczeństwo poskleja.

Kardynał Nycz odpowiada: „Odpowiedzialność za to powinni wziąć na siebie głównie ci, którzy nas rozkleili i poróżnili. Niech do tego na pierwszym miejscu zabiorą się politycy, a potem ludzie kultury, nauki, a więc w pewnym sensie przywódcy tego społeczeństwa. Oczywiście Kościół też w ten proces powinien się włączyć”.

A ja mam pytanie do Jego Eminencji: czy Jego Eminencja próbował jakoś sklejać społeczeństwo po słowach swojego kolegi z Krakowa o „tęczowej zarazie”? I drugie pytanie: gdzie był warszawski kardynał, gdy na warszawskich ulicach palowano kobiety? Dlaczego po tamtych wydarzeniach nie wyraził zainteresowania koniecznością zaleczania podziałów w naszym społeczeństwie?

Myślę sobie, i raczej nie jestem w tym odosobniona, że nie przypadkiem kardynał Nycz nabrał chęci współuczestniczenia w procesie sklejanía naszego społeczeństwa dopiero po wygranych przez antypisowskie ugrupowania wyborach.

I jeszcze myślę sobie, że teraz jest już trochę za późno. Nikt już Jego Eminencji w jego dobrą wolę nie wierzy. ●

FOT. ALAMY STOCK PHOTO, MARY EVANS PICTURE LIBRARY/BE&W



**Lęk przed
sztuczną inteligencją
jest nowym
wcieleniem strachu
przed złym bóstwem
czy wszechmocnym
demonem**

ADAM
WĘGŁOWSKI*



FOT. ADRIAN GRZYCUK/CC BY-SA 3.0 PL / DOMEN PUBLICZNA

Brytyjskie Sheffield, jak wiele innych miast, pada ofiarą atomowego ataku ZSRR. Rozpoczyna się walka mieszkańców o przetrwanie. „Threads”, rocznik 1984, to formalnie dramat wojenny i film katastroficzny, lecz kryjący w sobie najbardziej ponury horror. Po atomowym ataku nie ma bowiem ucieczki ani nadziei. Czas nie leczy ran, lecz przynosi kolejne degeneracje i deformacje.

„Threads” w Polsce był praktycznie niedostępny, w przeciwieństwie do „Nazajutrz”, które nieco wcześniej straszło upadkiem cywilizacji, anarchią i chorobą popromienną. Na amerykańskie ekrany trafiło jesienią 1983 roku, a polska telewizja pokazała je już w styczniu 1984, wywołując szok u widzów niespodziewających się aż tak ponurego spektaklu. A przynajmniej niespodziewających się w państwowej telewizji, bo również u nas już od początku lat 80. wizjami upadłego świata straszły takie hity kinowe i wideo, jak „Terminator” czy „Mad Max 2”. Nawet „Powrót żywych trupów” (1985) – horror komediowy dyskontujący sukces opowieści o zombi George’a A. Romero – ostrzegał, że prawdziwa apokalipsa zacznie się po użyciu broni atomowej.

To były czasy zimnej wojny, gdy świat niejedną raz znalazł się na krawędzi globalnego konfliktu. Wydawałoby się, że teraz – po czterdziestu latach – te lęki powinny wrócić wraz z wojną w Ukrainie i nieobliczalną polityką Moskwy. I wróciły – w publicystyce, analizach ekspertów i obawach zachodnich przywódców, lecz tam, gdzie powinny być podchwyczone najszybciej, czyli w kinie i popkulturze, ich nie widać.

Możliwe, że – zważywszy na znikome emocje, jakie budzą zapowiedzi polskiej elektrowni atomowej – mimo katastrofy w Fukushima, spektakularnej rezygnacji Niemiec z energii jądrowej i odświeżenia lęku przed nią w przebojowym serialu „Czarnobyl” zaczęliśmy kojarzyć atom mniej z wojennym zagrożeniem, a bardziej z „czystą” energią, która potrafi uratować Ziemię przed przemianą w wielką duszną szklarnię. Chyba że kasowy sukces biograficznego „Oppenheimera” uznamy za wystarczający dowód na obawy świata przed nuklearną jatką. Jednak śródowiska antywojenne (na przykład brytyjska Campaign for Nuclear Disarmament) zwracają uwagę, że olśniewający wizualnie film Christophera Nolana

wcale nie oddał prawdziwej grozy ataków na Hiroszimę i Nagasaki...



Na pewno odbiciem naszych lęków nie są też trendy halloweenowe, najczęściej inspirowane przecież przez filmy. Na liście najlepiej sprzedających się kostiumów w USA królują w tym roku: Barbie, Księżniczka, Spider-Man, Czarownica, Wróżka, Wednesday Addams i dinozaury. Próżno szukać doktora Strangelove’a z bombą atomową pod pachą.

Lecz to bardzo konserwatywna lista. Większość postaci – Czarownica, Księżniczka, dinozaury – powtarza się rok w rok. W ostatnim czasie dochodziły do nich jeszcze postaci ze „Stranger Things”, superbohaterowie sezonu czy piraci. Są też zombi, palętające się po popkulturze w różnych odsłonach nieustannie, i w które każdy łatwo może się przemienić bez większych zakupów, tylko za pomocą keczu-

pu, lachmanów i odpowiedniej choreografii. Jeszcze prościej narzucić na siebie prześcieradło i udawać ducha lub zamienić się w wampira przy użyciu zaimprovizowanych klów. Trudno doszukiwać się w tych ponadczasowych motywach sygnałów, jaki bieżący strach nas zżera.



Rzecz jasna horror czy kino s.f. nie pokazują wszystkich naszych lęków wprost, więc może także na cienie III wojny przyjdzie czas – z opóźnieniem i metaforycznie. W Japonii nie powstałby przecież cykl o Go-dzilli, gdyby nie bomby atomowe zrzucone na Hiro-szimę i Nagasaki. Lecz metafory nie są jednoznaczne. „Przyjęło się uważać, że wszystkie ogromne zmuto-wane mrówki i króliki z filmów z czasów zimnej wojny reprezentują strach przed atomową zagładą i inne zimnowojenne lęki. W większości przypadków jednak te filmy, niezależnie od bardzo często niskiej jakości, umożliwiają wiele sprzecznych interpretacji, a zagrożeniem równie dobrze jak komunizm i bomba atomowa mogą okazać się nowoczesność i obcy, ci wśród nas i ci wyraźnie odmienni” – opowiada Jerzy Kociat-kiewicz, profesor zarządzania i badacz popkultury z Institut Mines-Télécom Business School we Francji.

Horrorzy dają szerokie pole do popisu recenzentom i krytykom. Niemniej, jak zwraca uwagę Kociat-kiewicz, przez ponad stulecie filmów gatunkowych kino grozy wytworzyło swój język fabularny i reper-tuar gotowych symboli i ich interpretacji: „Po fil-mach Romero wiemy już, że zombi najłatwiej utoż-samić z podklasą, wykluczonymi i dyskryminowa-nymi masami gotowymi mścić się za lata upoko-rzeń. Że wampiry, odwrotnie, odczytać najprościej jako możliwych tego świata, których żądz nie tem-perują reguły współżycia społecznego ani moral-ne skrupuły”.



Tu pojawia się pytanie, czy w objęciach wciąż popular-nych klasyków horroru nie szukamy czasem ucieczki przed prawdziwym horrorem wokół. To dlatego łatwiej sięgnąć po wampira, żywego trupa czy potwora z kosmosu, niż zaoferować coś nowego, co postawiłoby widza przed koniecznością samodzielnego zin-terpretowania. Może współcześnie najbardziej pocią-ga nas gra z symbolami sama w sobie, igraszki z kla-syką, a bieżące problemy kryją się w cieniu tych za-baw formą?

Coś może być na rzeczy. Parę lat temu pojawi-ło się twórcze wzmoczenie wokół amerykańskiego mistrza grozy Howarda Phillipsa Lovecrafta, twór-cy mitologii Cthulhu. Stało się tak m.in. za spra-wą kinowych filmów „Lighthouse” (2019) i „Głębia strachu” (2020). Potem odżył duchowy ojciec Love-crafta, Edgar Allan Poe, na Netfliksie. Najpierw jako bohater kryminału „Bielmo”, a ostatnio przy seria-lowej przeróbce „Zagłady domu Usherów”. Z kolei nagrodzone Złotym Lwem w Wenecji „Biedne isto-ty” to wariacja tyleż na temat „Barbie” i „Pigmalio-na”, co „Frankensteina”. Wróciła też na ekrany prze-tworzona dużo młodsza klasyka: „Sandman” wy-kreowany przez Neila Gaimana i „Wednesday”, czy-li nawiązanie do „Rodziny Addamsów”. W tym roku objawił się nawet nowy „Egzorcysta” i wrócił Dra-cula, strasząc na morzu w „Demeter: przebudze-nie zła”.

Dużo tych ukłonów w stronę klasyki gatunku. Jak interpretować to, że nowe pokolenie – widzów lub twórców – chce się z nią konieczn-ie zmierzyć? A może po prostu filmowi potentaci w pogoni za zy-skami chcą kolejny raz sprzedać coś, co już kiedyś się sprzedawało, zaś dopracowane do perfekcji me-chanizmy marketingu załatwiają sprawę? Ta dia-gnoza byłaby jednak zbyt prosta. Spójrzmy po kolei na przywołanych klasyków horroru.



Lovecraft, zdaniem prof. Kociatkiewicza, został w XXI wieku bardzo oswojony. Z niszowego pisarza stał się popkulturową gwiazdą. Nie zaszkodziły mu oskarżenia o rasizm – zapewne pomógł mu fakt, że żydowskie korzenie miała jego żona Sonia Greene.

Ba, serial „Kraina Lovecrafta” rozlicza się z przesada-mi rasowymi w Ameryce. Lovecraft został tak ugła-skany, że do sklepów trafiły nawet maskotki potężne-go, przedludzkiego Cthulhu – nie z plugawymi i ośli-zgłymi, lecz pluszowymi mackami. Można sobie po-stawić takiego pluszaka na ramieniu, grając ze znajo-mymi w planszówkę „Horror w Arkham” lub zagłę-biając się przed komputerem w „Alone in the Dark” albo inną komputerową adaptację bluźnierczych fan-tasmagorii „samotnika z Providence”.

A Poe? Też oswojony aż do bólu. – Zaczęło się od mang, które w cyklach typu „Klan Poe” z 1972 roku wskrzeszały mity o wampirach i wykorzystały na-zwisko znanego twórcy. Potem w drugiej połowie lat 90. Junji Itō przerysowywał opowieść Mary Shelley o potworze doktora Frankensteina. Ta restartowa-fala nowego ujęcia horroru i grozy mogła więc do nas dopłynąć z Japonii i Chin. Najpierw odeszliśmy zatem od zwyczajowych filmów grozy z Vincentem Price’em na czele na rzecz japońskiego horroru typu „Ring” z 1991 roku, by później przyjąć przetworzone przez wschodnią kulturę znane nam motywy – uwa-ża Marcin Podlewski, autor cykli książkowych „Głę-bia” oraz „Księga zepsucia”.

Jego zdaniem to element cyklicznej przemia-ny i przewartościowania kultury grozy: – Kultura ta z początku u nas zbladła, by nabrać kolorów dopie-ro po liftingu ze Wschodu. I to jej ożywienie spra-wia, że mamy recykling starych opowieści odzia-nych w szaty współczesne, gdzie np. „Zagłada domu Usherów” to nie tylko zabawa motywami z Poe-go, ale i wariacja na temat serialu „Sukcesja” z horroro-wą nakładką.



Zombi najłatwiej utożsamić z dyskryminowanymi masami gotowymi mścić się za lata upokorzeń. Wampiry to możni tego świata, których żądz nie temperują reguły współżycia społecznego ani moralne skrupuły

A co z nowym filmem o Draculi? – To też tylko prze-tworzenie znanej wszystkim starej treści z powieści Brama Stokera w formę bardziej zbliżoną do upodo-bań obecnych widzów, gustujących raczej w krwawych widowiskach niż stosunkowo niewinnych nastrojo-wych dziełach. „Demeter: przebudzenie zła” opowia-da o Draculi w formie współczesnego slashera – wy-jasnia prof. Kociatkiewicz. – Ten podgatunek horro-ru rozwinął się gdzieś pod koniec lat 70. wraz z „Tek-sańską masakrą piłą mechaniczną” i „Halloween”, więc prawie wszyscy współcześni widzowie wycho-wali się na horrorach z czasów dawno po utracie nie-winności gatunku.

Na marginesie, najsłynniejszy krwio pijca w hi-storii potrafi też tańczyć. Przebojem w warszaw-skim Teatrze Wielkim – Operze Narodowej jest ba-let „Dracula” w reżyserii Krzysztofa Pastora do mu-zyki filmowej Wojciecha Kilara. I to nie tylko tej ze ścieżki dźwiękowej słynnej ekranizacji Francis-a Coppoli. Transylwański wampir, jego słudzy i ad-wersarze płasają także do pamiętnych utworów Ki-lara z „Trędowatej” czy „Ziemi obiecanej”. Przez chwilę przemknęło mi przez myśl, że skoro tak, to ktoś kiedyś mógłby wprowadzić do tej opowieści również Wokulskiego. Czy poza milionami zarobio-nymi na wojnie rosyjsko-tureckiej nie mógłby przy-nieść z Bałkanów także ukąszenia wampira? Jak-że odmiennie potoczyłyby się wtedy losy jego i pa-ny Łęckiej.

Wróćmy jednak do klasyków w wersji oryginalnej. Nie zapominajmy, że oni też kiedyś byli dla od-biorców „współcześni”. Zwraca na to uwagę pisarz i publicysta Michał Cetnarowski, laureat Nagro-dy im. Janusza A. Zajdla (2016) i redaktor w „Nowej Fantastyce”: – „Frankenstein” to odpowiedź na gro-zę rewolucji francuskiej i przełomowe badania nad elektrycznością Galvaniego, o czym pisze wyczerpu-jąco Jean-Jacques Lecercle w książce „Frankenstein: mit i filozofia”. Opublikowany w 1897 roku „Dracula” kanalizował lęki końca wieku i – jak się rychło oka-zało – także całej epoki. A Lovecraft pisał w oparciu o najnowsze odkrycia astronomiczne, które przeko-nywały, że kosmos to prastare, przeogromne i prze-rażająco puste miejsce.

Dziś mało kto o tym pamięta, sięgając po tych klasyków. Lecz tak, horror zawsze reagował na rzeczywistość. Niemiecki ekspresjonizm filmowy

komentował tragedię I wojny światowej oraz prze-widział hitleryzm. Powojenne kino amerykańskie straszycyło obcymi najeźdźcami, choćby z kosmo-su. Wojna w Wietnamie podważała klasyczne war-tości i formy, wskazała na hipokryzję polityki i do-tychczasowego porządku społecznego. Więc co nas gnębi dzisiaj, jeśli nie lęk przed III wojną świa-tową?



Wyglądaloby na to, że bardziej od nuklearnej hekatom-by boimy się epidemii, zombi-grzybów z „The Last of Us”, ewentualnie ekologicznej klęski z polskiej „Apo-kawixy”. Ewentualnie, bo nie przekłada się to na ja-kiś mocny, wyraźny trend. – Muszę przyznać, że dzi-wi mnie brak wśród popularnych filmów w tym roku wątków ekologicznych – nie spotkałem żadnych du-chów wytępionych zwierząt, potworów ze ścięków, tok-sycznych mgieł czy zemsty Gai. Może to jest ta rzeczy-wistość, od której uciekamy dziś do horrorów? – za-stanawia się prof. Kociatkiewicz.

Zdaniem Michała Cetnarowskiego dziś aktual-ne tematy z pierwszych stron gazet przeciekają do horroru głównie jako kontekst. Mamy więc wątki społeczne w horrorach Jordana Peele’a, kwestie rasizmu w USA w „Krainie Lovecrafta” czy femi-nizm i szeroko pojętą płciowość w filmach „Titane”, „Pearl” czy „X”.

Widać jednak zarazem, że – jak inżynier Ma-moń z „Rejsu” – lubimy te melodie, które już sły-szeliśmy. Producenci filmowi, spece od box offi-ce’ów, umieją kalkulować. Stąd plaga remake’ów, sequeli, spin-offów, uniwersów, które zazwy-czaj – pomijając spektakularne wpadki, jak ostat-nio z „Egzorcystą: Wyznawcą” – gwarantują szero-kie perspektywy zysku. – Żyjemy w epoce remiksu i wielkich międzyplatformowych francyz, z któ-rych najbardziej znaną jest komiksowo-growo-filmowo-telewizyjne uniwersum Marvela czy to, co robi dziś Disney z uniwersum „Gwiezdnych wo-jen”. Trudno, żeby podobny proces nie objął tak-że klasyki horroru. Po części jest to spowodowa-ne nostalgią, bo jako konsumenci popkultury 30+ chcemy znów gremialnie wracać do bajek nasze-go dzieciństwa, a po części modelem biznesowym – łatwiej i bezpieczniej jest rozwijać uniwersa już zakorzenione w świadomości widzów, niż tworzyć zupełnie nowe – ocenia Cetnarowski.

Dlatego tropy wiodące do klasyków wydają się tak wyraźne. Twórcy filmów wydeptują je raz za ra-zem. Scenarzyści i reżyserzy chcą się bowiem zmie-rzyć z mitem, legendą. Zaś producenci – trafić na ży-łą złota, którą będzie można eksploatować latami, aż do znudzenia. Jak z Christopherem Lee grającym hrabiego Draculę przez dwadzieścia lat, od roku 1958. Jak z adaptacjami opowiadań Poe-go, taśmowo robionymi w latach 60. przez duet Roger Corman i Vincent Price. I z krwawymi seriami: z dziesięcio-ma częściami „Pily” straszącej od dwudziestu lat czy z Michaeliem Myersem z „Halloween”, który gnębi nas od roku 1978.



Nasz strach w istocie rzeczy był i jest uniwersalny. – Ludzie boją się tego, czego bali się zawsze. Śmier-ci, choroby, utraty i bólu. To jednak lęki zbyt masyw-ne, by przytłaczać nas w życiu codziennym – boimy się zatem rzeczy mniejszych, ale nie mniej istotnych: braku pieniędzy, dentystry, straty pracy i tak dalej. Takie lęki stanowią naszą codzienność, czają się zawsze w tle. Horror zaś to nic innego jak rozsądzenie zna-nej nam rzeczywistości utkanej z nadziei i lęku. Będąc w świecie realnym i mierząc się z realnymi problema-mi, nagle mamy odskocznię – oto świat realny pęka, ukazują się demony i zjawy. I już nie trzeba martwić się tym, co nam powie Basia z księgowości, skoro za chwilę wampir wysie z nas hemoglobinę – przeko-nuje Marcin Podlewski.

Przy czym ów wampir to także symbol, na któ-ry nakładamy najnowsze lęki. – Krwio pijca to też lęk przed zarażeniem, nie tylko COVID-em, i lęk przed wymuszonym kontaktem z innymi ludźmi, którzy przemocą atakują naszą prywatność. Nie przypad-kiem serial „Co robimy w ukryciu” wprowadza postać wampira energetycznego wyglądającego jak rysunko-wy Dilbert, którego głównym źródłem pożywienia są współpracownicy z biura – zauważa pisarz.



Strach jest zatem uniwersalny, a horror bazuje na najgłębszych pokładach naszych lęków i potrzeby przeżycia oczyszczającego nasz umysł katharsis. Można więc zmieniać czas, miejsce, bohaterów – i potwory. W serii „Obcy” to bezduszna korporacja, równie straszna jak same ksenomorfy. W „Uciekaj!” (2017) to przedstawiciele innej klasy społecznej. W duńskim dreszczowcu „Goście” (2022) to „dobrzy mieszczanie” z sąsiedztwa. U źródła pozostaje jednak ten sam strach.

– Horror to konwencja bardzo progresywna, punkowa, wywrotowa. W okresach świetności występuje zawsze w kontrze do mainstreamu, szokuje, skandalizuje i prowokuje. A jednocześnie – w swym najgłębszym rdzeniu – to konwencja bardzo tradycyjna, konserwatywna, odnosząca się do tego, co najgłębiej zakorzenione w ludzkiej duszy. Strach przed ciemnością milczącego nieba; niepokój przed obcym na progu domu; strach przed potworem między drzewami, który dyszy poza jasnym kręgiem rzucanym przez cywilizację. Czy nie jest tak, że od tysiącleci boimy się tego samego? Zmieniają się i wzbogacają o aktualny kontekst jedynie scenografie, w których opowiadamy sobie te strachy – uśmiecha się Michał Cetnarowski.

Dlatego nie puszczaamy w nieskończoność najlepszych horrorów wszech czasów – jak „Psychoza” (1960), „Nie oglądaj się teraz” (1973) czy „Lśnienie” (1980) – tylko szukamy nowej krwi. Bo boimy się nudy, potrzebujemy nowych bodźców i aktualnych odniesień. Nawet przy najlepszych filmach zaskoczenie i groza maleją za każdą projekcją. A my potrzebujemy nowych wspomagaczy, by osiągnąć wymarzone katharsis. Mamy to we krwi, z czego korzystają nie tylko showbiznesowi macherzy, ale i prawdziwi artyści.



Chociaż może nam się wydawać, że klasyczne wątki i postacie są aż nazbyt często wykorzystywane w kinie grozy, nie brak podejścia bardziej nowatorskiego. Zwłaszcza że wcale nie trzeba wielkich pieniędzy, by zrobić horror. Udowadniał to w przeszłości George A. Romero z „Nocą żywych trupów”, legendarny twórca cyklu „Halloween” John Carpenter czy autorzy „The Blair Witch Project”. Wiele niepozornych dzieł po latach staje się kultowych (niezależnie od tego, że doczekują się okropnych kontynuacji), co też przyczynia się do popularności filmów grozy. A niski budżet to mniejsze naciski ze strony producenckiej maszyny finansowej i większa śmiałość w podejmowaniu niewygodnych tematów.

– Zeszłoroczna meksykańska „Huesera” to moralizująca opowieść, której siła polega na umiejętnym skonstruowaniu zinternalizowanej już przez widzów moralności z przyjmowanymi za oczywiste kliszami filmowymi z nieco wcześniejszej epoki. Oto film, który mówi nam, że macierzyństwo wcale nie musi być spełnieniem dla przyszłej matki, że nie tylko ciąża, ale i opieka nad dzieckiem nie musi być szczytem pragnień współczesnej kobiety. To spięcie działa, ponieważ niezależnie od wyraźnych sygnałów, że jako społeczeństwo przyswoiliśmy te normy, czego dowodem jest malejąca dzietność i coraz częstsze deklaracje „nie chcę mieć dzieci”, w popkulturze wciąż króluje klisza kobiety-przede-wszystkim-matki. W tym filmie widz boi się niby potwornej zjawy i jej wpływu na bohaterkę, ale źródłem zagrożenia jest patriarchalna struktura widząca w kobiecie tylko potencjalną matkę – zwraca uwagę prof. Kociatkiewicz.

Z kolei Michał Cetnarowski podaje przykład niskobudżetowego horroru „Glo-

rious”: – Film opowiada o sponiewieranym przez życie bidoku, który zamknięty w przydrożnej toalecie odkrywa, że z wybitej w ścianie dziury odzywa się do niego przedwieczne bóstwo i zachęca, żeby włożył tam swojego... sami-wiecie-co. Dość szalone – ale to pokazuje, że horror jest dziś najbardziej bezkompromisowym z gatunków filmowych. I nie mówię tu o efektach gore, lecz o fabularnej dezynwolturze. A że jest stosunkowo tani, twórcy mogą kręcić poza głównym obiegiem, zwłaszcza że w epoce sieci trafią do wystarczającej liczby widzów, żeby przedsięwzięcie przynajmniej się zwróciło. Dzięki temu mogą tworzyć filmy poza uściskiem mainstreamowych oczekiwań, tablelek, kompromisów, zasad poprawności. Czy może dziwić, że ludziom się to podoba?



Charakterystyczne, że w ostatnich latach pojawiło się sporo horrorów rozgrywających się w zapadłych dziurach i mrocznych zakątkach zamieszkałych przez dziwaczne osoby. To folk horrory, takie jak „Enys Men” (2022), „Midsommar. W biały dzień” (2019) czy „Kult” (1973 i 2006). – Wszystkie te filmy oczywiście straszą, ale również wzbudzają poczucie, że może ci dziwni miejscowi wie-

(2017). Jednak zalew horrorów o AI czeka nas dopiero teraz, gdy w przestrzeni publicznej coraz częściej podejmuje się temat jej niekontrolowanego rozwoju i rosnącego wpływu na nasze życie.

– AI wyrasta na naczelny straszak naszych czasów. To zaczyna się już w samym określeniu „sztuczna inteligencja”, które sugeruje, że mamy do czynienia z bytem zarazem równorzędnym nam i równocześnie całkowicie obcym. „Modele językowe” nie budzą już takich emocji, a o „automatach językowych” nikt nie chciałby czytać, ani tym bardziej ich oglądać. Natomiast „sztuczna inteligencja” zawiera odpowiedni ciężar emocjonalny, by stać się zaczątkiem niezliczonej ilości fabuł i scenariuszy – zauważa pisarka i dziennikarka Magdalena Salik, zeszłoroczna laureatka Nagrody Zajdla oraz Głównej Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego.

Ten potencjał tematu AI nie oznacza jednak, że nadchodzące horrory będą nas zaskakiwać w treści i formie. – Jeden z najbardziej kasowych horrorów ostatniego roku, „M3gan”, to film o obdarzonej sztuczną inteligencją morderczej lalce. Z jednej strony, obraz bardzo na czasie: wszak w tym roku boimy się AI. Z drugiej – to jednak bardzo klasyczny film: historia zna całą plejadę morderczych lalek, z Chucky (pierwszy film: 1988, ostatni jak dotąd: 2019) na czele – opowiada prof. Kociatkiewicz.

Horror to dziś najbardziej bezkompromisowy gatunek filmowy. Jest tani, twórcy mogą kręcić poza uściskiem mainstreamowych oczekiwań, tablelek, kompromisów, zasad poprawności

dzą coś więcej, coś, czego my, miastowi, już wiedzieć nie potrafimy. Czyli mamy tu nie tylko horror, ale i tęsknotę za jakimś utraconym światem – uważa prof. Kociatkiewicz.

Trend ten, chociaż ciekawy, wydaje się jednak dość marginalny w porównaniu z tym, co już majaczy na horyzoncie. Oto James Cameron, specjalista od wielkich produkcji i gigantycznych pieniędzy, zapowiedział, że zamierza wrócić do cyklu o terminatorach. Jego oryginalny film z 1984 roku straszyl zagładą ludzkości wywołaną przez roboty. Czterdzieści lat temu wydawało się oczywiste, że to odbicie zimnowojennych lęków przed nuklearną hekatombą. Zaś roboty – a właściwie system komputerowy Skynet, który wymknął się spod kontroli, stając się sprawcą zniszczenia i zniewolenia ludzkości – są po prostu efektem niepowstrzymanego wyścigu zbrojeń między mocarstwami. Kolejne części szły tym śladem i dowiadywali się o komputerowym Skynecie coraz więcej, aczkolwiek na ekranie pojawiały się przede wszystkim kolejne generacje terminatorów. Teraz Cameron zamierza zmienić środek ciężkości. Chciałby, aby następny „Terminator” opowiadał przede wszystkim o zagrożeniach płynących z rozwoju sztucznej inteligencji (AI).

To też nie jest temat nowy. Widzieliśmy już przecież w akcji komputer HAL 9000 w „2001: Odyseja kosmiczna” (1968), humanoidalną Avę z „Ex Machina” (2015) i androida Davida z „Obcego: Przymierze”

Współczesny horror głównie powtórza znane już motywy zagrożenia sztuczną inteligencją, może to się jednak zmienić. – W przededniu powstania prawdziwej AI dostrzegamy wreszcie kluczowy element, którego wcześniej popkultura nie brała pod uwagę. We wszystkich horrorach s.f. sztuczną inteligencję pokonywało bowiem to, co ludzkie: nieprzewidywalność człowieka i jego kreatywność. Te dwa elementy, jak się okazuje, AI odbiera nam jako pierwsze. Nie licząc intelektu, który stanowił naszą główną broń i powód naszej dominacji na Ziemi, zamierzamy wręczyć AI to, co wydawało się niemożliwe do wręczenia: wyobraźnię. Karmimy ChatGPT naszą kulturą literacką, a Midjourney pracami naszych artystów, i liczymy, że zawartych w nich emocji, stopni napięcia, zwrotów akcji i kreatywności nie da się AI przeskoczyć. Oczywiście obecnie się nie da, ale to przecież tylko kwestia czasu. I ten lęk zaczyna przesączać się do horrorów, w których nie będzie już zagrożenia zagładą ludzkości, lecz zagrożenie odebraniem nam człowieczeństwa – podkreśla Marcin Podlewski.



Nie zdziwny się jednak, jeśli twórcy horrorów opowiedzą nam o tym nowym zagroże-

niu, ponownie sięgając po klasyków. – Lęk przed AI jest nowym wcieleniem strachu przez „złym bóstwem”, wszechmocnym demonom, który próbuje zawładnąć naszym życiem. Nie znaczy to, że nie należy się bać – tylko że wyzwania, przed którymi cyklicznie staje ludzkość, są starsze, niż chcielibyśmy przyznać. A przynajmniej tego uczy horror – mówi Michał Cetnarowski.

Niech nas więc nie zaskoczy, gdy kolejny Dracula okaże się wyprodukowaną przez programistę z Transylwanii sztuczną inteligencją przejmującą kontrolę nad kolejnymi urządzeniami w domach na całym świecie. Albo gdy bohater „Przedwcześniego pogrzebu” Poego trafi żywcem do grobu przez złośliwą pomyłkę medycznej AI, natomiast w „Beczce Amontilla” narrator z zazdrości zamuruje w ścianie androida, który ma wrażliwsze od niego kubki smakowe. Zaś wymyśleni przez Lovecrafta tzw. Wielcy Przedwieczni okażą się nie bogami z czeluści kosmosu, lecz uśpionymi organizmami cybernetycznymi obdarzonymi sztuczną inteligencją.

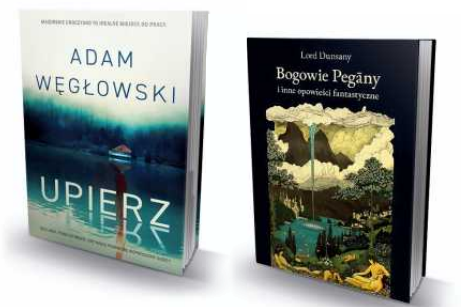
– AI jako straszak dobrze wpisuje się w mity opowiadające o monstrum, które – powołane do życia niczym potwór doktora Frankensteina – ostatecznie obraca się przeciwko swojemu twórcy. Sztuczna inteligencja, jak potwór Frankensteina, wywołuje jednocześnie dreszczyk grozy i fascynacji. Podobny do tego, jaki musiała odczuwać Mary Shelley, gdy oglądała publiczne pokazy rażenia martwych żab prądem, bardzo popularne na początku XIX wieku w Anglii – przypomina Magdalena Salik. – Tamten czas, początek epoki przemysłowej i świt rewolucji naukowej, wyzwał lęki, które ciągle odczuwamy, tylko zwielokrotnione, bo też i wiedzy naukowej – specjalistycznej, wymagającej przygotowania i nieraz zdolności intelektualnych – przybyło i przybywa w tempie wykładniczym. Oswajamy więc nowe z pomocą opowieści o terminatorach, matriksach czy protomolekule, próbując wtłoczyć je w znane nam mity i w ten sposób odzyskać choć trochę poczucia kontroli nad rzeczywistością.

Horror jest i będzie znakiem naszych czasów. Nawet jeśli cynicznie żeruje na naszych lękach i niedoskonałościach, pożywienia mu nie zabraknie. Godzimy się, by potwory powracały. ●

*Adam Węglowski

• dziennikarz, projektant gier planszowych, autor popularizatorskich książek historycznych „Bardzo polska historia wszystkiego”, „Żywe trupy. Prawdziwa historia zombie”, „Labirynt Verne’a, czyli Drugie życie Kapitana Nemo” i „Wiek bezwstydu. Seks i erotyka w starożytności” (wszystkie nakładem Znak), kryminałów historycznych „Przypadek Ritterów”, „Noc sztyletników”, „Krew Habsburgów”, „Czarny kogut” i „Pruski lód” oraz nawiązującej do konwencji „Stranger Things” powieści „Czas mocy”. Jego nowy thriller „Upierz” już dostępny w dobrych księgarniach i w formie e-booka na Publio.pl.

Już nie tylko Poe i Lovecraft. Nakładem oficyny Vesper właśnie wyszli po polsku „**Bogowie Pegany i inne opowieści fantastyczne**” – zbiór kanonicznych opowiadań pioniera fantasy Lorda Dunsany’ego.



FOT. SHUTTERSTOCK

Z PROFESOREM **BOGDANEM DE BARBARO**, JEDNYM Z NAJBARDZIEJ CENIONÝCH POLSKICH PSYCHIATRÓW I PSYCHOTERAPEUTÓW, ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Świat zmienia się w tempie dotąd nieznanym, a to budzi lęk. Wiele osób go odczuwa, dużo się o nim mówi i pisze. Brakuje mi jednak opowieści o tym, co może nas dzisiaj wzmacniać, i jedną z takich wzmacniających postaw wydaje mi się odwaga. Nie ta z pola bitwy, ale ta codzienna, na przykład w obronie słabszego czy wspólnego dobra. A panu z czym się kojarzy odwaga?

– Nie potrafiłbym dać jednej definicji, bo odwaga ma różne twarze, jak słusznie pani zauważyła. Ale ważne wydaje mi się rozróżnienie pomiędzy odwagą reaktywną, czyli taką właśnie z pola bitwy, choć i ona może być cenna, a taką, którą poeta Adam Asnyk nazywa odwagą „niejednodniową”. To będzie na przykład gotowość do broniienia własnych wartości w obliczu większości. I szczerze mówiąc, bardziej mnie interesuje ten drugi rodzaj odwagi, czyli takiej, która jest wpisana w postawę życiową, jest pewnym zobowiązaniem.

Co jest warunkiem powstania takiej odwagi?

– Poczucie bezpieczeństwa, które dostajemy w pierwszych latach życia. To nam daje pewną energię, gotowość do działania nie konformistycznego, tylko zgodnego z tym, co czujemy, co uważamy za ważne. Przy czym odważne czyny czy postawę ci „odważni” często traktują jako coś najzwyklejszego. Dopiero postronny obserwator może im uświadomić: „Aleś się odważnie zachował! Ależ to było odważnie powiedziane!”.

Sam kiedyś dokonałem aktu odwagi, nie wiedząc o tym. To był pierwszy albo drugi rok medycyny. Mieliliśmy jakieś zajęcia polityczne, oczywiście przesiąknięte PZPR-owskim duchem. W pewnym momencie wykładowca powiedział, że Katyń to była zbrodnia hitlerowska. Wstałem i niewiele myśląc, powiedziałem: „Nieprawda, to zbrodnia sowiecka”.

Odruchowo pan to zrobił.

– Odruchowo, ale z przekonaniem, że nie wolno mi tego nie powiedzieć. Mój dziadek, ojciec mojej mamy, zginął w Katyniu. Gdybym nie zgłosił sprzeciwu, tobym się czuł jak świnią. I to jest najbardziej interesujące, że to nie była odwaga w stylu „no to teraz się pokażę, dam tym czerwonym wciury”, tylko to było uniknięcie świństwa.

Ale odwaga to również sytuacja, gdy ktoś skacze do basenu, nie sprawdzając, czy jest w nim woda.

Innymi słowy, odwaga może się pomylić z głupotą?

– A chciałoby się, żeby była zarazem odwagą. Bo to jest dopiero ciekawe połączenie, kiedy człowiek działa zgodnie ze swoim przekonaniem, a jednocześnie wie, że gotów jest ponieść pewne utraty, na przykład wolności, komfortu, pieniędzy, a czasem i życia. Wtedy odwaga jest decyzją, nie odruchem.

Co, jeśli ktoś w domu nie miał szans ćwiczyć odwagi, bo na przykład jego rodzice byli pełni lęku?

– Poza domem są jeszcze przedszkole, szkoła, rówieśnicy. Jeśli rówieśnicy odważnie maszerują na wagary, to można się do nich spróbować przyłączyć. A może po drodze pojawią się jeszcze jakieś wydarzenia, które będą wymagały zrobienia czegoś wbrew na przykład autorytetowi rodziców? Wtedy jest szansa, że taki akt odwagi wpisze się w rozwój tego człowieka. Tak, że będzie go chciał powtarzać.

Może się nie wpisać. Wiele pewnie zależy od tego, jak zareaguje otoczenie.

– Czy ten młody człowiek dostanie za to okłaski, czy przeciwnie, będzie za akty odwagi karany. Wiele zależy od tego, jaki będzie ten głos rodzica, najpierw ten prawdziwy, a potem ten tak zwany uwewnętrzniony. Czy bę-



Kiedyś dokonałem aktu odwagi,
nawet o tym nie wiedząc

GDY SŁYSZĘ DWA GŁOSY, SZUKAM TRZECIEGO

dzie mówił „Brawo!”, kiedy będziemy się odważać, czy raczej: „Co ty wyprawiasz!”. Ten uwewnętrzniony głos to nie musi być głos matki ani ojca, to może być głos nauczyciela, przyjaciela albo innego autorytetu.

Jak być dorosłym, który wspiera dzieci w odważaniu się?

– Namawiałbym do tego, żeby zachęcać do aktów odwagi, ale z rozważą. Żeby nie było tak, że rodzic decyduje za dziecko. Jeśli na przykład dziecko ma ochotę skoczyć z wysokiego murku, nie powinno się go ponaglać, kiedy źrenice mu się rozszerzają.

Kiedyś mój syn zachęcał do takiego skoku mojego wnuka. Mówił mu: „Franku, skacz!”, ale był przy tym. Stał z otwartymi ramionami, gotowy go złapać. Franek, który miał wtedy 4-5 lat, wahał się, widać było, że się boi, ale się odważył i skoczył. I był dumny. Z jednej strony to akt odwagi i w efekcie ta sytuacja wpisze mu się w jego doświadczenie pod tytułem „przekroczyłem siebie”. A z drugiej – to był akt miłosny, bo mógł skoczyć tylko dlatego, że w pobliżu był kochający, bezpieczny ojciec. I te ćwiczenia powinny być ufundowane na takim wspierającym bezpieczeństwie.

Mam teraz przed oczami obraz, który jest rewersem pana opowieści. Kiedyś na basenie widziałam ojca, który raz po raz wrzucał synka do wody po to, żeby przełamać jego lęk przed nią. Nie o takie hartowanie odwagi chodzi, jak rozumiem.

– Zastanawiam się, czy dałoby się sformułować tu jakiś happy end.

Myślę, że tam nie było happy endu, tylko utrwalony lęk przed wodą.

– Ja bym jednak poszukał. Taki mam nawyk. A gdyby ten chłopiec za którymś razem popłynął na drugą stronę basenu, a potem wyszedł na brzeg i sam do niego znów skoczył? Może wtedy, odzyskując sprawczość, zyskalby odwagę? W przeciwnym razie, zgoda, to jest bardziej trauma niż trening odważania się.

Co jest po drugiej stronie odwagi? Tchórzostwo?

– To brzmi ocennie, a tego chciałbym uniknąć, bo jeżeli ktoś się boi, a ja bym go nazwał tchórzem, tobym go wtedy jakoś unieważniał. Możliwe, że brak odwagi to jest taka sytuacja, kiedy człowiek postępuje wbrew sobie, bo się boi reakcji otoczenia, na przykład szefa, więc woli mówić to, co ten szef chciałby usłyszeć. Więc po drugiej stronie jest chyba konformizm.

I co on na dłuższą metę powoduje?

– Że przestaje się istnieć. Zabrzmiało górnolotnie, ale mam na myśli to, że przestaje się mieć swoją drogę, tylko nasłuchuje się innych, czego oni sobie życzą. Człowiek staje się dworzanimem – szefa, rodziny. Brzmi to nawet ładnie, elegancko, a jednak dworzanim to ktoś, kto sprawdza, jak nisko trze-

ba się uklonić, żeby mieć spokój. I są takie kultury czy środowiska, gdzie trzeba potakiwać i maszerować równym krokiem zgodnie z bębniem przywódcy czy jakiegoś bębniarza numer jeden. W takich warunkach, reżimowych, znacznie trudniej o odwagę niż w kulturze, która zachęca do własnego zdania, nawet jeśli nie jest ono zbieżne ze zdaniem głównego dowodzącego.

Na szczęście 15 października powstały warunki do tego, żeby łatwiej było mówić, co się myśli.

Ma pan nadzieję, że klimat będzie sprzyjał...

– ...odważnemu myśleniu. I problematyzowaniu rzeczywistości. I bardziej tu myślę nie o tych, którzy, jak to się pięknie mówi, wygrali, ale o tych, którzy na przykład popierali partię dotychczas rządzącą i którzy mogą myśleć: co my teraz zrobimy, skoro nasz ojciec nie jest już ojcem narodu. To może być trudne dla kogoś, kto wołał być odtwórcą, kto nie był zainteresowany konfliktami, sprzecznościami, wątpliwościami. I kto nie był gotów do szukania własnej odpowiedzi wśród sprzecznych głosów. Ale jednocześnie to może być rozwojowe.

Jak by pan zachęcił do odważnego szukania własnego głosu tych, którzy boją się go mieć? Dobrze by było, gdyby była za to jakaś nagroda.

– A może być nagroda od wewnątrz? Bo bardziej wierzę w takie nagrody. Wyjaśnię, o co mi chodzi.

Mogę być „odtwórzaczem” tego, co mi powiedzieli, i wtedy tą nagro-

Sila grupy.

– A aktem odwagi jest ryzyko wynurzenia się poza nią. Dopuszczenia: a może ten, kto myśli odwrotnie ode mnie, w jakimś fragmencie ma rację? Nagrodą jest wtedy to, że moje myślenie przestaje być zero-jedynkowe, staje się sproblematyzowane, a dzięki temu staję się mądrzejszy, przynajmniej od siebie z wczoraj.

Kto jest dla pana ikoną odwagi?

– Mam jego zdjęcie przed oczami. Nazywa się August Landmesser. Był niemieckim robotnikiem w hitlerowskich Niemczech, który poślubił Żydówkę. Na zdjęciu mężczyzna stoi w tłumie. Jest rok 1936, chyba jakiś zjazd NSDAP. Wszyscy dookoła podnoszą rękę w geście „heil Hitler”, on jeden trzyma ręce założone i patrzy przed siebie. Dla mnie to przykład takiego nonkonformizmu, kiedy to człowiek zachowuje się zgodnie ze sobą. Nie ulega pokusie stada.

A jakiś inny przykład? Może ktoś z żyjących, żeby było łatwiej się utożsamić?

– Dla mnie takimi odważnymi są osoby, które chorowały psychicznie i decydują się zrobić coś w rodzaju coming outu. Myślę teraz szczególnie o mojej pacjentce Oli chorującej na schizofrenię, która tego nie ukrywa i na różnych wystąpieniach mówi o swoim leczeniu, o tym, jak pokonuje chorobę, pomagając innym. Jest odważna, bo na przekór temu, że chorowanie psychiczne, a zwłaszcza na schizofrenię, jest czymś tak otulonym wstydem, nie boi się o tym mówić. Co rów-

Jeżeli ktoś się boi, a ja bym go nazwał tchórzem, tobym go wtedy jakoś unieważniał

dą jest mój spokój, jak dobrze pójdzie, to i święty. Ale bardziej atrakcyjna wydaje mi się sytuacja, kiedy słyszę dwa głosy, a do tego szukam trzeciego, swojego. Dajmy na to, jestem dziennikarzem, w telewizyjnym studiu rozmawiam z dwoma osobami myślącymi przeciwnie do siebie i teraz muszę wybrać, komu przyznaję rację. Albo orientuję się, że jednemu przyznaję rację w jakiejś kwestii, drugiemu w innej i w ten sposób dochodzę do własnej konkluzji. Jest jakiś ruch myśli. Taka nagroda wydaje mi się smaczniejsza, bo wtedy można sobie powiedzieć: jestem autorem, autorką własnych myśli. Mam swoje zdanie.

Myślę, że dziś takim aktem odwagi jest umiejętność pomieszczania w sobie różnych sprzecznych głosów, myślenia poza tym obowiązującym we własnej bańce.

– Zgoda, pobyt w bańce jest bardzo komfortowo-niekonformistyczny.

Kiedyś postanowiłem obejrzeć dokument o płaskoziemcach. Próbowałem zrozumieć, jak to możliwe, że są ludzie, którzy wierzą, że Ziemia jest płaska. I wie pani co? Zorientowałem się, że tym, co daje im największą satysfakcję, jest bycie razem, że ci ludzie potrzebują wierzyć w to, w co wierzą, nawet jeśli tak naprawdę nie są przekonani do końca, żeby mieć poczucie przynależności. To jeden z uroków przebywania w bańce.

nie ważne, jej odwaga jest społecznie użyteczna. Przydaje się, żeby osłabiać stygmatyzację chorych i piętno związane z leczeniem. Sprawia, że droga do psychiatry dla wielu osób w kryzysie przestaje być taka trudna.

Rozmowa jest fragmentem pierwszego odcinka podcastu „**Moja odwaga**”, w którym Agnieszka Jucewicz rozmawia o różnych obliczach odwagi. Co to dziś znaczy – być odważnym, odważną? Czym jest odwaga w świecie pełnym lęku? Kim są osoby, które odważyły się stanąć w obronie swoich wartości, a czasem po prostu wyjść z domu, bo zdarza się, że to jest akt największej odwagi?

Nowy odcinek co dwa tygodnie w piątek na Wyborcza.pl i TOKFM.pl, Spotify, Apple Podcasts i YouTube.



REKLAMA

PARTNER STRATEGICZNY:

POWERED BY
SEBASTIAN KULCZYKJUTRONAUCI
SIĘGAJ ZA HORYZONT

Przewietrzyć polskie uczelnie

„Urwaliśmy się ze stryczka”. W ostatnich dniach wielokrotnie słyszałem to z ust koleżanek i kolegów naukowców

Michał Bilewicz*

Odczucia to nie zaskakujące, bo dla wszystkich jest jasne, że po sędziach, prokuratorach, pracownikach państwowych instytucji kultury i dziennikarzach prasy lokalnej to właśnie naukowcy mieli się znaleźć na celowniku populistycznej władzy. Zgodnie z zapowiedziami ministra edukacji i nauki oraz polityków partii rządzącej kolejna kadencja Zjednoczonej Prawicy miała przynieść kolosalne zmiany. Likwidacja Narodowego Centrum Nauki, czyli głównego źródła środków na badania podstawowe, oraz połączenie kilku agend finansujących naukę w jeden moloch w pełni zależny od decyzji politycznych ministra oznaczały ostateczne unicestwienie autonomii polskiej nauki. Odtąd to nie naukowcy mieli decydować, które projekty badawcze zdobędą finansowanie – decyzje miały trafić w ręce polityków, którzy już wielokrotnie pokazali nam swój brak szacunku do wszelkich ciał kolegialnych, ignorując opinie naukowych doradców w najważniejszych decyzjach dla polityki naukowej.

Te złowieszcze plany wpisywały się w widoczny już w czasie poprzedniej kadencji trend: głodzenia najlepszych instytucji naukowych i inwestowania w nowe podmioty, w pełni oddane populistycznej władzy. Obok niedofinansowanej Polskiej Akademii Nauk stworzono w pełni kontrolowaną przez rząd Akademię Kopernikańską, z własnymi szkołami wyższymi i systemem grantów. Teraz to tam miały popłynąć państwowe pieniądze. Obok biednego Narodowego Centrum Nauki, gdzie z racji braku środków finansowano już mniej niż 10 proc. składanych wniosków, funkcjonowało równolegle znakomicie opłacane Narodowe Centrum Badań i Rozwoju, gdzie kolosalne środki europejskie trafiały w ręce upolitycznionych koterii. Obok renomowanych uniwersytetów, w których zarobki naukowców coraz częściej spadały do poziomu płacy minimalnej, powstawały kolejne „uniwersytety” i „akademie” tworzone tam, gdzie zdominowane przez PiS samorządy wymarzyły sobie, by lokalna wyższa szkoła rolnicza czy pedagogiczna miała prestiżowo brzmiać naukę, środki na badania, a najlepiej kierunek lekarski.

WZÓR PŁYNAŁ Z WĘGIER

Wszystkie te działania wpisywały się w szerszy trend – znany z Węgier Orbána, Turcji Erdogana czy Brazylii czasów Bolsonaro. Władza populistyczna karmi się nienawiścią do elit, a głodzenie intelektualnych elit naukowych jest wypełnieniem obietnicy składanej wyborcom przez populistycznych polityków.

Nie tak daleko od nas, na Węgrzech, dokonano pełnego podporządkowania nauki decyzjom politycznym. Zlikwidowano kierunki studiów, które władza traktowała jako politycznie podejrzane. Wygnano największy

skarby węgierskich nauk społecznych, jakim był Uniwersytet Środkowoeuropejski w Budapeszcie, instytucję niezwykle efektywnie pozyskującą najbardziej prestiżowe granty Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych. W końcu sprywatyzowano prawie wszystkie państwowe uczelnie, przekazując je w ręce fundacji dożywotnio zarządzanych przez posłusznych partii nominatów. W ten sposób ekipa Orbána zabezpieczyła swoje interesy w obszarze nauki na wypadek ewentualnej porażki wyborczej. My, naukowcy polscy, patrzyliśmy na to z przerażeniem – i takich właśnie działań spodziewaliśmy się po kolejnej kadencji Zjednoczonej Prawicy.

SKOŃCZMY Z KORPONAUKĄ

Wybory 15 października uchroniły nas przed upadkiem polskiej nauki. Z ulgą odetchnęli kierownicy najlepszych polskich zespołów naukowych, które mogą sprawnie działać dzięki dostępności środków Unii Europejskiej (granty indywidualne Europejskiej Rady ds. Badań Naukowych, sieci Horyzont Europa) i finansowaniu Narodowego Centrum Nauki. Nagle miejsce Polski w Unii Europejskiej i samo istnienie Narodowego Centrum Nauki przestało być zagrożone. Do tego zmienia się też wizerunek Polski jako kraju autorytarnego, nieprzyjaznego imigrantom czy mniej-szościom. Kraju, do którego mało kto chciał przyjeżdżać do pracy.

Przed rządem demokratycznej koalicji stoją jednak nie tylko wyzwania związane z odpolitycznieniem zawłaszczonych przez prawicę instytucji i zwiększeniem nakładów na naukę. Polską naukę trapią bowiem również inne dolegliwości, których tak łatwo nie da się powiązać z polityką poprzedniej ekipy, czyli podporządkowanie i głodzenie instytucji naukowych. Dwa najważniejsze z nich to coraz większa dominacja korporacyjnej kultury pracy, której rytm został wyznaczony przez system ewaluacji parametrycznej jednostek naukowych. Drugi zaś to powszechne przyzwolenie na „pracę równoległą”, czyli traktowanie etatu akademickiego jako wygodnej odeskocznij od „prawdziwej pracy”.

Cele ewaluacji jednostek naukowych są oczywiste. Każde państwo musi podjąć decyzję, gdzie trafić ma większy strumień pieniędzy na badania naukowe – a które jednostki mają pełnić głównie funkcje dydaktyczne. W Stanach Zjednoczonych mamy potężne naukowo uczelnie stanowe i te prywatne, należące do tak zwanej ligi bluszczowej. Obok tego funkcjonują państwowe community colleges i prywatne liberal arts colleges, nastawione raczej na uczenie niż na działalność badawczą. W Niemczech podobnie wygląda podział na uczelnie akademickie (uniwersytety) i uczelnie stosowane (Fachhochschulen). W tych pierwszych potrzebne są większe środki na badania i infrastrukturę naukową, a środki te muszą być zależne od faktycznego potencjału danej jednostki. To w tych jednostkach powinny też być nadawane stopnie doktora czy habilitacje. W Polsce wyłonieniu takiej „pierwszej ligi naukowej” ma służyć ewaluacja parametryczna.

Największym problemem polskiej ewaluacji jest jednak to, że opiera się ona na ilo-

ściowej ocenie osiągnięć pracujących tam uczonych. W oryginalnym zamiśle miał to być sposób na ocenę jednostek – nie ludzi. Jednak w tym wyścigu o pieniądze, prestiż i możliwość nadawania stopni naukowych jednostki naukowe się nieco zatraciły. Często optymalizować osiągnięcia – zgodnie z wyznaczanymi przez ministra nauki kryteriami. W efekcie oceny poszczególnych naukowców prowadzono zgodnie z ministerialnymi punktami służącymi do oceny zatrudniających ich jednostek. To spowodowało, że nieraz i wybitne osiągnięcia były uznawane za nikomu niepotrzebną fanaberię, zaś zupełne banały opublikowane w czasopismach o wysokiej punktacji były doceniane awansami, nagrodami i premiami. W sytuacji gdy pensje akademickie były mizerne, mało kto mógł sobie pozwolić na ignorowanie tych nacisków. Zaradni naukowcy czasem decydowali się na publikacje w tzw. drapieżnych wydawnictwach, gdzie za wysokie opłaty ma się gwarancje, że nawet najgorszy artykuł ukaże się na łamach czasopisma. To spowodowało, że z budżetu polskich instytucji naukowych płynął szeroki strumień ku chińskim drapieżnym wydawcom, bo ich czasopisma minister umieścił na wysokim miejscu swoich list. Naukowiec, który wykupił sobie kilka takich publikacji rocznie, był dla swojej jednostki cenniejszy niż taki, który przez dwa lata mozolnie pracował nad jedną doskonałą książką czy artykułem w prestiżowym „Nature” bądź „Science”. Wiele naukowców zaczęło być motywowanych lękiem. Zaczęli zadawać sobie pytanie, co się stanie, gdy nie wyrobią narzuconej w tym wyścigu „normy publikacyjnej”. W efekcie środek (czyli czynność publikowania) stał się ważniejszy od celu, czyli samego odkrycia naukowego.

PUNKTACJA SPRAWIEDLIWA

Dziś, gdy sami uczeni zastanawiają się nad polityką naukową kolejnego rządu, pojawiają się wśród nich oczekiwania bardziej sprawiedliwych list czasopism i „lepszzej punktacji”. Mało kto ma odwagę powiedzieć, że król jest nagi. Źródłem problemu jest bowiem ocena jednostek naukowych oparta na punktach za publikacje i zliczaniu osiągnięć. Ten sam cel – czyli określenie potrzeb badawczych jednostek naukowych – można przecież osiągnąć zupełnie inaczej. Wystarczy stworzyć kilka zespołów oceniających polskie uczelnie i instytuty. Każdy zespół musiałby stworzyć listę rankingową ocenianych jednostek badawczych – od najlepszej naukowo do najgorszej. Ocena oparta byłaby na lekturze najważniejszych prac stworzonych w czasie ocenianego okresu w danej jednostce. W naukach ścisłych, przyrodniczych, technicznych, medycznych czy społecznych zespoły oceniające mogłyby być w pełni międzynarodowe. W humanistyce można włączyć do nich lokalnych uczonych, lepiej znających język i kontekst kulturowy. Po uśrednieniu tych ocen powstaną ostateczne listy rankingowe, które pozwolią ustalić, gdzie potencjał naukowy jest największy, a które jednostki powinny się raczej skupić na dydaktyce niż na działalności badawczej. Do tych pierwszych należy skierować strumień środków na badania naukowe, zaś drugim umożliwić doskonalenie działalności dydaktycznej. Przy takich eksperckich ocenach nikt nie wpadnie na pomysł „optymalizacji wyników” i zmuszania

naukowców do praktyk niezgodnych z ich etosem zawodowym.

MARTWE DUSZE

Drugi zasadniczy problem polskiej nauki to niski prestiż działalności akademickiej. Nie chodzi tu o deklarowany prestiż samego zawodu (profesor uczelni nadal znajduje się wśród najbardziej poważanych zawodów), ale o to, jak traktują go sami pracownicy polskich uczelni. Niskie wynagrodzenia doprowadziły do sytuacji, w której nauka nie jest traktowana jako główne źródło zarobków. W sektorze nauki mamy wiele martwych dusz – ludzi, którzy wpadają poprowadzić zajęcia i odbębnić dyżur. Żeby spełnić wymogi ewaluacji, mogą posłać do druku kilka bezwartościowych prac. W rzeczywistości jednak ich aktywność zawodowa to własna kancelaria, gabinet psychoterapii, rada nadzorcza, organizacja pozarządowa czy firma badawcza. O ile system polskiej nauki praktycznie uniemożliwia dziś dorabianie na konkurencyjnej uczelni, o tyle nikt nie wpadł jeszcze na pomysł, jak ograniczyć równoległą pracę poza sektorem akademickim. O ile w wypadku dorywczych wykładowców (w systemie amerykańskim adjunct professors) takie doświadczenia są wręcz wskazane – o tyle w wypadku pełnoetatowych pracowników uczelni jest to zwykłe nadużycie, które prowadzi do dalszej degradacji polskiego szkolnictwa wyższego i badań.

Czy aby zmienić obecny stan rzeczy, konieczna jest fundamentalna reforma nauki? Nie sądzę. Środowisko naukowe zmęczone jest kolejnymi reformami. Prawie każda kolejna ekipa rządząca chciała przeorać system nauki w Polsce, zmieniając ustawę Prawo o szkolnictwie wyższym i nauce. Obecna ustawa funkcjonuje w sumie od niedawna i potrzebujemy chyba więcej czasu, żeby ocenić jej efekty. Dopiero za kilka lat dowiemy się, czy rady uczelni albo szkoły doktorskie wprowadziły faktycznie nową jakość. Ważna jest jednak zmiana filozofii zarządzania nauką. Docenienie wolności poszukiwań naukowych i niezależności samych uczonych. Odejście od korporacyjnego myślenia o nauce i ograniczenie wszechobecnego lęku o przyszłość. Zapewnienie godnych wynagrodzeń – w szczególności tym, którzy chcą się nauce poświęcić, a nie traktują jej jak przygodnego hobby po godzinach. W końcu – dostęp do infrastruktury i czasopism naukowych. Sensowne rozporządzenia i mądra polityka resortu nauki mogą dać polskim uczonym więcej powietrza – tak potrzebnego po dusznych latach rządów Zjednoczonej Prawicy. ●



***Michał Bilewicz** – psycholog społeczny, socjolog, doktor habilitowany nauk społecznych, profesor nadzwyczajny Uniwersytetu Warszawskiego. Kierownik Centrum Badań nad Upředzeniami UW oraz wykładowca na Wydziale Psychologii UW

Tytuł i śródtytuły – od redakcji

FOT. ALBERT ZAWADA / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jutronauci 2023

- Po raz pierwszy w historii świat młodych jest tak różny od świata dorosłych. Zetki i alfy nie znają świata bez internetu, smartfonów, nowych technologii. A te jak nigdy dotąd napędzają zmiany społeczne: rośnie polaryzacja społeczna, obniżają się kompetencje międzyludzkie, rośnie epidemia samotności, a rolę Boga przejmują coraz bardziej inteligentne algorytmy. Czy tę przepaść da się zasypać? W tej, siódmej już edycji programu Jutronauci, którego partnerem jest Sebastian Kulczyk, ponownie spoglądamy w przyszłość, szukając najważniejszych przemian cywilizacyjnych.
- Czy czeka nas świat bez dzieci? Czy natura i AI powinny mieć własne prawa? Czy wchodzimy w wiek antyambicji w pracy? Czytaj na **Wyborcza.pl/Jutronauci**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34282667

WE WTOREK W „WYBORCZEJ” SPECJALNY DODATEK WSPOMNIENIOWY



Wspominamy tych, którzy odeszli

Ponad 100
sylwetek zmarłych
w minionym roku

wyborcza.pl

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL



Autorką wielu haseł jest **Anna S. Dębowska**

Dzień po swoich 6. urodzinach dał pierwszy publiczny koncert – w Zakładach Mechanicznych w Gliwicach. Występ zorganizował jego ojciec Marian, inżynier, ale i muzyk pianista, który zresztą sam kształcił początkowo syna.

Potem edukacją muzyczną chłopca zajął się Andrzej Jasiński, uczeń i asystent Władysławy Markiewiczówny, wybitnej kompozytorki i pianistki, która, prócz Jasińskiego, wychowała takich wirtuozów jak Kazimierz Kord, Wojciech Kilar czy Tadeusz Żmudziński.

Ale jeśli idzie o wirtuozerię i talent, to nasz bohater obu tych cech miał i ma w nadmiarze. Szkoły muzyczne kończył z wyróżnieniem, wygrał Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Ludwiga van Beethovena w Hradec Králové (1973), a rok później konkurs im. Sergiusza Prokofiewa w Katowicach.

6 października 1975 roku w Warszawie rozpoczął się, po raz 9. w historii, crème de la crème wszelakich muzycznych zmagani – Międzynarodowy Konkurs Pianistyczny im. Fryderyka Chopina. Zapamiętany choćby ze względu na medale, po raz pierwszy wręczone laureatom, rozczarowanie publiczności po odpadnięciu charyzmatycznego Kanadyjczyka Johna Hendricksona i rezygnacji z występu w finale Elżbiety Tarnawskiej.

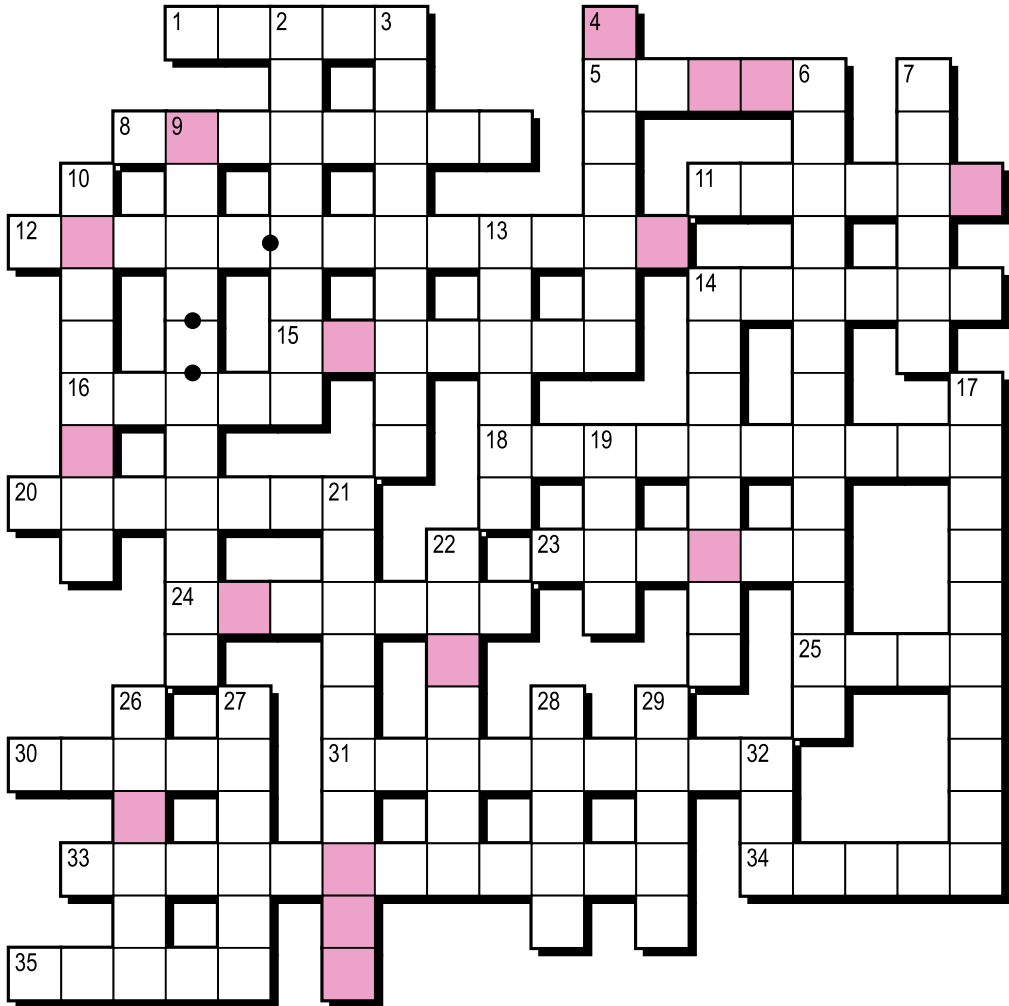
Ale był to także rok genialnego występu 18-letniego wówczas Krystiana Zimermana, który to właśnie jest bohaterem naszego tekstu. To 28 października, późno wieczorem, jury pod przewodnictwem Kazimierza Sikorskiego ogłosiło werdykt, który mógł być tylko jeden: zwycięża Krystian Zimerman!

Urodzony w Zabrzu muzyk dostał również obie nagrody specjalne: za najlepsze wykonanie mazurków i poloneza. Więcej nie, bo więcej nie było – wyróżnienia za najlepsze wykonanie koncertu, sonaty oraz poloneza-fantazji op. 61 ustanowiono później. Zresztą to drugie ufundował sam Zimerman w 2010 roku.

Dzisiejszą „Weekendówkę” z okazji triumfu genialnego pianisty poświęcimy zatem Konkursom Chopinowskim, ale też samemu Fryderykowi Chopinowi – nie wszystkie hasła związane zresztą będą z muzyką!

Za to o pomoc w ułożeniu krzyżówki poprosiliśmy osobę z muzyką związaną bardzo mocno. Anna S. Dębowska, od 2002 roku w „Gazecie Wyborczej”, o muzyce klasycznej pisze, opowiada i się nią pasjonuje. Relacjonowała Konkursy Chopinowskie w latach 2005, 2010 i 2015. Studiowała grę na skrzypcach i altówce na Akademii Muzycznej w Warszawie, jest redaktorką naczelną „Beethoven Magazine” wydawanego przez Stowarzyszenie im. Ludwiga van Beethovena. ●

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie
„Weekendówki”
nr 75 z 21.10:

Poziomo:

- 8) komandos
9) Ethan Hunt 11) Kilmer
12) Ellen Ripley 13) Jet Li
14) zombie 15) Statham
18) Jean 19) Cobra
20) Marek 21) Dolph
24) Vin Diesel
26) najemnicy 27) Shaft
29) Predator 31) Neeson
34) Oldman 35) Nikita
36) Clint Eastwood

Pionowo:

- 1) Rocky 2) Callahan
3) Rourke 4) Stallone
5) James Bond 6) Charles
7) Snipes 10) McClane
16) Terminator 17) Sam
Spade 18) John Rambo
19) Chuck 22) Lundgren
23) Gibson 25) lot
28) Riddick 30) Damme
32) Seagal 33) kino

HASŁO:
JACK NICHOLSON

CHOPINIANA

Hasła Anny S. Dębowskiej oznaczono inicjałami (A.S.D.). Literę w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 1)** ... Geniuśas, laureat II nagrody w XVI edycji konkursu (anagram: Klaus)
5) Jan (zm. 2014), wielokrotny juror konkursów chopinowskich
8) Rafał, zwycięzca XV edycji konkursu
11) Chopina – w warszawskich łazienkach
12) odtwórca głównej roli w filmie „Chopin. Pragnienie miłości”
14) ... b-moll op. 35 (A.S.D.)
15) ... fortepianowy f-moll op. 2 (A.S.D.)

- 16)** à la krakowiak i à la mazur (wpisujemy w liczbie mnogiej)
18) Wojciech Żywny lub Józef Elsner dla Fryderyka Chopina
20) wielki podziw, uznanie
23) pociąg InterCity z Warszawy do Wiednia przez Czechy
24) PRL-owskiego banknotu z Chopinem – 5000 zł
25) „Byłem u Ciebie w te dni przedostatnie niedocieczonego wątku – pełne jak mit, blade jak ...” (w poemacie Norwida „Fortepian Chopina”)
30) Chopin w półlitrowce
31) ma czarną obudowę (A.S.D.)
33) wzięła udział w konkursie, koncercie
34) najważniejsza część filharmonii
35) grać cicho (A.S.D.)

Pionowo:

- 2)** George Sand dla Fryderyka Chopina
3) wieś na Kujawach, w której u rodziny Dziewanowskich młody Fryderyk spędzał wakacje
4) ogłoszony przez jury
6) piosenka Joanny Rawik oparta na melodii z poloneza Es-dur („Kocham świat...”)
7) „Dzieła Chopina to armaty ukryte w ...” (Robert Schumann; wpisujemy w mianowniku)
9) komedia Jarosława Iwaszkiewicza, której bohaterami są Fryderyk Chopin i George Sand
10) Krystian, zwycięzca IX konkursu chopinowskiego
13) Halina ...-Stefańska, laureatka IV konkursu chopinowskiego

- 14)** jeden z instrumentów do wykonania tria g-moll
17) 3784 Chopin (szukamy w kosmosie)
19) ... jurora, wyczułone na najmniejszy fałsz
21) zwycięzca
22) miniatury utrzymane w rytmie tańców polskich (A.S.D.)
26) kolejna odsłona festiwalu, konkursu, imprezy
27) włoski piosenkarz, którego największym sukcesem był utwór „I Like Chopin”
28) ... Antczak, reżyser filmu z określenia 12 poziomo
29) ostatnia faza konkursu
32) postać z „Wesela” Wyspiańskiego wypowiadająca słowa: „Chopin gdyby jeszcze żył, toby pił”

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34225722

Byłe do weekendówki

W aplikacji więcej jolek, krzyżówek klasycznych i tematycznych.
Pobierz za darmo!

KRZYŻÓWKI WYBORCZEJ

Pobierz z **App Store**
POBIERZ Z **Google Play**